M.B. im. L. W. w Łodzi


- Rozmowa z Wiktorem Zinem — str. 5
- Jak walczyć z mrówkami faraona? — str. 6
- Dziwny pogrzeb w Rostowie — str. 13
- Czy mamy pokochać terrorystów? — str. 12
- „Sodoma" Jacka Krakowskiego — str. 16

Nr indeksu 36762
PL ISSN 0472-5042

Łódź

# Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 9 (1509) ROK XXX 28 LUTEGO 1987 ROKU CENA 25 ZŁ

Gdy czuję się zmęczona życiem, uciekam w samotność!

## Sfinks 14

Rozmowa z modelką MARLENĄ BIELIŃSKĄ

**— Chciałbym obejrzeć pani zdjęcia z okresu dziecięcego i dorastania, aby sprawdzić — czy wtedy też była pani taka ładna?**

— Podobno byłam dzieckiem delikatnym, nieśmiałym, które niezbyt często pozwalało się fotografować. Ale uwielbiałam zdjęcia z matką, niezwykle piękną kobietą. Od czasu, gdy ją straciłam, jestem sama, zupełnie sama, nie mam żadnej rodziny. Nikogo.

**— I kto by dziś rozpoznał w pani tamto brzydkie kaczątko?**

— Byłam nieporadnym, brzydkim kaczątkiem. Zawsze przesadnie szczupła, prawie chuda. Kształty dziecięce straciłam dopiero po 15 roku życia. Również bardzo późno zaczęłam nabywać pewności siebie, której brak utrudniał kontakty z rówieśnikami. Zresztą bardziej podobałam się dorosłym niż rówieśnikom.

**— Dziewczyna z kompleksami?**

— Tak. Byłam przeładowana kompleksami. Nie wierzyłam w siebie. Byłam dzieckiem introwertycznym.

**— Wśród marzeń dziewczęcych nie było chęci zostania modelką?**

— Nigdy o tym nie marzyłam. Sądziłam, że do tego potrzebne są szczególne predyspozycje: regularna, piękna twarz, duża pewność siebie, swoboda i przyjemność w obcowaniu z ludźmi. Modelką zostałam stosunkowo niedawno, namówiona przez dyrektora artystycznego „Telimeny".

**— Pamięta pani swoje pierwsze kroki w tej profesji?**

— Oczywiście. Nieporadność i ostra świadomość własnych błędów, pierwsza możliwość skontrolowania na obrazie telewizyjnym swego chodzenia, poruszania się. Olbrzymia trema, a jednocześnie podekscytowanie, a później, gdy już wszystko udało się wspaniale — duże zadowolenie. Miało to miejsce w rewii mody prezentowanej przez „Telimenę" w Teatrze Wielkim w Łodzi. Prezentowałam kolekcję wiosenno-letnią. Zapamiętałam uwagi pań plastyczek na temat mojej zbyt długiej szyi i konieczność tuszowania zbyt wąskiej talii i zbyt dużego biustu.

**— Czy łatwo jest dostać się do tej branży?**

— Potrzebna jest zgrabna, smukła i zręczna sylwetka, wysoki wzrost i co najważniejsze, wcale nie najładniejsza twarz, która nie jest najisto-

Foto: Jerzy Kośnik

Mądrość polega na tym, aby umieć z popełnionych błędów wyciągnąć wnioski na przyszłość i takich błędów już nie popełniać.

# Między powinnością a rzeczywistością

EDMUND LEWANDOWSKI

**Powszechnie wiadomo, że w procesie budowy socjalizmu popełniono dotąd wiele poważnych błędów. Nie uniknęły ich nawet państwa, które mogły wyciągnąć odpowiednie wnioski z wcześniejszej praktyki innych. Ale takie jest, niestety, prawo nauki i historii, że filozofia zawsze się „opóźnia". Zrozumienie wydarzeń jest możliwe dopiero po ich dokonaniu się. Dlatego wciąż bywamy mądrzy po szkodzie. Prawdziwa mądrość podąża za historią, a prawda dnia wczorajszego nie stanowi prawdy współczesności.**

**Interesująco pisał na ten temat Hegel:**

*„Radzimy często ludziom sprawującym rządy, mężom stanu i narodom zwracać się do nauk płynących z doświadczeń historii. Ale właśnie doświadczenie i historia uczą, że ani ludy, ani rządy nigdy niczego się z historii nie nauczyły i nigdy nie postępowały według nauk, które należałoby z niej czerpać. Każdą epokę cechują okoliczności tak swoiste, każda jest stanem rzeczy tak niepowtarzalnym, że w niej tylko, z niej samej muszą i mogą powstawać wielkie rozstrzygnięcia. W wirze światowych wydarzeń na nic się nie zda zasada ogólna, na nic porównywanie z podobnymi stosunkami w przeszłości: albowiem spłowiałe wspomnienie przeszłości jest bezsilne wobec bystrego i swobodnego nurtu teraźniejszości".*

Rozumiał to dobrze Lenin, kiedy w lipcu 1907 r. przestrzegał przed rozwiązywaniem zagadnień wysuwanych przez aktualną rzeczywistość jedynie za pomocą wypowiedzi Karola Marksa odnoszących się do innych czasów. Wiele lat później podkreślał, że *„ślepe, mechaniczne, bezkrytyczne"* zastosowanie doświadczenia historycznego *„w innych warunkach, w innej sytuacji jest nadzwyczaj wielkim błędem"*. Uważał on, że w procesie budowy socjalizmu błędne decyzje i działania są nieuniknione. W wielu wypowiedziach nawoływał do otwartego przyznawania się do popełnionych błędów i wyciągania odpowiednich wniosków na przyszłość. W roku 1920 pisał:

*„Nie ten jest mądry, kto nie popełnia błędów. Takich ludzi nie ma i być nie może. Mądry jest ten, kto popełnia błędy nie bardzo istotne i kto potrafi je łatwo i szybko naprawiać".*

Dla właściwego rozumienia teorii marksistowskiej decydujące znaczenie ma przyswojenie sobie podstawowych zasad logiki dialektycznej, które po raz pierwszy świadomie i systematycznie opracował Hegel. W pracach Marksa i Engelsa wiele jest bowiem takich pojęć i kategorii, których nie można prawidłowo interpretować bez znajomości ich konotacji w filozofii heglowskiej. Bez dialektyki marksizm nie istnieje.

## WIEK XIX W EUROPIE

przyniósł ostateczne zwycięstwo polityczne panowania klasowego burżuazji i umocnienie kapitalistycznego sposobu produkcji. Ideologicznym tego wyrazem było w nauce zdecydowane odrzucenie filozofii „negatywnej" i przyjęcie pozytywistycznego ewolucjonizmu. Na gruncie tej teorii takie zjawisko jak rewolucja społeczna stanowi poważną anomalię, jest krokiem wstecz w ewolucji społecznej.

August Comte wskazywał, że rewolucja ma rzekomo na celu postęp, a w rzeczywistości zakłóca i burzy to, co jest warunkiem sine qua non tegoż postępu — ład i porządek. Podobne stanowisko zajmował Herbert Spencer. Wspólne dla obu myślicieli było przekonanie, że aktualny kształt społeczeństwa i jego instytucji, chociaż nie jest doskonały, to jednak jest konieczny, stanowi kolejny etap rozwoju. Postępowanie zgodne z postępem to jedynie takie, którego celem jest doskonalenie, a nie burzenie istniejących form społecznych.

W 1859 r. ukazało się dzieło Karola Darwina „O powstawaniu gatunków drogą doboru naturalnego", które przyczyniło się do ostatecznego zwycięstwa ewolucjonizmu w naukach społecznych. Kilka lat później w 1881 r obchodzono 100 rocznicę wydania „Krytyki czystego rozumu" Emanuela Kanta, co stało się bodźcem do wzmożenia — narastającego od lat sześćdziesiątych — ruchu neokantowskiego. W ten sposób kształtowała się nieprzychylna i wręcz wroga atmosfera wobec heglizmu.

Przed modą na pozytywizm, ewolucjonizm i neokantyzm nie obronili się teoretycy II Międzynarodówki. Znalazło to wyraz w przyjęciu postawy biernego oczekiwania na automatyczne, ewolucyjne nadejście socjalizmu. Ruch robotniczy zaczynał tracić charakter rewolucyjny i przybierać reformistyczny. Proces ten pogłębiłby koncepcje rewizjonistyczne. Edward Bernstein — można powiedzieć w duchu epoki — uznał dialektykę za obcą marksizmowi pozostałość filozofii heglowskiej, z której Marks i Engels „na nieszczęście" nie potrafili się wyzwolić. Pisał Bernstein: *„Logiczne koziołki dialektyki heglowskiej błyszczą dowcipem i śmiałością. Podobnie jak błędny ognik, wskazując nam w niepewnych zarysach odległe perspektywy. Jeżeli jednak, ufając im, wybierzemy się w drogę, to koniec końców znajdziemy się w błocie".*

Idee Bernsteina spotkały się z dość szerokim popar-

# Odgłosy

**Adres redakcji:** 90-113 Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

**Telefony:** redaktor naczelny 36-52-44,

sekretarz redakcji,

fotoreporter: 36-80-99,

publicyści: 36-77-70.

**Redaktor naczelny:** Lucjusz Włodkowski.
**Zastępca redaktora naczelnego:** Edmund Lewandowski.

**Sekretarz redakcji:** Grażyna Olechnowicz.

**Kierownik działu literackiego:** Grzegorz Gazda

**Redaktor techniczny:** Janusz Kozłowski.

**Zespół:** Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski Jolanta Wrońska.
**Grafik:** Janusz Szymański-Glanc.
**Fotoreporter:** Grzegorz Gałasiński.
**Korekta:** Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
**Stale współpracują:** Tadeusz Błażejewski, Bohdan Gadomski, Jacek Głębski, Witold Kasperkiewicz, Marek Koprowski, Włodzimierz Krzemiński, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Ryszard Nakonieczny, Jerzy Panasewicz, Karol J. Stryjski, Maciej Świerkocki, Witold Werner.

**Wydawca:** Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5.

**DRUK:** Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch". Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

**Warunki prenumeraty:** 1. Dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. Dla indywidualnych prenumeratorów — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli, osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając blankietu „wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch". 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie, nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 464. H-5.


# Przegląd prasy

*„My, księża, znamy niejako z pierwszej ręki oblicze naszego ubóstwa. Bezdomni snują się ulicami w obdartym przyodziewku, a noce spędzają w bramach lub na peronach kolejki podziemnej. Wielu z nich to byli pacjenci szpitali psychiatrycznych i zwolnieni ze szpitali miejskich. Tysiące ustawia się w kolejki przed kuchniami wydającymi zupę, co jest dla nich jedynym sposobem zdobycia pożywienia. Miliony dzieci są tak niedożywione, że odbija się to na ich rozwoju fizycznym i umysłowym. Obserwujemy także rosnący niedostatek wśród Amerykanów średnio zamożnych w momencie, gdy tracą pracę i zarobek z przyczyn od nich niezależnych. Te oznaki i trendy biją na alarm".*

**Zacytowany wyżej fragment pochodzi z listu pasterskiego biskupów Stanów Zjednoczonych, którego treść omawia w tygodniku „ODRODZENIE" (nr 8) Radosław Piszczek. Spośród 280-osobowej Konferencji Episkopatu USA za przyjęciem tego dokumentu głosowało 225 członków, czyli cztery piąte składu.**

## BISKUPI AMERYKAŃSCY

**podkreślają, że istniejące nierówności w podziale dochodu i bogactwa USA są nie do przyjęcia. W 1984 roku dolna jedna piąta rodzin otrzymywała zaledwie 4,7 proc. całego dochodu narodowego, a górna jedna piąta aż 42,9 proc. globalnego dochodu. W ciągu ostatniego dziesięciolecia przepaść między bogatymi a biednymi wzrosła.** *„Ponad 33 miliony Amerykanów* — czytamy — *czyli jeden na siedmiu obywateli, to ludzie biedni. Według dostępnych szacunków dalsze 20—30 mln cierpi niedostatek. Ubóstwo w Stanach Zjednoczonych wzrasta, a nie maleje. Ciężkie ubóstwo jest plagą naszego państwa, ponieważ idzie w parze z jego ogromnym dobrobytem".*

**Biskupi domagają się sprawiedliwości gospodarczej dla wszystkich. Postulują między innymi: ograniczenie prawa do posiadania, osiągnięcie pełnego zatrudnienia, zmianę obowiązującego prawa pracy, rewizję polityki ekonomicznej państwa. Opowiadają się za takimi reformami istniejącego ustroju, aby można było realizować** *„chrześcijańską wizję moralną".*

**W kołach konserwatywnych i rządowych USA wyraża się przekonanie, że apel biskupów katolickich nie będzie miał większego znaczenia. Poprzedni list pasterski Episkopatu w sprawie wojny i pokoju prezydent Ronald Reagan określił mianem** *„żałosnej enuncjacji pacyfistycznej".* **Biały Dom wysłał jednak poufnego emisariusza do Watykanu, żeby nakłonił papieża do uspokojenia biskupów.**

**Przeciętnego Polaka mało chyba dziś obchodzi i pociesza bieda w bogatej Ameryce. Mamy nieporównanie ważniejsze zmartwienia. Nasza gospodarka, dość powoli dźwigająca się z kryzysu została osłabiona przez niezwykle surową zimę. Z najnowszego komunikatu GUS wynika, że przemysł sprzedał w styczniu o 6,7 proc. mniej towarów niż przed rokiem. W krótkim komentarzu na łamach „TRYBUNY LUDU" (nr 40) Jan Markusz pisze:** *„Gdyby dobrze zliczyć, dni najtęższych mrozów i zawiei, zapewne nie uzbierałoby się tego więcej niż pół miesiąca. A jednak skutki tych pierwszych ataków zimy okazały się dla gospodarki poważne. Uwidoczniło się to szczególnie w przemyśle, na którego wynikach pracy zaważyły zakłócenia w transporcie, a zwłaszcza trudności z przewozem pracowników, surowców oraz materiałów. Były też znaczne ograniczenia w zasilaniu w energię i paliwa".* **Na szczęście w pierwszym miesiącu tego roku wyższy był skup świń (o 6 proc.) i drobiu (o 23 proc.). Mniejszy natomiast zanotowano skup żywca wołowego (o 3,5 proc.) oraz mleka (o 0,9 proc.).**

**Niepokoić musi dalsze pogorszenie stanu nierównowagi rynkowej. Przychody pieniężne ludności wzrosły o 23 proc., a produkcja i sprzedaż wielu wyrobów zmalały. Przeciętna płaca miesięczna w pięciu działach gospodarki osiągnęła 24,5 tys zł i była wyższa o ponad 18 proc. niż w styczniu ubiegłego roku.**

**Czy mamy jakieś szanse na zdecydowane przyspieszenie rozwoju naszego kraju? Nie widać ich, niestety, w sferze świadomości społecznej. Musielibyśmy najpierw przezwyciężyć**

## FATALNE NAWYKI

**ukształtowane w przeszłości. Na VII Ogólnopolskim Zjeździe Socjologicznym we Wrocławiu (17—20 IX 1986) Mirosława Marody wystąpiła z tezą, że w Polsce istnieje zasadniczy rozdźwięk pomiędzy publiczną a prywatną sferą aktywności. Referat jej opublikowany został w miesięczniku „ODRA" (nr 1).**

**Autorka twierdzi, że system polityczno-gospodarczy Polski Ludowej wytwarza następujące nastawienia jednostek: całkowitą dewaluację pracy w sektorze państwowym; dążenie nie tyle do bezpieczeństwa, co do asekuracji socjalnej; niechęć lub niezdolność do samodzielnego działania; skłonność do podejmowania głównie działań doraźnych, a nie perspektywicznych; zawistny egalitaryzm; nastawienie na przeciętność; postawy roszczeniowe wobec państwa. Nastawienia te są efektem przystosowania społeczeństwa do systemu. W ten sposób ludzie zachowują się na poziomie** *„makro"*, **czyli w rolach publicznych.**

**Zupełnie inaczej ci sami ludzie funkcjonują w życiu prywatnym. Każde z wymienionych nastawień makrospołecznych ma tu przeciwstawny typ zachowań. Na poziomie** *„mikro"* **obserwujemy odpowiednio: silne dowartościowanie pracy na własny rachunek; skłonność do ryzyka; postawy zaradności i własnej inicjatywy; wydłużenie perspektywy czasowej życia osobisto-rodzinnego; dążenie do heroizacji per procuram (identyfikowanie się z ludźmi sukcesu); pragnienie samorealizacji; postawy personalnego altruizmu.**

**Mamy więc siedem par przeciwstawnych nastawień. Mirosława Marody sugeruje, że utrwalone są one w podświadomości społeczeństwa polskiego. To znaczy, że istnieją w pewnym sensie niezależnie od świadomości. Jako wytwór systemu muszą istnieć wraz z nim. Nie można ich zmienić poprzez oddziaływanie na świadomość.**

**W ostatnim zdaniu swego referatu autorka stwierdza, że ludzie w naszym kraju ciągle oscylują** *„między przekonaniem, że wszystko jest możliwe, a przekonaniem, że nic się nie da zrobić".*

**W tym samym numerze miesięcznika wrocławskiego znajduje się sarkastyczny tekst Piotra Legutki pod znamiennym tytułem: „Zagubieni wobec nadziei. Konspekt wystąpienia na Krajowym Zjeździe Niepełnosprawnych Stażystów Życiowych". Wybrałem z tej publikacji dwa charakterystyczne fragmenty. Pierwszy stanowi ironiczną interpretację znanego przysłowia:** *„Ucz się, ucz... bo nauka to potęgi klucz. Jak będziesz miał wszystkie klucze, to zostaniesz dozorcą... A dozorca ma służbowe mieszkanie, stałą pensję i mało pracy. W końcu to trzy największe marzenia każdego Polaka. Ile w tym przysłowiu pobożnych życzeń, wie każde dziecko".*

**W innym miejscu swego artykułu Piotr Legutko pisze:** *„Twierdzicie, że człowiekowi ma być dobrze? Widać, że życia nie znacie. Co robi człowiek, któremu jest dobrze? Brzuch mu rośnie, mięśnie wiotczeją, a mózg schnie jak orzech włoski w zimie. Niech każdy z was modli się o jak najwyższy mur dla siebie, bo zginiecie jako karły. Obudźcie te rozszalałe pokłady aktywności, które drzemią pod starannie wykończoną patyną świętego spokoju. Powiem więcej, jak myślisz, po co każdy powtarza ci, że o niczym tak nie marzy, jak o tym, żeby ci było dobrze? Bo boi się! Czuje przez skórę, czego jesteś w stanie dokonać, gdy ci będzie źle".*

**Nasze obecne trudności i dawne losy dziejowe zmuszają do refleksji, czy my sami nie jesteśmy nosicielami zła? Powstaje bardzo często dyskutowany w Polsce problem:**

## JACY JESTEŚMY?

**Na to pytanie usiłuje również odpowiedzieć Edward Rużyłło w najnowszym wydaniu kwartalnika „STUDIA SOCJOLOGICZNE" (nr 3 z 1986 r.). Nie jest on socjologiem, lecz emerytowanym profesorem medycyny, wybitnym gastrologiem. Przeprowadził jednak „amatorskie" badania na temat wad i zalet Polaków. Ankiety wypełniło: 113 osób stale mieszkających w Polsce, 62 Polaków, którzy dłuższy czas przebywali poza krajem, oraz 48 cudzoziemców z dwudziestu krajów świata, którzy mają kontakty z Polakami.**

**W opinii własnej najbardziej jesteśmy podobni do Francuzów, Włochów, Jugosłowian i Węgrów. Według cudzoziemców najbardziej przypominamy Rumunów, Bułgarów, Czechów, Niemców i Węgrów. Respondenci polscy najczęściej wymieniali następujące zalety Polaków: gościnność, patriotyzm, odwagę. A obcokrajowcy wskazywali patriotyzm, gościnność i optymizm.** *„Komentując te odpowiedzi* — pisze Edward Rużyłło — *z przyjemnością można stwierdzić, że w ocenach tych Polacy to mili, odważni, pogodni ludzie, przywiązani bardzo do swego kraju i swojej kultury. Natomiast cechy takie jak pracowitość, uczciwość, racjonalność w myśleniu, zdolność do współdziałania, zdyscyplinowanie, oszczędność, wytrwałość nie były w odpowiedziach wymieniane lub wymieniano je bardzo rzadko".*

**Jakie mamy wady? W populacji polskiej najwięcej wskazań uzyskały kolejno następujące cechy: zawiść, lenistwo, pijaństwo, cwaniactwo (krętactwo), brak wytrwałości (słomiany zapał), niekonsekwencja, niegospodarność. Cudzoziemcy zaś najczęściej wymieniali: niesolidność (nieuczciwość), lekkomyślność, kłótliwość, lenistwo, chciwość, pijaństwo, brak wytrwałości. Zarówno ankietowani rodacy, jak i obcokrajowcy zgodnie uważali, że rozwój społeczeństwa polskiego przede wszystkim hamuje wręcz patologiczny indywidualizm.**

**Zastanawiając się nad wynikami badań i własnymi doświadczeniami, profesor Rużyłło doszedł do wniosku, że** *„istnieją jakieś powszechne cechy w naszym narodzie, które utrudniają nam osiąganie dobrych wyników w procesie zbiorowego działania".* **Pod koniec omawianego artykułu czytamy:** *„Wydaje się, że nie jesteśmy ludźmi łatwo akceptującymi cudze myśli. Każdy chciałby być twórcą własnych koncepcji i narzucać je innym do wykonania. Nie wiem, czy to jest powodem, że w naszym społeczeństwie przychodzące zarządzenia czyta się powierzchownie. Nie przeprowadza się odpowiednich studiów i rozważań co do najlepszego sposobu osiągnięcia celu określonego zarządzeniem, co do własnych możliwości wykonawczych. Mocodawcy z kolei, mając świadomość złego wykonawstwa, przesyłają zarządzenia zbyt szczegółowe, nie dostosowane do warunków miejscowych, co z kolei utrudnia drobne modyfikacje i adaptacje. W tych warunkach mniej odpowiedzialni wykonawcy uważają się za usprawiedliwionych, jeśli nie podejmują w pełni lub wszystkich obowiązków wykonawczych. W efekcie, po wielu latach stwierdza się, że system istniejący jest zły i wprowadza się nowy system. Przez analogię można by powiedzieć, że stać nas tylko na wysiłek budowy do wysokości parteru i nie jesteśmy w stanie wznieść wyżej gmachu społecznej działalności. Widząc to zaczynamy budować nowy budynek, kładziemy nowe fundamenty i budujemy go znowu, niestety, też tylko do parteru".*

E. L.

## NA WŁASNY RACHUNEK

# Zwolnieni z kozy?

Jeśli się nie mylę, w połowie lat międzywojennych w szkolnictwie polskim przestano stosować karę tzw. kozy. Siedzenie w kozie, będące postrachem jednych, a tytułem do chluby dla innych uczniów, polegało na przymusowym, samotnym pozostawaniu po lekcjach w zamkniętej na klucz klasie, pod nadzorem woźnego. Karę „kozy" mógł wymierzyć bodaj każdy nauczyciel dla ukarania złego zachowania ucznia. Kiedy koledzy delikwenta zajadali w domu obiadek lub grali sobie w piłkę, jemu pozostawało tylko — o kubku wody — liczenie wlokących się kwadransów, a może i godzin. Osławiona koza znana była całym pokoleniom uczniowskim i kiedy zaniechano jej stosowania, to jeszcze po zbyt późnym powrocie ze szkoły słyszało się od rodziców: „A cóż to? Siedziałeś w kozie?".

Skąd, na zasadzie jakiego skojarzenia naszło mnie to przypomnienie? Oczywiście, z powodu wysłuchania w dzienniku wiadomości o zwolnieniu nas z kozy. To znaczy o wycofaniu gospodarczych sankcji nałożonych przed przeszło pięciu laty na Polskę przez rząd Stanów Zjednoczonych. Czy jednak ta bezprawna „kara", która dotkliwie dała się nam we znaki, odniosła zamierzony, dobroczynny skutek wychowawczy?

Nie od rzeczy będzie wrócić pamięcią do niektórych okoliczności sprawy, a wypływające z niej wnioski dokładnie zapamiętać. Otóż nasz kraj (pod naiwnym pretekstem ukarania rządu) miał odczuć ujemne skutki faktu, iż społeczeństwo polskie ostatecznie nie dokonało całkowitego demontażu ustroju socjalistycznego i zerwania sojuszniczych układów, lecz mniej lub bardziej uległe (zresztą w atmosferze ostrych podziałów) podporządkowało się rozporządzeniom stanu wojennego. Niechby chociaż porwało się do „ogólnonarodowego powstania", ściągając na kraj zbrojną interwencję sojuszników z Paktu Warszawskiego, niechby popłynęła obficie krew polska, która podzieliłaby naród na garstkę współdziałających z rządzącymi i na przytłaczającą większość, dla której samo słowo socjalizm miałoby się na zawsze skojarzyć z krwawą obcą przemocą. Wobec utopijności „pokojowego" obalenia ustroju, musiał to być cel główny.

I tylko zawiedzione rachuby na tak radykalny zwrot w Polsce, na zmianę politycznego i wojskowego układu sił w tej części świata mogły pociągnąć za sobą histeryczne i brutalne reakcje niektórych przywódców państw zachodnich, a nie akurat to czy nastąpiło u nas „naruszenie praw człowieka" (permanentne ich naruszanie gdzie indziej wcale przecież tym politykom nie wadzi). Łudzono się też, że zamiast nieudanego formalnego wymanewrowania Polski z obozu socjalistycznego uzyska się przynajmniej, przy wsparciu sankcji gospodarczych, potęgujących niezadowolenie społeczne, warunki polityczne umożliwiające stworzenie nielegalnej władzy podziemnej, narzucającej społeczeństwu działania bojkotowo-strajkowe, krzyżujące poczynania władzy legalnej.

Właściwie nie powinna nas szczególnie oburzać i wyprowadzać z równowagi ta perfidia i brutalność antypolskich posunięć podejmowanych przez te koła kapitalistyczne, które mają silny wpływ na politykę zachodnich mocarstw, a w których interesie nie leży oczywiście istnienie gdziekolwiek w świecie państw o ustroju socjalistycznym. Odwoływanie się przez nich do praw człowieka jest przecież propagandowo skuteczniejsze niż byłoby otwarte powoływanie się na biznes.

Stąd też nie można się z kolei dziwić, że autorzy sankcji dają teraz do zrozumienia, że bynajmniej nie ponieśli fiaska, gdyż rzekomo „wymusili" na nas uwolnienie więźniów politycznych, a ponadto rząd USA pragnął uczynić zadość petycjom niektórych przywódców byłej opozycji polskiej. No cóż, wiemy (i Amerykanie chyba też), że mimo dotkliwych skutków sankcji dla naszego poziomu życia i ich wpływu na zwiększenie się naszego zadłużenia, polska gospodarka przetrwała najgorsze w znacznej mierze dzięki umocnieniu powiązań gospodarczych z krajami socjalistycznymi i kontaktom handlowym z grupą krajów, które nie podejmowały wobec nas kroków nieprzychylnych. Sankcje zniesiono m.in. i dlatego, że wbrew nim udało nam się wyjść z międzynarodowej izolacji politycznej.

Wielu z nas przewidywało, że tak się to będzie musiało zakończyć, gdyż Polska, ze swym potencjałem, jest innym potrzebna, a jej kondycja płatnicza jest dla jej zachodnich wierzycieli nieobojętna. Nieposłusznego ucznia trzeba wreszcie zwolnić z kozy...

Co do mnie, to jednej rzeczy nie przewidywałem, że znajdą się w kraju ludzie, którzy zaaprobują niekorzystne dla kraju posunięcia gospodarcze, a nawet będą nawoływać do ich kontynuacji, żeby odzyskać utraconą pozycję i dojść do władzy, a tymczasem korzystać z materialnego wsparcia zagranicy. I że oddadzą usługi antypolskiej propagandzie, wnosząc wiernopoddańcze petycje o zniesienie sankcji, gdy stało się to nieuniknione.

Nie przewidywałem, że owi bądź co bądź działacze, mogą tak nie dbać o zachowanie twarzy wobec społeczeństwa, któremu chcieliby przewodzić. Czy aż tak nami gardzą?

JERZY KWIECIŃSKI

# W najbliższych numerach „Odgłosów"

**— „Człowiek epoki socjalizmu miał być mądry, szlachetny. A tymczasem na froncie wychowawczym ponieśliśmy największą porażkę. Dlaczego? Jakie mechanizmy decydują o moralnym obliczu ludzi? Co możemy i powinniśmy zmienić?" — na te pytania usiłuje odpowiedzieć w obszernym eseju EDMUND LEWANDOWSKI.**

**— Na pytania „Odgłosów" odpowiada DANIEL PASSENT — wywiad z nim, wielce interesujący, przeprowadził EUGENIUSZ IWANICKI.**

**— Czy rolnictwo może dawać więcej produktów tylko dzięki sztucznemu nawożeniu? Okazuje się, że nie. Brzmi to niemal fantastycznie, ale powrót do naturalnych sposobów nawożenia i zwalczania szkodników jest możliwy. Badając naturalne współzależności zachodzące w przyrodzie można produkować zdrową żywność i to w dużych ilościach. Próbuje przekonać o tym — na przykładzie gospodarstwa z Wieluńskiego oraz całego ruchu biodynamicznego w rolnictwie — PAWEŁ TOMASZEWSKI.**

**— MAREK KOTAŃSKI zwierza się reporterowi skąd wziął pierwszego dolara wpłaconego na fundusz nadziei i kto mu dał następne.**

**— Po raz pierwszy — ale nie ostatni — specjalna kolumna druku poświęcona video — VIDEONOTES!**

**— Tyle historii na tak małym skrawku ziemi — dziwi się JACEK MACIASZEK w reportażu z Jerozolimy, znad Morza Martwego i z miejsca, gdzie niegdyś była Sodoma.**

**— WOJCIECH MANN zwierza się WITOLDOWI WERNEROWI dlaczego lubi robić takie rzeczy, których się nikt po nim nie spodziewa.**

ze str. 1

siem nie tylko dlatego, że chętnie rozpowszechniła je prasa burżuazyjna. Sformułował on explicite to, co myślano i do czego dążono w niemieckim ruchu robotniczym. W kwietniu 1899 r. August Bebel pisał do Victora Adlera, że nie byłoby problemu Bernsteina, *„gdybyśmy mieli tylko jednego Bernsteina, ale my mamy ich cały szereg, i to na znakomitych stanowiskach partyjnych"*. Rewizjonizm wychodził naprzeciw poważnej części socjaldemokracji, trafiał do przekonania umysłom oportunistycznym.

## KRYTYKA REWIZJONIZMU

ze strony czołowego wówczas teoretyka II Międzynarodówki, Karola Kautsky'ego, była wprawdzie ostra i zdecydowana, ale niezbyt głęboka filozoficznie. W przeciwieństwie do Marksa i Engelsa punktem wyjścia dla Kautsky'ego — jak sam pisze — był Darwin, a nie Hegel. Niemniej dostrzegał on rolę dialektyki, ale nie doceniał znaczenia filozofii w systemie marksistowskim. Marksizm nie był dla niego filozofią, lecz nauką „doświadczalną". Stanowisko to było zgodne z ogólną wówczas niechęcią do filozofii. Na początku XX w. wśród teoretyków socjaldemokracji panowało przekonanie, że marksizm jest wyłącznie „nauką", czyli ekonomią, historią, socjologią — filozofia natomiast ma charakter „nienaukowy".

Lekceważenie zagadnień filozoficzno-światopoglądowych i niska stosunkowo kultura filozoficzna większości przywódców sprzyjały umacnianiu się w ruchu robotniczym koncepcji materialistyczno-metafizycznych, a w szczególności: naturalizmu i determinizmu ekonomicznego. Znaną tezę o konieczności socjalizmu w rozwoju społecznym, ujmowanym jako proces „przyrodniczo-historyczny", interpretowano w sposób mechanistyczno-deterministyczny. Charakteryzując skrajną wersję pierwszej z tych orientacji Palmiro Togliatti pisał:

*„Przejście od kapitalizmu do socjalizmu miało się dokonać na zasadzie działania prawa przyrody, tego samego prawa, które zdeterminowało przejście od małpy do człowieka i od mgławicy kosmicznej do systemu gwiazd i planet".*

Zwolennicy monistycznego naturalizmu zakładali więc, że socjalizm nadejdzie niezależnie od woli ludzi — na mocy wewnętrznej logiki wszechświata, którego prawom społeczeństwo nieuchronnie podlega. Przedstawiciele drugiej z kolei orientacji absolutyzowali znaczenie czynnika ekonomicznego w procesie historycznym, błędnie interpretując marksowską koncepcję determinowania w ostatniej instancji. Przyjmowano, że kapitalizm automatycznie ustąpi miejsca socjalizmowi, gdy tylko zostanie osiągnięty odpowiedni poziom rozwoju sił wytwórczych. W sumie obie wykładnie prowadziły do pomijania w teorii rozwoju społecznego roli rewolucji i czynników pozaekonomicznych. W praktyce zaś sprzyjały przyjmowaniu postawy wyczekiwania na bliżej nieokreślony moment, w którym „sama" historia stworzy niezbędne przesłanki socjalizmu i w sposób pokojowy „odda" władzę socjaldemokracji.

Trzeba przyznać, że inspirowany neokantyzmem rewizjonizm wyrastał jako wyraźny sprzeciw wobec mechanistyczno-deterministycznej interpretacji konieczności historycznej. Przy czym był to sprzeciw tak silny, iż tezie o nieuchronności socjalizmu odmówiono w ogóle charakteru naukowego. Socjalizm uznano za coś, co być może i powinno, ale nie musi. A całe zagadnienie sprowadzano z płaszczyzny naukowej na grunt etyczno-ideologiczny.

Wskazywano, że społeczeństwo kapitalistyczne stopniowo „wrasta" w socjalizm, bo ludzie tego pragną i ku temu dążą. Sam cel owego pragnienia i dążenia — jako nigdy nieosiągalny w pełni ideał — jest „niczym". Natomiast ruch — jako wieczne dążenie do ideału — jest „wszystkim". W takim ujęciu zamiast zmierzać do przewrotu rewolucyjnego, który i tak nie pozwoli na urzeczywistnienie ideału, lepiej umacniać i rozwijać „pierwiastki socjalizmu". A zatem cierpliwie czekać i „ulepszać" istniejące społeczeństwo.

Strategię socjaldemokratyczną genialnie wyraził poeta austriacki Helmut Zenker. W wierszu pt. „Socjaldemokratycznie" napisał:

*rewolucja*
*przewidziana na jutro*
*musi zostać przełożona*
*na czas nieokreślony*
*ponieważ*
*nie dokonano w terminie*
*jej prawnego zgłoszenia.*

Nadzieje ewolucjonistów i neokantystów na powolne kształtowanie przesłanek i narastanie pierwiastków socjalizmu były niewątpliwie uwarunkowane pomyślnym rozwojem kapitalizmu i ekspansją świadomości klasowej burżuazji. W okresie do pierwszej wojny światowej nastąpiła istotna poprawa położenia robotników: wzrosły płace realne, skrócono czas pracy i rozbudowano ustawodawstwo socjalne. Na tej podstawie wielu socjalistów zwątpiło w teorię Marksa — głównie ci, którzy poznali ją nazbyt powierzchownie.

Przeciwko koncepcjom automatyzmu dziejowego i rezygnacji z dialektyki szczególnie ostro zaprotestowali György Lukács i Karl Korsch. Obaj jednak — słusznie zwalczając fatalizm — wpadli w inną skrajność, określaną zwykle skrótowo jako „subiektywizm" i „woluntaryzm". Występując zdecydowanie w obronie filozofii i logiki dialektycznej w marksizmie przesadnie acentowali rolę heglizmu w teorii Marksa. Nawiązując do myśli Hegla, że duch rozwija się tylko jako całość, skłonni byli na podstawie samego wzrostu świadomości rewolucyjnej proletariatu wnioskować o dojrzałości do socjalizmu. Wprawdzie ukazali oni rewolucyjny charakter filozofii marksistowskiej i obnażyli elementy światopoglądu mieszczańskiego u teoretyków socjaldemokracji, ale koncepcje ich zawierały pewne cechy o charakterze idealistycznym. Niektóre głoszone wówczas przez nich poglądy wyraźnie sprzyjały w polityce tendencjom lewackim i anarchistycznym. Do idei Lukácsa i Korscha szczególnie chętnie nawiązywali myśliciele ze „szkoły frankfurckiej" i inni późniejsi rewizjoniści.

Na tle przedstawionych wyżej odchyleń można wyraźnie wyodrębnić koncepcje Włodzimierza Lenina i Antonio Gramsciego. Według nich konieczność historyczna stanowi rezultat dialektycznego splotu czynników obiektywnych i subiektywnych. Baza ekonomiczna określa proces historyczny „w ostatniej instancji", ale społeczeństwo może rozwijać się pod bezpośrednim wpływem czynników pozaekonomicznych (np. polityki i ideologii). Polityka ma prymat nad ekonomiką, chociaż w ogólności i w dłuższym okresie czasu od niej zależy i jest jej „skoncentrowanym" wyrazem.

**Socjalizm — według Lenina i Gramsciego — zostanie zbudowany** przez klasę robotniczą i jej sojuszników. Potrzebna jest do tego awangardowa partia robotnicza i dyktatura proletariatu. Proces budowy socjalizmu będzie pierwszą próbą świadomego i planowego pokierowania historią.

Poglądy Lenina i Gramsciego stanowią rzeczywistą kontynuację marksizmu i przezwyciężenie zarówno deterministyczno-fatalistycznych, jak i subiektywno-idealistycznych interpretacji marksistowskiej teorii procesu historycznego. Do praktycznej realizacji ich koncepcji niezbędna była

## PARTIA NOWEGO TYPU

w porównaniu z socjaldemokratycznymi partiami II Międzynarodówki. Partię taką stworzyli w Rosji bolszewicy.

W najogólniejszym i najbardziej lapidarnym ujęciu była to organizacja skupiająca w jedność trzy elementy: rewolucyjną ideologię, dialektyczną taktykę i sprawną organizację. W oparciu o uogólnienia dokonane głównie przez Lenina można przyjąć, że partia komunistyczna powinna posiadać następujące cechy i kierować się następującymi „zasadami".

Po pierwsze — musi być awangardą i reprezentacją polityczną klasy robotniczej. Z tego wynika, że przede wszystkim winna spełniać trzy podstawowe funkcje: a) na bieżąco wyrażać obiektywny interes tej klasy, czyli rozwijać świadomość klasową proletariatu; b) wnosić w szeregi klasy świadomość socjalistyczną i stymulować proces wyzwalania się jej spod wpływów obcej świadomości klasowej (burżuazyjnej i drobnomieszczańskiej); c) mobilizować siły i środki do urzeczywistnienia interesów robotników — dążąc do zdobycia władzy lub znaczącego wpływu na tych, którzy ją sprawują. Partia więc, jak u Marksa i Engelsa, miała stanowić instrument służący przekształcaniu proletariatu z „klasy w sobie" i „klasy dla burżuazji" w dojrzałą „klasę dla siebie", tzn. świadomy podmiot historii — klasę panującą w społeczeństwie.

Po drugie — musi mieć bardzo starannie dobranych członków, aby stanowiła awangardę m o r a l n ą społeczeństwa. Oznacza to, że winna skupić wyłącznie najbardziej świadomych i aktywnych robotników oraz jedynie tych ludzi spośród innych klas i warstw, którzy całkowicie identyfikują swoje interesy i dążenia z interesami i dążeniami proletariatu.

Lenin niejednokrotnie przestrzegał, że do partii rządzącej napływać będą ludzie nieuczciwi, kierujący się tylko własnymi interesami. Był on zdania, że najbardziej wartościowi są ci, którzy wstąpili do partii w trudnych dla niej warunkach. W związku z weryfikacją („czystką") szeregów partyjnych, w toku której usunięto 25 proc. ogółu członków, we wrześniu 1921 r. pisał:

*„Masy pracujące z ogromnym wyczuciem odróżniają członków partii uczciwych i oddanych od takich, którzy budzą wstręt w każdym, kto w pocie czoła zdobywa chleb, kto nie ma żadnych przywilejów, żadnych «chodów»".*

Po trzecie — powinna posiadać naukowy program działania i twórczo rozwijać ideologię marksizmu. W artykule pt. „Nasz program" — napisanym w czasie pobytu na zesłaniu — pisał Lenin:

*„Nie traktujemy bynajmniej teorii Marksa jako czegoś zakończonego i nietykalnego: przeciwnie, przekonani jesteśmy, że założyła ona jedynie kamień węgielny tej nauki, którą socjaliści p o w i n n i rozwijać dalej we wszystkich kierunkach, jeżeli nie chcą pozostać w tyle za życiem. Sądzimy, że dla socjalistów rosyjskich szczególnie niezbędne jest s a m o d z i e l n e przepracowanie teorii Marksa, teoria ta bowiem daje jedynie ogólne tezy p r z e w o d n i e, które w s z c z e g ó ł a c h stosuje się inaczej do Anglii niż do Francji, inaczej do Francji niż do Niemiec, inaczej do Niemiec niż do Rosji".*

Można by tu dodać: inaczej do Rosji niż do Polski itd. Jednocześnie Lenin, podobnie jak Jerzy Plechanow, mocno podkreślił, że nie może istnieć żaden ruch rewolucyjny bez posiadania teorii rewolucyjnej. Podstawą takiej teorii nie może, rzecz prosta, być socjologia pozytywistyczna — absolutyzująca fakty i wspierająca się na filozofii zdrowego rozsądku.

Dlatego właśnie A. Gramsci w sposób niezwykle krytyczny ustosunkował się do książki Nikołaja Bucharina „Teoria materializmu historycznego".

Po czwarte — powinna być dobrze zorganizowana i funkcjonować w oparciu o zasadę centralizmu demokratycznego. Centralizm jest konieczny ze względu na potrzebę efektywności i skuteczności działania, ale uzasadniony być może tylko równoczesnym istnieniem demokracji, a więc swobody wypowiedzi, krytyki i decyzji. Interesująco pisała na ten temat Maria Koszutska (Vera, Kostrzewa):

*„W jaki sposób partia stojąca u władzy może pozostać żywą partią, a nie aparatem administracyjnym? Partia — kierowniczka aparatu państwowego, musi działać na podstawie komendy z góry, partia — organizacja ideowa, musi umiejętnie zespalać impulsy idące z góry i z dołu, musi dać swoim członkom możność szerokiego omawiania wszystkich ważniejszych spraw dotyczących życia partii i zarządu państwem, musi dać im możność wpływania na decyzje, musi dać prawo krytyki, a jednocześnie nie uszczuplać swojej sprężystości, uniknąć niebezpieczeństwa zamienienia się w klub dyskusyjny, niebezpieczeństwa, które dla partii rządzącej byłoby groźniejsze niż dla innej".*

Lenin był zdania, że warunkiem przynależności do partii jest podporządkowanie się — wybranemu w demokratycznych wyborach — kierownictwu instancji centralnych. W sprawach szczególnie ważnych, kontrowersyjnych i wymagających masowego działania nie wystarczy — według niego — opierać się na poglądach przedstawicieli, lecz trzeba zasięgnąć opinii wszystkich członków.

Po piąte — powinna szczególnie ostrożnie i uważnie wysuwać centralnych przywódców. Ludzie ci winni posiadać cechy godne naśladowania przez wszystkich członków partii i bezpartyjnych oraz umiejętność pokierowania tak złożonym systemem, jak partia nowego typu. Lenin uważał, że na kierowniczych stanowiskach nie wolno tolerować osób niekulturalnych, apodyktycznych i zbyt pewnych siebie. Oceniając działalność Józefa Stalina na stanowisku sekretarza generalnego partii pisał, że jest on *„zbyt brutalny"*, i dlatego należy rozważyć sprawę przeniesienia go na inne stanowisko. Sekretarzem zaś należy wybrać takiego człowieka, który różniłby się od Stalina *„większą tolerancyjnością, większą lojalnością, większą uprzejmością, bardziej uważnym stosunkiem do towarzyszy, mniej kapryśnym usposobieniem itd"*. Zarzucał Stalinowi, że skupił w swoich rękach *„nadmierną władzę"* i wyrażał wątpliwość, czy potrafi z niej *„korzystać z należytą ostrożnością"*.

Bardzo wysoko oceniał zdolności Lwa Trockiego — pisząc o nim, że jest *„bodaj że najzdolniejszym człowiekiem w obecnym KC"*, ale równocześnie wytykał mu zbyt dużą pewność siebie i skłonności do administrowania. Nie uważał Trockiego za człowieka w pełni godnego zaufania. Mówił o nim:

*„A mimo wszystko nie jest to nasz człowiek! Niby jest z nami — a przecież nie nasz. Ambitny nazbyt. I jest w nim coś takiego (...) niedobrego — coś z Lassalle'a (...)".*

Do wyboru odpowiednich przywódców partyjnych przywiązywał Lenin olbrzymie znaczenie, ponieważ był zdania, że od ich zdolności i cech charakterologicznych zależy jakość całej partii. Na ważny, jak się wydaje, fakt zwróciła uwagę Maria Koszutska. W przemówieniu na III Zjeździe KPP podkreśliła, że za błędy popełnione przez partię nie można oskarżać wąskiej grupy z jej kierownictwa. Pozostali członkowie KC muszą również czuć się odpowiedzialni za politykę prowadzoną przez partię. Obciążenie za błędy tylko kilku osób prowadzi — jej zdaniem — do odzwyczajania partii od myślenia politycznego.

Po szóste — powinna zachować jedność organizacyjną i ideologiczną. Oznacza to, że, umożliwiając swobodę dyskusji i dopuszczając różnice zdań, nie należy różnic tych instytucjonalizować w postaci frakcji. Partia ma być jednością w różnorodności, ale — rzecz jasna — różnorodność nie może wykraczać poza podstawowe zasady budowy socjalizmu. Należą do nich: uspołecznienie kluczowych środków produkcji, państwo będące dyktaturą proletariatu i kierownicza rola partii komunistycznej wobec państwa i społeczeństwa. Nieakceptowanie tych zasad jest równoznaczne z wykluczeniem z szeregów partyjnych. Interesującym i wartym podkreślenia faktem historycznym jest to, że Lenin polemizując nieraz bardzo ostro ze swoimi oponentami w KC nie domagał się, aby usunięto ich z władz partyjnych lub nie wybierano do władz w przyszłości.

Po siódme — powinna utrzymywać ścisłą więź z masami, czyli znać i rozumieć ich problemy oraz tak kierować, aby nie stracić kontaktu i pełnego zaufania. Olbrzymie znaczenie przywiązywał Lenin do udziału autentycznych robotników w pracach Komitetu Centralnego i Biura Politycznego. W partii upatrywał taką formę społeczno-polityczną, która jednoczy intelektualistów proletariackich z masami robotniczymi i biedotą chłopską.

Antonio Gramsci trafnie podkreślał: *„Proces rozwoju związany jest z dialektyką: intelektualiści — masa"*. Jego zdaniem partia ma w istocie intelektualny charakter, *„kierowniczy, organizacyjny, wychowawczy"*. Tworzy z mas robotniczo-chłopskich klasę panującą i zespala z nią warstwę inteligencji. W innym miejscu pisał on: *„Lud «odczuwa», ale nie zawsze rozumie albo wie, element inteligencki «wie», ale nie zawsze rozumie, a zwłaszcza nie zawsze «odczuwa»"*. Dzięki partii klasa robotnicza zdobywa własnych „organicznych" intelektualistów, co umożliwia jej sprawowanie w społeczeństwie nie tylko dyktatury, lecz również hegemonii.

Po ósme — powinna wykształcić wśród klasy robotniczej przeświadczenie o jej dziejowej misji i czołowej roli w stosunku do innych klas i warstw. Albowiem — jak słusznie pisał Gramsci — *robotnik «jest» proletariuszem, gdy «wie», że jest nim, gdy myśli i działa zgodnie z tą «wiedzą»"*. O pełnej przynależności do klasy nie decyduje sam zawód, lecz rzeczywista rola klasowa — działanie zgodnie z obiektywnym interesem klasy. Robotnicy stają się naprawdę klasą wówczas, gdy zaczynają być świadomym podmiotem rozwoju społecznego.

*„Partia komunistyczna* — zdaniem Gramsciego — *jest narzędziem i historyczną formą procesu wewnętrznego wyzwolenia, dzięki któremu robotnik z wykonawcy zmienia się w inicjatora, z masy — w przywódcę i przewodnika, przestaje być tylko ramieniem, a staje się mózgiem i wolą"*.

W tym celu jednak kultura robotników musi stać się w pełni kulturą robotniczą, tzn. socjalistyczną — obejmującą takie wartości oraz wzory działań i zachowań, które najlepiej sprzyjają rozwojowi systemu opartego na społecznej własności środków produkcji.

Po dziewiąte — powinna w każdej chwili precyzyjnie określać najważniejszy aktualnie cel działania i skupiać na nim główne siły, a równocześnie nie tracić z pola widzenia wszystkich innych, mniej ważnych spraw. W pracy „Najbliższe zadania władzy radzieckiej", wydrukowanej w kwietniu 1918 r., Lenin podkreślał:

*„Nie wystarcza być rewolucjonistą i zwolennikiem socjalizmu lub komunistą w ogóle. Trzeba umieć w każdej poszczególnej chwili odnaleźć owo szczególne ogniwo łańcucha, za które należy uchwycić ze wszystkich sił, by utrzymać cały łańcuch i solidnie przygotować przejście do następnego ogniwa, przy czym kolejność ogniw, ich forma, ich połączenie, różnice między nimi nie są w łańcuchu wydarzeń historycznych tak proste, ani błahe jak w zwykłym łańcuchu wykonanym przez kowala".*

Cytując te słowa, tak często przytaczane w różnych pracach i przez różnych autorów, historyk brytyjski Geoffrey Barraclough dodaje od siebie: *„Niewielu ludzi w dziejach dorównało Leninowi, nikt nie przewyższał go w tej istotnej umiejętności"*.

Po dziesiąte — powinna przystosować formy organizacyjne do bieżących zadań, łączyć teorię z praktyką i stosować w działaniu logikę dialektyczną. Ulubionym zwrotem Lenina był słynny cytat z Fausta Goethego mówiący, że każda teoria *„jest szara, ale zielone — życia drzewo złote"*. W styczniu 1923 r. uzasadniając Rewolucję Październikową — powołał się na powiedzenie Napoleona: *„Z początku trzeba się zaangażować w poważną bitwę, a później się zobaczy"*. W ten sposób wyjaśnił, że nigdy nie można przewidzieć dokładnego kształtu przyszłości, lecz jedynie główny kierunek rozwoju, a kwestie szczegółowe trzeba rozwiązywać w toku praktyki.

## TYLKO DIALEKTYKA

Jeden z najbardziej znanych sowietologów — kierujący grupą badaczy historii KPZR przy Uniwersytecie Columbia — Alfred Meyer tak pisze: *„Lenin był przekonany, o tym, że dialektyka, przynajmniej w jej materialistycznym lub marksistowskim pojmowaniu, stanowi klucz do właściwego rozumienia rzeczywistości i wyboru prawidłowej linii działania, kwintesencję filozofii, a zatem najważniejszy oręż rozumu dla działacza rewolucyjnego. Jednakże będąc najsubtelniejszym tworem rozumu, dialektyka jest trudno przyswajalna i trudno ją objaśniać. Stąd szczególnie żywe zainteresowanie nią Lenina. W odróżnieniu od wielu innych marksistów nie miał on zamiaru bawić się terminologią dialektyczną w swych traktatach i przemówieniach. Dialektyka nie była dlań zabawką ani filozoficzną abstrakcją, na której temat można się posprzeczać. Stanowiła ona dla niego nieoceniony oręż praktyczny, arcanum imperii w pełnym tego słowa znaczeniu, o którym nie trzeba rozprawiać, lecz przyjąć za uzbrojenie i umiejętnie się nim posługiwać, tak jak posługuje się zwykle w praktyce własną podstawową filozofią niepisaną"*.

Jest to niewątpliwie trafne i dość interesujące świadectwo. Warto tu odnotować, że charakteryzując w grudniu 1922 r. sylwetkę Bucharina — Lenin stwierdził o nim, iż jest to wprawdzie wybitny teoretyk partyjny, ale poglądy jego nie są całkowicie marksistowskie, ponieważ nie opanował dialektyki.

Jak z powyższego wynika, partia typu leninowskiego, w przeciwieństwie do niezmiennych i spetryfikowanych form instytucjonalnych, miała stanowić dynamiczny system funkcjonujący według dialektycznych praw. Tylko taka bowiem organizacja może najlepiej sprostać wyzwaniom historii, która jest — używając sformułowania Jerzego Plechanowa — *„największym dialektykiem"*.

EDMUND LEWANDOWSKI

# Między powinnością a rzeczywistością

# Czy zima nam zaszkodziła?

**Wszystko wskazuje na to, że zima już odchodzi, ale przecież pozostawiła skutki, z którymi przyjdzie nam jeszcze długo borykać się. Jak zima wpłynęła na pracę różnych dziedzin gospodarki? Odpowiedzi na to pytanie postanowiliśmy poszukać w różnych przedsiębiorstwach. Staraliśmy się wyjaśnić i pokazać, jak w porównaniu do wyników 1986 roku kształtowały się rezultaty z początku 1987 roku, kiedy to trzeba było dokładać wiele wysiłku, aby utrzymać rytmikę produkcji, kiedy szwankował transport i brakowało energii elektrycznej?**

**Nasza penetracja w kilku przedsiębiorstwach miała na celu uchwycenie stanu istniejącego pod koniec pierwszej połowy lutego. Ale też staraliśmy się pokazać, jakie to może mieć skutki dla dalszej pracy przemysłu.**

## „ELTA"

Fabryka Transformatorów i Aparatury Trakcyjnej „Elta" jest największym zakładem przemysłowego Teofilowa, zatrudniającym ponad 3 tysiące ludzi. Jest to jedyny w kraju producent transformatorów najwyższych mocy, eksportujący swe wyroby do wielu krajów świata. Podobnie jak i inne zakłady naszego miasta, „Elta" odczuła skutki tegorocznej zimy.

— Zacznijmy od tego — mówi zastępca dyrektora d.s. obsługi, inż. Edmund Borowski — że zima — jako pora roku — nie jest dla nas zaskoczeniem, jak dla niektórych innych przedsiębiorstw.

Toteż rokrocznie, jeszcze latem, sporządzany jest w zakładzie szczegółowy harmonogram, kto i co ma załatwić, by zima nie zakłóciła normalnego toku produkcji. Stąd działania zaopatrzenia, by zakupić ciepłą odzież, zgromadzić piasek i sól do posypywania chodników, stąd działania służb Głównego Energetyka i Głównego Mechanika, by wszystkie drzwi i bramy były szczelne, by wisiały w nich kotary, by działały kurtyny cieplne, by w oknach wstawiono wszystkie brakujące szyby. Praktycznie od listopada zawsze jesteśmy przygotowani na nadejście zimy.

Jeśli powiem, że zimę przeżyliśmy bez zakłóceń, to najzwyczajniej w świecie skłamię. Zaraz, pierwszego dnia mrozów, zamarzło kilka grzejników. Służby Głównego Mechanika i Głównego Energetyka natychmiast przystąpiły do ich naprawiania i chyba tylko ofiarnej pracy ludzi — często nawet od 7 rano do 21 wieczorem — należy zawdzięczać, że nie nastąpiła żadna, poważniejsza awaria.

Oczywiście, natychmiast spadła temperatura wewnątrz hal produkcyjnych. Tam, gdzie minimum powinno być 16 stopni, było chwilami tylko 6! Nie co dzień i nie we wszystkich miejscach, ale tym niemniej były takie momenty. Ale czemu się dziwić, jeśli temperatura czynnika grzejnego, dostarczanego z EC IV, miast planowanych 140 stopni, miała tylko ok. 110, a w szczytowym okresie nawet 95 stopni!

W związku z taką sytuacją, kierownictwo zakładu podjęło decyzję, o wydaniu dodatkowych 200 kompletów ocieplanych ubrań oraz takiej samej ilości ciepłej bielizny. Cyfra nie jest może szokująca i wydać się może kroplą w morzu potrzeb — ale to tylko pozory. Bowiem znaczna część pracowników taką odzież już posiada — zgodnie z obowiązującymi normatywami BHP. Poza tym zakładowa kuchnia uruchomiła wydawanie zwiększonej ilości posiłków regeneracyjnych. Jeśli na co dzień wydaje ich 100 — 150, to w czasie największych mrozów wydawała ponad 300. Prawdą jest, że stanowi to górny pułap jej możliwości, ale w praktyce okazało się, że nikt nie odszedł od bufetu bez talerza ciepłej zupy.

Z całą pewnością mróz miał wpływ na wydajność pracy — choć nie w sposób drastyczny. Powiem więcej, plan sprzedaży za styczeń przekroczyliśmy nawet o 7 proc.! Wracając jednak do wydajności pracy. „Rozkładała" nas komunikacja. Jakiej wydajności mogliśmy spodziewać się od pracownika, który zamiast na szóstą, przyjeżdżał na zmianę — z winy MPK — na ósmą? A na dodatek musieliśmy go zwalniać z pracy dwie godziny wcześniej, by mógł dojechać do domu, do odległej wioski? W tym roku komunikacja była — jak się to potocznie mówi — pod psem. Na dodatek, na Aleksandrowskiej, jakiś pirat drogowy tak skutecznie pozrywał sieć trakcyjną, że nim ją naprawiono, minęło sporo czasu. A fakt ów bardzo przyczynił się do dezorganizacji produkcji.

Wspomniałem, że plan sprzedaży udało się nam przekroczyć. Nie chciałbym jednak, aby w tej materii były pewne niedomówienia: otóż transformator — to nie guzik, który można sprzedać w tym samym miesiącu, w którym się go wyprodukowało. Cykl produkcji dużego transformatora trwa przecież wiele, wiele tygodni, toteż należy się spodziewać, że skutki tej zimy dadzą o sobie znać dopiero za kilka miesięcy.

Natomiast na terenie zakładu nie mieliśmy jakichś większych problemów ani natury zaopatrzeniowej, ani ekspedycyjnej. Było trochę kłopotów z niektórymi materiałami, ale staraliśmy się rozwiązywać je we własnym zakresie, nawet jeśli zdarzało się, że samochód ze Śląska wraca cztery dni... Przez jakiś czas kolej także nie chciała od nas przyjmować transformatorów do wywozu. Na szczęście jednak, na terenie mamy sporo miejsc magazynowych, więc i z tym kłopotem jakoś daliśmy sobie radę.

Chciałbym jeszcze raz wrócić do warunków pracy wewnątrz hal. Rzeczywiście, w pierwszych dniach mrozów było tam bardzo zimno. Ale już po 2—3 dniach sytuacja uległa radykalnej poprawie — i to wcale nie na skutek dostarczania większych ilości ciepła, lecz racjonalniejszego nim gospodarowania. Sami pracownicy bowiem zaczęli dbać o to, by drzwi i bramy otwierane były tylko w niezbędnych momentach. Pozwoliło to na podniesienie temperatury aż o około 4 stopnie! Poza tym pracownicy Działu Głównego Energetyka całymi nocami dbali o to, by nagrzewnice ciepłego powietrza działały bez zarzutu i aby nie zamarzły grzejniki. Z całonocnych dyżurów odwołano ich dopiero wtedy, gdy fala mrozów już minęła.

Trzeba przyznać, że wizja przedstawiona przez dyrektora sprawiała wrażenie dość optymistycznej. Potwierdzili ją jednak sami pracownicy, którzy przyznali, że rzeczywiście, w halach było zimno — na niektórych stanowiskach zlokalizowanych przy bramach wjazdowych temperatura oscylowała nawet w okolicach 2 stopni — ale przecież nie dyrekcja ponosi za to winę. Wszyscy natomiast zgodnie potwierdzili, że otrzymali ciepłą odzież i ciepłe posiłki, które — co także nie jest bez znaczenia — były ponoć bardzo smaczne i urozmaicone.

— I jeszcze jedno mogę dodać — kończy dyrektor Borowski — w tych dniach, mieliśmy na terenie zakładu Inspekcję Robotniczo-Chłopską, która w swym protokole w pełni potwierdziła, że zakład do zimy był przygotowany prawidłowo.

## ZPO IM. A. PRÓCHNIKA

Nie jest dobrze, jeśli z jakichś przyczyn przedsiębiorstwo nie wykonuje zadań planowych — ale również znaczne przekroczenie planu — choć pozornie oznacza sukces — nie jest na ogół faktycznym osiągnięciem, bowiem często kryją się za tym albo niedostatki planowania, albo też rozmaite celowe zabiegi, stosowane dla osiągnięcia różnorodnych korzyści.

Żadna z takich ewentualności nie zaistniała w Zakładach Przemysłu Odzieżowego im. dr A. Próchnika. O tym, że jest to zakład dobry wiedzą wszyscy łodzianie i nie tylko łodzianie — choć wiedzą raczej ze słyszenia niż z własnej praktyki, bowiem kupno płaszcza, kurtki czy wdzianka z Próchnika jest niesłychanie trudne. Przedsiębiorstwo nastawione jest przede wszystkim na produkcję eksportową. Od lat cieszy się uznaniem odbiorców w krajach zachodnich, wysyłając swoje wyroby przede wszystkim do Holandii i RFN. O marce zakładu świadczy również m. in. fakt, że — mimo wprowadzenia restrykcji — eksport wyrobów do USA zmalał jedynie w niewielkim stopniu.

Rok ubiegły zamknął się realizacją zadań 100,5 proc. w porównaniu z rokiem 1985. Uszyto w przedsiębiorstwie 907579 tys. sztuk odzieży różnego rodzaju, a ponadto, dodatkowo 59 mln ubranek dziecięcych, wykorzystując na nie resztki, powstające przy krojeniu oraz tzw. wypady.

Wartość produkcji w cenach konfekcjonowania — również w porównaniu z rokiem 1985 — wzrosła o 18 proc. a wartość eksportu w cenach zbytu o 40 proc. Na nie zmienionym poziomie utrzymały się dostawy na rynek krajowy.

Jak wszystkich zakładów — tak i Próchnika nie ominęły w początkach roku bieżącego rozmaite dodatkowe trudności, wynikające ze szczególnie trudnych warunków w transporcie i energetyce. Wyłączenia energii były przyczyną postojów na poszczególnych wydziałach, utrudniony był wywóz gotowych towarów z zakładu.

Nie odbiło się to jednak na wynikach miesiąca. Co najważniejsze — wszystkie terminy dostaw, uzgodnione wcześniej z zagranicznymi odbiorcami zostały dotrzymane, a do ilościowego planu miesiąca zabrakło zaledwie dwa tys. sztuk okryć.

Poważnym problemem jest natomiast absencja chorobowa. Przy dopuszczalnym wskaźniku 5 — 6 proc. (tyle załogi może brakować bez ujemnego skutku dla rytmiki i organizacji produkcji) w styczniu wynosiła ona 20 procent, w lutym była nieco niższa, ale nadal znacznie wyższa niż latem czy jesienią.

Sprawą najważniejszą jest jednak zaopatrzenie w surowce. Tu perspektywy są gorzej niż złe. Do trudności z zaopatrzeniem w tkaniny bawełniane można już było się w zakładzie przyzwyczaić, bowiem występują od wielu lat — choć obecnie w coraz ostrzejszym stopniu, ale niedobór tkanin wełnianych jest swego rodzaju nowością.

Jeszcze pół roku temu producenci tkanin wełnianych narzekali na kłopoty z nadmiarem, rozważali różne możliwości działań, zmierzających do intensyfikacji sprzedaży, obecnie sytuacja zmieniała się radykalnie. Od ubiegłego roku zalega z dostawami Pamotex, ponad dwutygodniowy postój w Fastach również spowodował poważne opóźnienia realizacji umów, dwa zakłady wręcz wypowiedziały umowy — z braku surowców.

Trudno oczywiście tłumaczyć odbiorcom kurtek czy płaszczy z Próchnika, że „dostarczymy później bo mamy kłopoty zaopatrzeniowe". Utrata rynku w chwili obecnej oznacza bowiem jego utratę na zawsze. Stosuje się więc rozmaite działania — aż po interwencje na najwyższym szczeblu, szuka nowych źródeł zaopatrzenia. Na razie — choć kosztuje to wiele wysiłku — z dobrym skutkiem.

## ŁKB „PÓŁNOC"

Ciągle odczuwamy brak mieszkań. Zapytałam dyrektora do spraw przygotowania produkcji i techniki Łódzkiego Kombinatu Budowlanego „Północ" mgr inż. Krzysztofa Millera jak dla tego przedsiębiorstwa zakończył się rok 1986.

— Nie wszystkim łódzkim kombinatom to się udało, ale my wykonaliśmy plan w 100 proc., a nawet zdołaliśmy go trochę przekroczyć. Już od sześciu lat realizujemy plany roczne w terminie. — powiedział dyrektor Miller z dumą. Kombinat „Północ" oddał 1084 mieszkania. Łódzkie budownictwo całkiem niezle sobie radzi w porównaniu do innych. Cykl realizacji budynku trwa u nas blisko 12 miesięcy, a na przykład w Warszawie około 30 miesięcy.

W ubiegłym roku nie obyło się jednak bez trudności. W Kombinacie „Północ" przede wszystkim brakowało fachowców. Najbardziej poszukiwani są murarze, tynkarze, dekarze i malarze. Wielu z nich odeszło do firm prywatnych, bo otrzymują tam wyższe zarobki

Były też jeszcze inne kłopoty z ludźmi. Najlepiej będzie, jeżeli posłużę się liczbami, bo pomogą zorientować się w sytuacji. W kombinacie w 1986 roku średnio 1105 osób zatrudnionych było na pełnym etacie. W ciągu tego roku zwolniło się 344 i zostało przyjętych 277 nowych pracowników. Nie dość, że jest tak duża fluktuacja kadr, to systematycznie spada zatrudnienie. Nie najlepiej było również z realizacją zamówień materiałowych.

Często w budownictwie narzeka się na tereny nie uzbrojone. Niestety Kombinat „Północ" ma również i z tym kłopoty. Na ogół przygotowanie czyli uzbrojenie terenu nie wyprzedza prac budowlanych.

Nie zdarzyło się w tym przedsiębiorstwie, jak zapewnił mnie mój rozmówca, że aby zrealizować plan roczny budynki oddawane są „na papierze", a wykańczane dopiero w następnym roku.

Ten nowy rok rozpoczął się dla budownictwa bardzo niefortunnie. Ostra zima odbije się z pewnością na realizacji planu, bo budowlańcy stracili miesiąc, a przy niektórych pracach, na przykład przy montażu, nawet półtora miesiąca. Znów pomogę sobie liczbami. W styczniu 1986 roku przedsiębiorstwo wykonało na budowach pracę za 104 miliony (jest to tak zwana produkcja podstawowa), a w styczniu tego roku tylko za 31 milionów. Z produkcją pomocniczą jest podobnie (z pracą w fabrykach prefabrykatów, stolarniach, ślusarniach). Podczas gdy w pierwszym miesiącu ubiegłego roku wykonana została za 37 milionów, w tym samym okresie tego roku za 16,5. W związku z tym w styczniu 1986 roku kombinat zarobił 307 milionów, a w styczniu 1987 roku stracił 50 milionów. Przy tak niskich temperaturach nie dało się pracować.

Są jednak takie prace na budowie, w których zima nie przeszkadza, myślę o wykańczaniu budynków wewnątrz, o ile są do tego przygotowane. Przed zimą jak najwięcej budynków powinno być doprowadzonych do stanu surowego i wtedy rzeczywiście można pracować w środku. W Kombinacie „Północ" tylko nieliczne obiekty miały podłączoną sieć centralnego ogrzewania. Nie udało się przygotować więcej, ponieważ szczególnie w grudniu brakowało materiałów instalacyjnych, a trzeba by było myśleć nie tylko o wykończeniu budynków w stanie surowym, ale także o dopięciu na ostatni guzik planu rocznego. W te styczniowe mrozy część ludzi musiała wykorzystać zaległe urlopy, inni zostali skierowani do jakiś robót zastępczych, ale 200 osób nie miało pracy wcale.

Teraz przedsiębiorstwo musi się zmobilizować, aby usunąć negatywne skutki zimy. Ludzi na budowach czeka praca w godzinach nadliczbowych, w soboty, czasem, w sporadycznych wypadkach w niedziele.

Przedsiębiorstwo nie może jednak dopuścić, aby te dodatkowe prace spowodowały zbyt duży wzrost płac. W tym roku, zgodnie z rozporządzeniem Rady Ministrów z 22 grudnia 1986 roku przyrost płac w przemyśle budowlanym nie może być większy niż 12,5 proc. Jeżeli ów pułap zostanie przekroczony, to dalszy wzrost jest opodatkowany aż o 500 proc. Czyli każda wypłacona złotówka kosztuje przedsiębiorstwo jeszcze pięć złotych, a na taką rozrzutność nie może sobie pozwolić. Pewnym rozwiązaniem może być zwiększenie zatrudnienia, ale liczenie na to jest naiwnością.

Łatwiej byłoby odrobić straty spowodowane zimą, gdyby nie brakowało materiałów. Na przykład teraz w wytwórni prefabrykatów należącej do kombinatu ledwie starcza styropianiu do ocieplenia i najprawdopodobniej będzie ona borykać się z tym problemem przez cały rok, bo produkcja styropianu została wstrzymana.

Pracę na budowie bardzo często trudno zaplanować, sytuacja zmienia się z dnia na dzień, Szczególnie nierytmiczne dostawy dają się pracownikom budowy we znaki

Trudno już teraz powiedzieć jakie są perspektywy zrealizowania planu na rok 1987. Z pewnością kombinat czeka ciężka praca. W stosunku do ubiegłorocznego, plan z tego roku jest jeszcze większy, bo kombinat musi oddać 1097 mieszkań, a ma na to tylko 11 miesięcy. To będzie trudne zadanie.

## WZPB 1 MAJA

Widzewskie Zakłady Przemysłu Bawełnianego 1 Maja produkują przędzę dla przemysłu włókienniczego i dziewiarskiego. Zaopatrują się w surowce między innymi w zakładach włókien sztucznych, a przede wszystkim w toruńskiej „Elanie". Jeśli więc gdziekolwiek występują trudności — spowodowane na przykład zimą, mrozami i śniegiem — to odbijają się one w pracy WZPB 1 Maja i mają dalsze skutki w pracy odbiorców przędzy, w zakładach produkujących tkaninę oraz dzianiny. Wpływ na ich produkcję ma też praca transportu.

— Gdyby policzyć straty, jakie ponieśliśmy na skutek ostrej zimy — mówi dyrektor do spraw produkcyjno-technicznych, Leonard Balwierczyk — to wyniosłyby one 11 tysięcy kg przędzy o wartości 7,5 mln złotych. Ze stratami tymi poradziliśmy sobie dość łatwo. Po pierwsze — załoga pracowała w wolne soboty i to na dwie zmiany. Po drugie — 200 osób przerzuciliśmy na trzecią zmianę, aby można było w nocy wykorzystywać energochłonne urządzenia.

Trudności, jakie w styczniu 1987 roku przeżywały WZPB 1 Maja polegały na przerwie w dowożeniu robotników do fabryki. Dowozi się ich z odległości 90 i więcej kilometrów. Zima spowodowała zakłócenia w komunikacji i absencja w WZPB 1 Maja wzrosła do 18 procent, aby następnie spaść do 11 — 12 procent. Jest to i tak dużo absencja, gdyż w 1986 roku wynosiła ona 7 — 9 procent.

Trudności w pracy WZPB 1 Maja wiązały się też z brakiem energii elektrycznej. Fabryka potrzebuje 8 MGW energii elektrycznej, a otrzymywała 7,5 MGW. I mimo różnych prób zmiany tego stanu, elektrownie były nieubłagane. Trzeba więc było część pracy przerzucić na noc.

Zdaniem dyrektora Leonarda Balwierczyka zima zakłóciła pracę fabryki, ale nie spowodowała groźnych trudności, z którymi sami w zakładzie nie potrafiliby sobie poradzić. Wystąpiły jednocześnie inne trudności, które są o wiele groźniejsze. Magazyny WZPB 1 Maja szybko się opróżniły z surowców. Brakuje bawełny długowłóknistej, surowców do produkcji przędzy z bawełny średniowłóknistej, brakuje włókien poliestrowych. Przyczyna tego ostatniego braku leży w Toruniu.

Toruńskiej „Elanie" zabrakło surowca do produkcji włókien poliestrowych. Włókna te są WZPB 1 Maja niezbędne do produkcji przędzy potrzebnej do wyrobu wysokiej jakości tkanin i dzianin. Przeważnie przeznaczonych na eksportowe wyroby. „Elana" nie ma surowca, bo nie ma pieniędzy na jego zakup. Brak surowca spowoduje zakłócenia w eksporcie, co musi wpłynąć hamująco na import. Koło wydaje się być zamknięte. Wprawdzie Ministerstwo Przemysłu Lekkiego i Chemicznego obiecało w drodze interwencyjnej dać „Elanie" pieniądze, ale będzie musiało trochę czasu upłynąć nim z Torunia zacznie nadchodzić włókno poliestrowe.

— Na ogół — mówi dyrektor Leonard Balwierczyk — kryzys surowcowy przychodzi na przełomie trzeciego i czwartego kwartału. Teraz jest tuż po „bawełnianych żniwach" i kryzysu być nie powinno. Ale braki występują nadal.

WZPB 1 Maja — podobnie jak i cały przemysł lekki — mają kłopoty z maszynami. Przemysł ten szybko się starzeje. Na przykład w WZPB 1 Maja procent zużycia maszyn i urządzeń wynosi 68. Opracowano wprawdzie program modernizacji fabryki do 2000 roku, ale na jego realizację potrzeba wydawać rocznie około 2 mln dolarów i milion rubli. I to do 1995 roku. Już dziś widać, że fabryki nie będzie na to stać.

Taki choćby przykład. Fabryka ma odpisy dewizowe, które w zasadzie przewidziane są na zakup maszyn i urządzeń. Ale odpisy te są uszczuplane. Obecnie WZPB 1 Maja dysponują sumą 15 000 dolarów. A potrzeba im 150 000 dolarów. Posiadają bowiem — na trzy miesiące na próbę — robota do zdejmowania kopek z przędzy. Jest to jedyny robót tego typu w Polsce i krajach socjalistycznych. Do WZPB 1 Maja przyjeżdżają wycieczki specjalistów z kraju i zagranicy, aby sobie takiego robota obejrzeć. Gdy miną 3 miesiące, przyjdzie robota oddać. A byłoby szkoda. Tylko skąd wziąć 150 000 dolarów? Nie jest to jedyne zmartwienie WZPB 1 Maja.

Zima — jak z tego wynika — spowodowała różne zakłócenia, ale nie są one tak groźne dla fabryki, jak zakłócenia, które mogą wyniknąć z braku surowca. Już na początku lutego 1987 roku fabryka musiała zrezygnować z pracy w wolną sobotę, bo nie było surowca. Zmienia się jakość i rodzaj produkowanej przędzy, aby tylko nie stanąć. Łata się — mówiąc obrazowo — co tylko się da. Ale nie jest to sposób na zaspokajanie dużych potrzeb przemysłu włókienniczego i dziewiarskiego, który niecierpliwie czeka na dobrej jakości, wysokiego gatunku przędzę.

TERESA JERZYKOWSKA
ZOFIA KĘDZIORA
BOGDA MADEJ
WITOLD WERNER

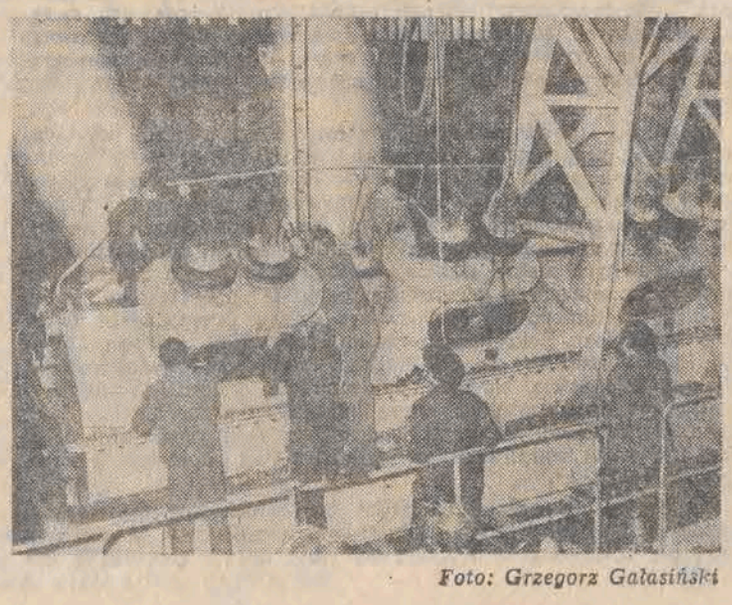

*Foto: Grzegorz Gałasiński*

Kryzys jest przejściowy, ale to, co Polskę czyni Polską — wieczne.

# Czy na pewno Don Kichot?

**Rozmowa z profesorem WIKTOREM ZINEM**

**Kiedy oglądałem — a było to kilka lat temu — Pańskie audycje telewizyjne, w czasie których mówił pan o pięknie naszej architektury, odnosiłem wrażenie, że mam przed sobą pasjonata gotowego dla ratowania zabytków uczynić absolutnie wszystko...**

— Pana odczucie było dobre, tylko ja w tym miejscu powołam się na Cervantesa...

**— Nie wspomniałem Cervantesa by nie poczuł się pan dotknięty.**

— Rozumiem, ale pańskie pytanie nasunęło mi skojarzenie z Don Kichotem. Wie pan, walka z wiatrakami ma różne wymiary. Jeśli idzie o moją pasję, o mój stosunek do zabytków, to w fazie kiedy miałem swoje pogadanki w telewizji absolutnie wierzyłem, że można w tym państwie bardzo dużo dla zabytków zrobić. Na swoją miarę — pracując najpierw w Krakowie, później w Warszawie — zrobiłem co było możliwe. Ale mnie się wydaje, że do waszego pisma winien iść wywiad, który nacechowany będzie nie tylko jedwabiem, rzeczami gładkimi, ale również trochę chropowatymi. Wobec tego powiedzmy sobie szczerze: „czas kwitnienia fijołków w moim życiu minął", to znaczy pewna wiosna przeszła nie tylko w moim życiu, ale w życiu tego kraju. Na wiosnę nową należy zapracować dosłownie i w przenośni. Zjawił się kryzys, w którym realną rzeczą jest np. następujące stwierdzenie, które ukułem, a które się przyjęło: kryzys jest przejściowy, a Kraków jest wieczny. Natomiast analizując to głębiej, trzeba powiedzieć, że jest to slogan, bo zabytki w naszym kraju niszczeją, a od czasu moich pogadanek w tv sporo się zmieniło na niekorzyść. Żeby nie być za bardzo kategorycznym, należy co nieco wyjaśnić. Zacznę od określenia czegoś, co jest najbardziej szerokim pojęciem w dziedzinie konserwacji zabytków: nie jeden obiekt, nie jeden zamek, nie jakieś szczególne miasto, ba, nie zespół miasta, ale coś, co nazwałbym krajobrazem kuturowym, dziedzictwem, zapisem historycznym świadczącym o naszej tożsamości, co zjawia się nad brzegiem rzeki, na naszych polach w postaci miedz, wsi, przysiółków, kwitnącej tarniny. Idąc dalej, to są: małe miasteczka, to jest całe drewniane budownictwo, to są miasta, które jeszcze do niedawna nazywaliśmy miastami bezstylowymi, a dzisiaj, a dzisiaj należy o nich powiedzieć, że są to miasta historyczne przeciwstawiające się swoim pięknem temu, co wokół nas zaczyna szaleć, temu zunifikowanemu czemuś, co jest multiplikowaną brzydotą. Ale wracając do pańskiego pytania: mnie się wydawało, że przy pewnej dobrej woli ludzie, którzy będą myśleli tak jak ja — a któż może myśleć inaczej — jeśli chodzi o dziedzictwo narodowe, o to co Polskę czyni Polską, o odrębność naszą — nie pozostaną obojętni. Niestety, sprawa została przegrana. Rzeczy ważniejsze pozornie pochłonęły te inne ważkie w „Długim Dystansie".

**— Czy pan przegrał?**

— Nie ja przegrałem, tylko przegrali ci wszyscy, którzy podobnie jak ja myśleli. Ludzie, dla których drogie były wartości, które trzeba było złożyć w ofierze na ołtarzu postępu technicznego. To znów slogan. Te wielkie słowa maskują bardzo często po prostu łatwiznę lub głupotę. Kryje się w tym straszna sprawa: każdy myśli, że nowoczesność, zamiana trawy w beton, dzisiejszego asfaltu na wczorajsze pole orne, że to tak musi być. I w Polsce, tak jest. Jesteśmy krajem wciąż i ciągle jednym z najbardzie rozrzutnych, jeśli chodzi o gospodarkę przestrzenną. Podczas gdy np. w Holandii tak być nie musi. Tam jest zgoła inaczej.

I sprawa druga: nowoczesność nie musi być opłacana brzydotą. Tak więc była to walka z wiatrakami, jeśli się weźmie pod uwagę olbrzymią wówczas działalność inwestycyjną, która była nieprawdopodobnie rozległa i prawie zawsze do końca nie przemyślaną. Improwizacja w inwestycjach to grzech śmiertelny. Jeśli teraz powiem, że tzw. erozja techniczna — pojęcie, które ukuliśmy w ostatnich czasach — w Polsce ma współczynnik stosunkowo duży, bo każdego dnia pochłania bez mała 100 ha powierzchni — nie powiem rolnej, bo nieużytków też ale — powierzchni, która wczoraj była trawą, ziemią nie przykrytą asfaltem, a dzisiaj już stała się składowiskiem, śmietnikiem, miejscem budowy nowych osiedli, to sprawa zaczyna być wręcz przerażająca.

Więc była to walka z wiatrakami. Don Kichot rzucając się na swój wiatrak widział w nim wroga, ja rzucając się na swoje wiatraki widziałem w nich coś, co można było jeszcze uratować. Proszę popatrzeć, że za naszego pokolenia, te lata 1970 — 1980 doprowadziły do zniweczenia charakteru polskiej wsi, małych miasteczek, a jeszcze gorzej — do zupełnej utraty kryteriów wartości: co ładne, a co brzydkie, co rdzennie nasze, a co nabyte „po drodze". Można byłoby wiele uratować, gdyby wiejscy ludzie nie wstydzili się mieszkać w domach swoich ojców. I to jest najbardziej bolesne.

**— Był pan wiceministrem kultury, mógł pan walczyć o to wszystko z wysokości urzędu...**

— Ja wszystkie swoje walki generalnie przegrywam, więc i tę przegrałem. Wygrywam walki w ciszy pracowni, chociaż i tam są przeciwności potężne.

**— Czyżby nie było sukcesów?**

— Jedną rzecz wygrałem niewątpliwie, mianowicie to, że przeciętny przewodniczący gminnej Rady Narodowej czy przeciętny proboszcz — jeden i drugi nie kształceni za bardzo w dziedzinie architektury — zaczynają się orientować w wartości tego, co ładne a co brzydkie, czego szkoda a czego nie szkoda. Nawet jeśli działają wbrew swoim przekonaniom, to też już dużo. Zajmowałem się tym więcej niż 20 lat. Moich audycji było w końcu kilkaset, a to swoje zrobiło. Stworzyło jakiś zaczyn.

Wygrałem także inną sprawę: powołanie Międzyresortowej Komisji do spraw Rewaloryzacji Zabytkowych Miast. Ta komisja istnieje, chociaż kto inny teraz jest jej przewodniczącym. Stwarza ona platformę porozumienia pomiędzy szeregiem ministerstw, decydentów.

**— Czy człowiek typu Wiktor Zin ma jakieś inne zainteresowania?**

— Naturalnie, że tak! Ja bardzo dużo piszę, przy czym jeśli napiszę pracę naukową dotyczącą metodologii projektowania konserwatorskiego, to wszyscy powiedzą: normalnie odprawia swoją liturgię, zna się na tym, niech to robi. Natomiast zdziwienie wywołał cykl moich literackich opowiadań, które nadała krakowska rozgłośnia PR, które były po prostu miniaturami psychologicznymi dotyczącymi ludzi, typologii ludzkiej, ludzkich słabości.

**— Mamy więc drugiego ministra-literata z Krakowa...**

— Byłem wiceministrem i obejmując tę funkcję na prośbę ówczesnych władz politycznych, rządowych, podejmowałem trud w dziedzinie, na której ja się absolutnie znałem. Moja niwa była od tej miedzy do tej, dotyczyła konserwacji zabytków, muzeologii, rewaloryzacji. To było to, gdzie ja miałem walczyć, bronić swego zarówno w obliczu polskich naukowców jak i naukowców zagranicznych. Minister Aleksander Krawczuk, jako historyk, ma o wiele trudniejsze zadanie. Mój Boże, a skąd się on ma znać na cyrkach, na teatrze, na ochronie zabytków, na popularyzacji sztuki itd.

**— Wróćmy jednak do literatury, do owych, jak je pan nazwał, prób pisarskich...**

— Sam nie wiem, czy to są próby, czy może to już coś więcej. Kiedyś zrobiłem podsumowanie tego, co po mnie zostanie i okazało się, że będzie to kilkanaście tomów pamiętników, które będą miały kiedyś absolutnie duży ciężar gatunkowy, ponieważ są szczere i mówią o ludziach, którzy kiedyś żyli, a dzisiaj już ich nie ma. Dość wymienić Jarosława Iwaszkiewicza, Melchiora Wańkowicza czy prof. Tatarkiewicza, których znałem, i z którymi kontaktowałem się na zasadzie bliskiej, nieoficjalnej. Padały tam różne myśli, wzniosłe i mniej wzniosłe, dygresje i uwagi, refleksje. Wszystko to zostało przeze mnie zapisane.

Tak jak zostały zapisane moje osobiste refleksje z okresu mego urzędowania, kiedy prowadziłem dziennik i kiedy — dla przykładu — miałem możność jednego dnia spotkać się z człowiekiem, który przyniósł teczkę wyładowaną banknotami, mówiąc, ze chce prywatnie wybudować pomnik dla Salvatore Allende, bo go lubi. — A kim pan jesteś? — Ogrodnikiem. — A gdzie pan masz swój interes? — Pod Myszyńcem. — A czy pan sobie zdaje sprawę, ile taki pomnik będzie kosztował? — Proszę pana, to już mało ważne, milion więcej, milion mniej nie gra roli.

Innego dnia przychodził inny interesant i przynosił donos na swojego szefa... Przecież są to dykteryjki, absolutnie polskie, z czymś takim spotkać się gdzie indziej byłoby trudno.

Mam za sobą około 100 opowiadań, niektóre były drukowane, niektóre są aktualnie drukowane, o niektóre się dobijają czasopisma, niektórych nie chcą. Od paru lat piszę „Słownik polskiego krajobrazu" w „Panoramie", który, jeśli ukaże się w całości w druku, będzie to spora księga.

Pasjonuje mnie teatr, jestem autorem paru sztuk, jedna z nich była nawet w próbach, ale niestety, nic nie wyszło.

**— Czyżby przeszkodziła Historia?**

— Trafnie pan to ujął: przeszkodziła Historia. I to nie w tym czasie, kiedy byłem kimś ważnym, ale kiedy byłem kimś bardzo maleńkim. A później, kiedy byłem na większym urzędzie, nie miałem na to czasu.

**— A co z malarstwem? Pamiętam, z jaką łatwością i jak wspaniale szkicował pan stare dworki, fragmenty architektury, pejzaże. A wszystko to na oczach wielomilionowej widowni telewizyjnej.**

— Ja dużo maluję. Trudno powiedzieć, czy to amatorstwo, czy coś bardziej zawodowego. W tej chwili wyszedł mój „Kalendarz Polski" za granicą, podobał się, miał bardzo dobre recenzje. Miałem wystawę akwareli w Lipsku pt. „Polski krajobraz", „Polska architektura". Maluję, dużo maluję. W tym malarstwie zjawiają się dziwne cykle, których na razie nie publikuję. Mam np. cykl pod tytułem „Portrety pięknych Polek". Co to jest? Badając piwnice krypty Kościoła Mariackiego, uczestnicząc przy otwieraniu grobów wielkich Polek i Polaków, badając krypty klasztorów żeńskich w Krakowie — miałem możność zetknięcia się bezpośrednio z czymś, co jest niewątpliwie obliczem śmierci. Taka otwarta trumna, to czasem widok pięknej Krakowianki z zachowanym obliczem tabaczkowego koloru, która zachowała się tak, że śmierć nie odebrała jej piękna, ale czasem natrafiam na coś makabrycznego: jakiś wdowi czepiec, jakieś kosmyki siwych włosów, resztki mięśni doczepionych do czaszki. Mnie to zaczęło frapować. Powstał taki przedziwny cykl, który być może ma w sobie jakiś powab graficzny czy malarski, ale jest makabrą. Jest tu z mojej strony pewna przekora, bo mógłbym ten cykl nazwać „Portrety trumienne".

**— Mówi się o panu jako o świetnym kierowcy samochodowym...**

— Czy świetnym? Potrafię rano o 7 wsiąść w Monachium do samochodu, a o 19.30 we własnym mieszkaniu oglądać dziennik tv, a przecież to, bagatelka! 1100 km. Lubię mieć dobry samochód. Mam „Volvo", duże, sprawne, dobrze jeżdżące.

**— Pańska przygoda jako kierowcy?**

— Jechałem kiedyś do Zamościa. Piękna pogoda. Jakiś „Trabant" chce mnie wyprzedzić. Chcę mu zrobić przyjemność: takiś mały, biedny, chcesz „Volvo" prześcignąć? Jedź. Proszę pana, co się dzieje? Widzę przed sobą, jakieś 150 m, jak w ten spokojny dzień, wali się olbrzymia topola, rąbie w „Trabanta" — zabija dziewczynkę. Zatrzymuję się, nie mogę dalej jechać. To, jakby powiedział Sofokles, „Przypadek jest bronią w ręku bogów". Na ten temat napisałem opowiadanie, które nadano w programie ogólnopolskim PR.

**— A co pan powie na temat pięknych dziewczyn?**

— Zawsze mi się piękne dziewczyny podobały i będą podobać. Tak jak Ksaweremu Dunikowskiemu, który umierając na łóżku szpitalnym uszczypnął pielęgniarkę. Nie z własnego bólu, ale z chuci. W sprawach kobiecych można być teoretykiem, praktykiem, aktywistą i obserwatorem.

**— Do jakiej kategorii zalicza pan siebie?**

— Niezależnie od lat jestem umiarkowanym aktywistą.

**— Sporo pan podróżował. Czy powiedzenie, że podróże kształcą, potwierdziło się w pana przypadku?**

— Dużo jeździłem: od Ekwadoru na wyspy Galapagos przez Indie, Egipt itp. Jeździłem, by zetknąć się z tamtymi ludźmi, kultrami i dziełami architektury. Twierdzę, że wykładowca z dziedziny architektury historycznej i współczesnej nie może oprzeć się na żadnych, nawet najlepszych ilustracjach. Jeśli sam nie przeżyje, nie stwierdzi, jaka to skala, jaki to charakter, to wówczas nic nie będzie wiedział o tym, czego nauczył się. Ja pojechawszy do Meksyku wiele się tam dowiedziałem, wiele meksykańskim konserwatorom pomogłem, za co zostałem członkiem Meksykańskiej Akademii Nauk. Dla mnie każda taka podróż jest skończeniem następnego fakultetu. Jeśli jestem gdzieś w nowym miejscu muszę naginać siebie do tego, żebym zajął się głównie architekturą. Bo mnie bardziej interesuje cała ludzka obyczajowość i to wszystko, co się wokół dzieje, stosunki społeczne, bardziej niż same zabytki.

**— Zestawienie naszej kultury z innymi kulturami i naszych zabytków z innymi, czy miało jakiś wpływ na pana?**

— Absolutnie tak. Porównywanie możliwości, skali techniki, formy. Ale najważniejsze, że my znajdujemy się w jakimś zaczarowanym kręgu niemożliwości materiałowych, organizacyjnych itp. Podam następującą ciekawostkę: kiedyś w rozmowie z panem Żeleńskim — bratankiem Boya — mówiłem o trudnościach, jakie mamy z ceramiką, że nie mamy z czego robić dachówek i kształtek ceglanych. Na to on, dziewięćdziesięcioletni starzec, pokazuje dyplom wiedeński właśnie za dachówki wykonane z gliny krakowskiej, której i dziś jest pod dostatkiem. A wracając do pytania: w Indiach widziałem rusztowanie składające się z ponumerowanych desek i z tych desek majster po ukończeniu budowy musi się wyliczyć co do sztuki. Niedawno byłem w Detroit, miałem tam wykłady i swoją wystawę. Otóż cokolwiek by źle powiedzieć o Ameryce, to obyśmy za 50 lat doszli do takiego sposobu oszczędzania, jak to już obecnie czynią tam. Przecież oni nie wyrzucą nawet papierowego worka po cemencie!

**— Jest pan mieszkańcem Krakowa. W jakim stopniu zaangażował się pan w ratowanie zabytków tego miasta?**

— Jestem przewodniczącym zespołu ekspertów działającego przy prezydencie. Jestem projektantem wielu obiektów. W dziedzinie odnowy Krakowa zaszły olbrzymie zmiany.

**— Na plus?**

— Nie określiłbym tego tak, to jakbyśmy zapytali, kto jest lepszy: Matejko czy Picasso? O ile w latach ubiegłych pasjonowaliśmy się Krakowem na zasadzie, że codziennie dokonywano nowych odkryć, że ciągle coś odsłaniano, to czas ten minął. Dzisiaj zasłaniamy.

**— Przed Nową Hutą i Skawiną?**

— Przed nimi też. Ale sprawa jest dużo szersza. U nas odkryto znaczone drobiny sadzy aż z Nadrenii, z kolei tam, w Monachium stwierdzono istnienie pytów z Jaworzna. Jeśli mi ktoś powie, że Ren jest czysty, a Wisła brudna, to ja powiem o klimatyzacji ażurowej altany. O tych sprawach dziś należy mówić nie w skali regionu, ale skali makro. Świat, a przynajmniej północna jego półkula musi to zrozumieć.

**— Panie profesorze, jest pan wrogiem współczesnego budownictwa, wielkich osiedli przypominających koszary...**

— Wielkie osiedla i mała architektura. To jest osobna opowieść. Kiedy 1 kg samosterującego pocisku typu Pershing lub każdego innego typu, kosztuje już dzisiaj 1,3 kg czystego złota, a takie cygaro niosące śmierć waży co najmniej tonę, to zdajemy sobie w końcu sprawę, że tam w górze leci jakaś wartość pieniężna będąca ekwiwalentem całej rewaloryzacji Krakowa albo całego Szpitala Pomnika Centrum Zdrowia Matki Polki. I już w czasie pokoju jest to groźne przez to, że „zamroziło" aż takie środki. A teraz, co do współczesnego budownictwa. Jest ono takie nie tylko w Polsce, podobne stawiane jest nad Nilem czy Dniestrem. Jest wzrokowo zunifikowane, pozbawione cech piękna indywidualnego. Bo powstaje ono „z resztek" tego, co pozostaje po wielkich zbrojeniach.

**— Pomówmy o pańskich zainteresowaniach pozanaukowych. Jaki jest pański stosunek do zwierząt?**

— Jako katolik popełniam chyba błąd przeciwko dogmatowi, ponieważ uważam, że człowiek nie jest jedynym stworem posiadającym duszę, ale że wszystko, co nas otacza na swój sposób ma duszę i inteligencję. Zawsze w domu miałem sforę psów. Byłem prezesem Krakowskiego Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami i to przez wiele, wiele lat.

Opowiem zdarzenie z tym związane. Kiedyś otrzymuję wezwanie do Warszawy wraz z propozycją objęcia TOZ-u. Jadę do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Urzędnik, któremu to podlega, usiłuje mnie przekonać, że to wielka sprawa. Odpowiadam, ze tak, gdyż przy jej pomocy można wychowywać młode pokolenie. On na to: o to nam chodzi, bo pomyślcie sobie Zin, te bezdomne pieski, te kotki... Zaraz, zaraz, przerywam, o czym my mówimy? Ja mówię o murach, o miastach, o ratowaniu zabytków! Otóż okazuje się, że TOZ to może być Towarzystwo Ochrony Zabytków jak i Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami.

**— Panie profesorze, siedzę w pańskim mieszkaniu, które jakoś nie przypomina mi willi ani nawet jakiegoś M-27. Nie dorobił się pan?**

— Nie zależało mi na tym. Kiedyś runęła na mnie lawina — niewątpliwie sterowana, choć nie wiem przez kogo — i zaczęto mówić, że dałem p. Gierkowej doktorat, że posiadam prywatny pałac, że mam trzy wille. Nie broniłem się. Dokonano oczywiście stosownych dochodzeń i okazało się, że „nic z tych rzeczy".

**— Ma pan za to honory.**

— Tak, Brązowy Krzyż Zasługi, dwa Srebrne, Złoty Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski. Krzyż Oficerski tegoż orderu. Wszystko to otrzymałem za swoją pracę i drogę, którą dotychczas przebyłem.

**— Wspomniał pan przed momentem o swojej miłości do zwierząt. Jak to pogodzić z przynależnością pana do Polskiego Związku Łowieckiego?**

— Proszę pana, ja lubię każdą broń. Potrzebna mi jest ona do tego, by ją oglądać, dotykać, poruszać zamkiem, zaglądać w lufę. Ale ja nie poluję. Jeśli już muszę iść na polowanie, to w czasie jego trwania nie strzelam. Byłem za to wyrzucany z koła, potem przyjmowany, bo akurat potrzebowali moje akwarele, które musieli komuś dać, żeby dostać większy rewir łowiecki. Wyznam, że poza człowiekiem, chyba niczego co żyje nie zabiłbym. Jest to stwierdzenie perfidne, ale tak to czuję.

**— A co z muzyką? Jakie miejsce zajmuje ona w pańskim życiu?**

— Trochę organistowałem w kościele św. Katarzyny w zamian za stancję. Były to lata 1946—1947. Potem z muzyką związałem się niejako zawodowo. Otóż jestem autorem kilku scenografii do oper m.in. na jubileusz Teatru Wielkiego w Łodzi robiłem scenografię do „Otella". Aby robić scenografie trzeba opierać się nie tylko o libretto, ale i o partyturę.

**— Na jakim instrumencie pan gra?**

— Na fortepianie. Gram dla relaksu, czasem dla wyładowania emocji lub złości.

**— Ostatnie pytanie: Jakie jest pana hobby?**

— Pojęcia hobby nie uznaję. Przy całym romantyzmie jestem realistą, ale nie konformistą. Nie odróżniam Polski przed- i pozjazdowej, przed- i postrajkowej. Dla mnie Polska jest jedna, ciągle ta sama i trzeba wybierać dla niej jak najlepsze alternatywy, licząc się z realiami, w których znaleźliśmy się. I tu już z wiatrakami walczyć nie wolno.

**— Dziękuję panu za rozmowę.**

**Rozmawiał:**
**EUGENIUSZ IWANICKI**

**DO JESIENI** i zimy 1987—88 przygotowują się projektanci z Telimeny. Pokazy nowej kolekcji rozpoczną się w połowie kwietnia. A w salonach sprzedaży — wkrótce wiosna. W tych dniach dostawy płaszczy i kurtek odpowiednich na wczesną wiosnę, jeszcze z materiałów wełnianych — w tym sporo modnych fantazyjnych krat, a także kolorów najmodniejszych w nadchodzącym sezonie — białych, beżów, ecri. Wkrótce potem w marcu — okrycia na cieplejsze dni — płaszcze i kurtki, kostiumy z nabłyszczanej bawełny, z atłasu. Wśród nich — obok wciąż modnej i „bezpiecznej" także dla pań tęższych linii tuby i trapezu także niewielkie ilości okryć awangardowych, o linii litery „X". Awangardy będzie na razie niewiele, pozostałe płaszcze i kurtki natomiast uszyte są w ilościach, które powinny zaspokoić zapotrzebowanie klienteк Telimeny. Ceny — nie odbiegające od dotychczasowego poziomu, tzn. wyższe niż w sklepach Otexu (ale serie znacznie krótsze), niższe niż w Modzie Polskiej.

**CORAZ WIĘCEJ** zdrowej żywności pojawia się na półkach w sklepach spożywczych. Ostatnio lista tych towarów powiększyła się o „przysmak śniadaniowy" firmy Unicom. Mieszanka płatków zbożowych, zarodków pszennych i suszu owocowego przypomina składem tzw. surówkę piękności i przygotowuje się ją błyskawicznie. Jedno opakowanie w cenie 197 zł wystarcza na 10 porcji. Szkoda tylko, że producenci zdrowej żywności nie podają na opakowaniu wartości kalorycznej — preparaty te mogą bowiem być wykorzystywane bez szkody dla zdrowia w diecie odchudzającej.

**NOWE MROŻONE WARZYWA** pojawiły się niedawno w sprzedaży: jarmuż i brokuły. Znane niby od dawna, ale niezbyt popularne, kupowane są niechętnie, bowiem nie wszystkie panie wiedzą, co z tym robić, a producent nie załączył do opakowania żadnej informacji. Wyjaśniamy: jarmuż przyrządza się jak szpinak, a brokuły mają w kuchni takie samo zastosowanie jak kalafiory.

**ZIMA KOŃCZY SIĘ**, ale do sklepów z obuwiem często trafiają jeszcze — opóźnione — dostawy ciepłych botków. Radzimy zachować się przezornie i kupić — nawet jeśli nasze buty wystarczą z pewnością do końca sezonu. Sytuacja w przemyśle obuwniczym jest zła i jesienią będą poważne trudności.

**CZWORONOGÓW W MIEŚCIE** coraz więcej, dobrze więc, że i o nich pomyślał handel. Najpierw w SAM-ie przy Uniwersalu oraz w Centralu a od niedawna również w dużych sklepach spożywczych pojawiły się w sprzedaży karmy i odżywki dla psów i kotów. Najlepsze z nich to granulaty Canis i Mix. Brak natomiast konserw mięsnych. Może więc handlowcy nawiążą odpowiednie kontakty z produkującym je zakładem w Tarnowskich Górach?

**AWANTURY PRZY PODWIECZORKU** odbywają się w tych rodzinach, gdzie dzieci dostają do herbaty pączki. Co najmniej połowa pączków produkcji Społem nie zawiera nadzienia i maluchy spotyka przykra niespodzianka. Nikt oczywiście „pączkowych bubli" nie reklamuje — a szkoda, może wtedy pracownicy ciastkarni zaostrzyliby nadzór nad pracą wyrabiających je automatów.

**OD WTORKU** (3 marca) sklep z odzieżą COBRPO, mieszczący się przy Centralu, rozpoczyna działalność w nowej, większej siedzibie, z drugiej strony budynku, w którym mieścił się dotychczas. Na otwarcie — atrakcyjne zaopatrzenie.

**KTO WIE? A JA WIEM!**
Pod tym hasłem proponujemy czytelnikom wymianę informacji rynkowych. Może w małym, peryferyjnym sklepie zauważyliście atrakcyjny towar, którego brakuje w wielkich centralnych sklepach, może zirytowała was wysoka cena lub niska jakość jakiegoś towaru, a może bezskutecznie szukacie czegoś, co pomoże wam znaleźć redakcja lub inni czytelnicy? Do takich akcji zachęcił nas list pani Hanny Olejnik, która napisała „Wiem, gdzie kupić bardzo atrakcyjne koce i sukienkowy aksamit w różnych kolorach. Chętnie zdradzę adres w zamian za informacje o możliwości zakupu zapasowych nakładek z gąbki do zmywaka Jędruś. Pożyteczne to urządzenie sprzedawane jest z jedną tylko gąbką, która zużywa się szybko. Zapasowych szukam od kilku miesięcy". Czekamy na pomoc czytelników.

**JUŻ ZA CZTERY DNI** wszyscy panowie zaczną szturmować kwiaciarnie i sklepy z upominkami, aby wręczyć je swoim damom. Zarówno państwowi jak i prywatni producenci zapewniają, że kwiatów w tym roku nie zabraknie, a ich ceny, z uwagi na dużą podaż, będą trochę niższe niż w roku ubiegłym. „Społem" przygotowało nieco większą niż w ostatnich tygodniach ofertę kosmetyków — wśród nich (już są w sklepach) poszukiwane dezodoranty z NRD. Perfumy najlepiej kupować w sklepie na ul. Piotrkowskiej przy Jaracza, handlującym towarami firm polonijnych. Wybór jest największy, a ceny od 150 do blisko 7 tys. zł. Tych najdroższych nie polecamy. Taniej wypadnie zakup w Peweksie — bony można kupić obecnie po 800—850 zł.

**AGATA**

Żyją obok nas, a my nie potrafimy sobie poradzić i nie poradzimy, nim nie zaczniemy dbać o... czystość.

# Stworzonka, których nie powinniśmy polubić

**WITOLD WERNER**

**Trzydzieści kilka lat temu, na atolu** Eniwetok wylądowała grupa biologów, chemików, zoologów i naukowców innych specjalności, by dokonać badań, jakie skutki niosła za sobą próbna eksplozja nuklearna, dokonana trzy lata wcześniej. Zastali zniszczoną doszczętnie roślinność, glebę, zmiany klimatyczne i... całą kolonię szczurów! Z całą pewnością byli pierwszymi ludźmi, którzy odwiedzili tę wyspę od czasu eksplozji. Szczury przetrwały więc atomowe piekło! Przebadano wiele szczurzych osobników i nie wykryto w nich żadnych zmian genetycznych!

Kilkanaście lat temu, w USA, pojawiły się natomiast szczury, które uodporniły się na koagulanty, tj. środki chemiczne, powodujące awitaminozę i w efekcie nieuchronną śmierć. I mimo że natychmiast po zaobserwowaniu tego zjawiska odizolowano całą szczurzą kolonię, osobniki o podobnych cechach pojawiły się także w innych miejscach Stanów Zjednoczonych. Nazwano je „superszczurami", gdyż bez żadnej szkody dla swego organizmu, mogą przyjąć dawkę trucizny dziesięciokrotnie większą niż każdy przeciętny szczur!

## JEDEN SZCZUR — JEDEN CZŁOWIEK

Znawcy przedmiotu twierdzą, że jeśli na każdego statystycznego obywatela przypada jeden szczur — to jest bardzo dobrze. Jeśli dwa — to też jest jeszcze nieźle. Tragedia zaczyna się wtedy, gdy wypadają po trzy osobniki. W Łodzi, na każdego z nas przypada po około 1,5 szczura, choć są i takie miejsca, gdzie na mieszkańca wypada ich i po pięć. Tak jest w okolicach wysypisk śmieci. Każde wysypisko — to istne „Szczuropolis" — miasto szczurów. Mają tam doskonałe warunki do życia: jedzenia pod dostatkiem i pod dostatkiem zacisznych, bezpiecznych kryjówek. Plaga szczurów na wysypiskach jest nie do opanowania, przynajmniej do czasu, gdy śmieci nie będą całkowicie niszczone, np. spalane.

Szczury opanowały całkowicie sieć kanalizacyjną, ciepłowniczą, dworce kolejowe, gastronomię, ba, nawet szpitale i budynki mieszkalne. To ostatnie stwierdzenie nie jest być może precyzyjne, toteż należy je uściślić: otóż szczury przebywają w wielkich koloniach w miejscach zacisznych i spokojnych, tam, gdzie człowiek nie ma na co dzień dostępu. I właśnie stamtąd robią „wypady" w miejsca, gdzie spodziewają się znaleźć coś do jedzenia. A my, mieszkańcy wielkich osiedli mieszkaniowych, sami zapraszamy te gryzonie w pobliże naszych mieszkań. Kochamy bowiem bezpańskie pieski i kotki, nie możemy patrzeć jak głodne wałęsają się po ulicach — więc wyrzucamy im trochę resztek z naszego stołu. Pożywienie to w większości przypadków staje się karmą dla szczurów. Prawda jest niestety brutalna: w walce o pożywienie psy i koty są bez większych szans.

Szczurom — jak wszystkim gryzoniom — przednie zęby, czyli siekacze, rosną przez całe życie, toteż muszą je nieustannie ścierać. Robią to gryząc fundamenty budynków, meble, drewniane podłogi, ba, nie oprą im się nawet ołowiane osłony kabli i rury wodociągowe!

W ciągu roku, szczurza rodzina może mieć nawet do tysiąca osobników przychówku. W ciągu trzech lat liczba ta rośnie do 20 milionów! W praktyce liczby te są nieco mniejsze, gdyż szczur rozmnaża się tym chętniej, im ma bardziej sprzyjające warunki do życia. W warunkach skrajnie ciężkich, np. przy braku pożywienia — albo nie rozmnaża się wcale, albo tylko w niewielkim stopniu. Daje mu to ogromną przewagę nad człowiekiem, który w trudnych warunkach bytowych przeważnie posiada liczne potomstwo.

## WALKA ZE SZCZURAMI

jest bardzo trudna i — nie ma co ukrywać — w naszych warunkach skazana na niepowodzenie. Dotąd, dopóki śmietniki nie będą systematycznie opróżniane, nie można mówić o skutecznej walce. Zaporą dla gryzoni miało być także współczesne, wielkopłytowe budownictwo. Praktyka jednak okazała się zupełnie odmienna od założeń: pomiędzy tandetnie zmontowanymi płytami, szczury mają doskonałe kryjówki. Do bloków przyciąga je również ogromna ilość zapasów na zimę, zgromadzonych przez zapobiegliwych lokatorów.

W wielu miejscach wykłada się trutki na szczury. Najczęściej jest to ziarno zatrute fluorkiem cynku — choć jak twierdzą deratyzatorzy, jest to jedna z najgorszych trutek. Bo po pierwsze: fluorek cynku uwodniając się, traci swe toksyczne właściwości, a po drugie, szczury doskonale zdają sobie sprawę z tego, czym grozi zjedzenie zatrutego ziarna. A jeśli na dodatek ma się pod ręką (a raczej pod łapą) dostatek innego pożywienia...

W naturze szczura leży nieufność do rzeczy, których nie znają. Dlatego też każdą nową trutkę traktują jako coś nowego, nieznanego, coś, czego się należy lękać. Dopiero po kilku dniach, po spróbowaniu trutki przez jednego osobnika ze stada i przekonaniu się, że nie zaszkodziło to jego zdrowiu — do jedzenia zabierają się inne szczury. W naszych realiach najkorzystniej byłoby preparować trutki na miejscu — w zależności od kulinarnych upodobań szczurów, zatruwając fluorkiem cynku np. gotowaną marchew czy wędzone ryby, za którymi szczury wprost przepadają. Niestety, jest to nierealne, gdyż z wymienionych składników pod dostatkiem mamy tylko... marchwi. Fluorek cynku sprowadzamy za dewizy, natomiast o wędzonych rybach lepiej nie wspominać...

Ze strefy dolarowej sprowadzamy doskonały preparat „Clerat", ale jest on niestety niezwykle kosztowny. Jego zaletą jest fakt, że nęci szczury zapachem, a po jego spożyciu zwierzę nie pada od razu, lecz dopiero po dwóch — trzech dniach. Daje to szansę wytrucia znacznie większej liczby osobników za pomocą jednej trutki.

## ARMIA OWADÓW PRZECIW CZŁOWIEKOWI

Innymi stworzeniami, żyjącymi obok nas, jest cała armia owadów: prusaków, karaluchów, mrówek faraona, pcheł, rybików i pluskiew. Niestety, podobnie jak szczurów, nie mamy szans na ich wytępienie. Ocenia się, że około 70 proc. budynków w Łodzi jest zaprusaczonych, zakaraluszonych, zamrówczonych i zapchlonych. Spotkać je można dosłownie wszędzie: w sklepach, biurach, szpitalach, mieszkaniach prywatnych. Są wszędzie tam, gdzie jest ciepło i dostatek pożywienia.

Nie ma się co oszukiwać: sklepy spożywcze, w których nie ma tych owadów, należą do przypadków sporadycznych. I jeśli zdarzy się, że san.-epid. zamknie ten czy inny sklep — bo stwierdzi w nim obecność np. prusaków, po czym Łódzki Zakład Dezynfekcji i Deratyzacji wykona w nim owadobójczy oprysk, nie znaczy to wcale, że owady wyginęły bezpowrotnie. Jeśli zginie 15—20 proc. populacji — to już jest ogromny sukces! A poza tym, przyjdą nowe. Wraz z dostawą towaru, przywozi się do sklepu całe gromady owadów, poszukujących nowych miejsc do życia. Najczęściej docierają do sklepów w... foremkach do jaj! Optymalnym rozwiązaniem byłoby stworzyć w sklepie specjalne pomieszczenie, gdzie cały przywieziony towar przechodziłby coś w rodzaju kwarantanny. Pomieszczenie to musiałoby być idealnie uszczelnione i posiadać ogromną ilość pułapek na owady. Ale nie czarujmy się: kogo stać dzisiaj na przetrzymywanie towaru przez dwa — trzy dni, jeśli praktycznie niektóre produkty (jak np. ostatnio jajka) można by sprzedawać wprost z samochodów?

Jeśli zatem nie można w zupełności zlikwidować owadów, powinno się trzymać „pogłowie" na takim poziomie, by nie rzucało się w oczy. W wielu krajach walczy się z owadami. Tyle że owa walka wcale nie jest uważana za coś wstydliwego i przeprowadzana jest systematycznie — co stwarza pewne przesłanki do uzyskania sukcesu. I tak np. w USA, w magazynach żywności, co 6 tygodni — bez względu na fakt, czy owady pojawiły się, czy też nie — stosuje się oprysk środkami rezydualnymi, tj. takimi, które przez pewien czas muszą pozostać na posadzce. Ich działanie polega na przenikaniu trucizny poprzez chitynowy pancerzyk, którym owad musi potrzeć o podłoże spryskane trucizną. Dodatkowo, w wielu miejscach magazynu wykłada się preparaty — podobne do wykpiwanego u nas „Prusakolepu". Ale środki owe są niejako uzupełniające: podstawowym jest zawsze preparat rezydualny.

Środki takie, o nazwie „Coopex" czy „K-Othrine" stosuje się także i u nas. Substancją czynną jest w nich permetryna, która działa toksycznie jedynie na stworzenia zmiennociepłne, dla stałocieplnych (np. dla człowieka) pozostając bez większego znaczenia. Zastąpiły one dość powszechnie stosowany „Karbaryl", który jako preparat fosforoorganiczny działał toksycznie na wszystkie bez wyjątku organizmy. „Karbaryl" wycofano także i dlatego, że np. „Coopex" jest środkiem dużo skuteczniejszym (jego toksyczność, w porównaniu z „Karbarylem" wynosi jak 2850 do 17! Wadą jest cena: 25-gramowe opakowanie „Coopexu" kosztuje 3 dolary....

W naszych warunkach spryskiwanie nie na wiele jednak się zdaje, pomimo stosowania niezłych preparatów, gdyż miejsca, w których żerują owady są po prostu brudne. Trucizna wsiąknie w kurz lub śmieci — i efekt jest praktycznie zerowy. Podobnie jak i na Zachodzie, u nas także stosuje się środek dodatkowy, uzupełniający oprysk — naturalnie znacznie lepszy od „Prusakolepu". Nazywa się on „Kepone" i z reguły zostawiany jest przez pracowników ŁZDDiD użytkownikom po to, by umieszczony w pomieszczeniach, wabił do siebie owady, które po jego spożyciu stają się bezpłodne. Ponieważ „Kepone" stosowany jest w postaci proszku, należało go umieszczać w kapslach przybitych np. do listew przypodłogowych. Tymczasem w szpitalu im. Madurowicza kapsle owszem są — ale puste...

## ZAKLEIĆ WSZYSTKIE DZIURY

Walka z inwazją owadów w mieszkaniu, z góry skazana jest na niepowodzenie — nie tylko z braku na rynku odpowiednich środków chemicznych. Pokazują się co prawda od czasu do czasu preparaty aerozolowe, ale nie są one typu rezydualnego, lecz kontaktowego — trzeba zatem nimi spryskać owada. Biorąc pod uwagę ich cenę bardziej ekonomiczne, choć z tym samym skutkiem — byłoby zabijanie prusaków opakowaniem aerozolowym... Jedyne, co można zrobić, to bardzo dokładnie uszczelnić wszystkie dziury i szczeliny w podłodze, ścianach i oknach. Kto mieszka w nowych blokach i próbował to robić, ten wie, że jest to istna stajnia Augiasza. Ale dopiero po dokładnym uszczelnieniu, wykonaniu dezynsekcji i dodatkowym wyłożeniu w miejscach niewidocznych „Prusakolepu" można mieć nadzieję, że pozbyliśmy się uciążliwych lokatorów...

Identyczna walka jak z prusakami i karaluchami czeka nas z mrówkami faraona. Chociaż nie, walka jest jeszcze trudniejsza i jeszcze bardziej beznadziejna. Bowiem królowa-matka, znosząc jajeczka, z których później wylęgają się robotnice, mieszka z reguły w dość głębokiej szczelinie. Można więc albo zakleić szczelinę, by „zagłodzić" mrówki (choć wcale nie jest powiedziane, że do gniazda prowadzi tylko jedno wejście), lub też dostarczyć do mrowiska zatruty pokarm. Metoda druga jest znacznie skuteczniejsza, lecz na naszym rynku praktycznie nie ma środka, do tego typu walki. Trwają co prawda pertraktacje z firmą „Max-Force", ale nie spodziewajmy się rewelacji: nie będzie to zakup tani; w handlu detalicznym także nie uda nam się go kupić.

Pluskwy — niestety — znane są od dziesiątków lat. Ostatnio przeżywają swój renesans, wraz z powrotem mody na tapety i boazerie. Pluskwy mają pod nimi istny raj! Kilka lat temu dość skutecznie opanowały niektóre łódzkie hotele i całkowite ich wytępienie było sprawą niezwykle trudną. Udało się to na szczęście i dziś można spać spokojnie.

Oprysków dezynsekcyjnych w skali miasta wykonuje się rocznie kilkadziesiąt tysięcy (sic!). Ceny są różne: od 1,10 zł w Łódzkim Zakładzie Dezynfekcji, Dezynsekcji i Deratyzacji, do 20—30 zł za metr kwadratowy u rzemieślników. Nawiasem mówiąc jedni i drudzy stosują te same preparaty, jedni i drudzy dają gwarancję jedynie na okres pół roku....

Dopóki więc, jako społeczeństwo, nie rozwiążemy problemu higieny w miejscu pracy i zamieszkania, nie mamy żadnej szansy na zlikwidowanie plagi szczurów i owadów. Plagi — dodajmy — nasilającej się z każdym rokiem. Cóż więc nam pozostało? Przyzwyczaić się i polubić?

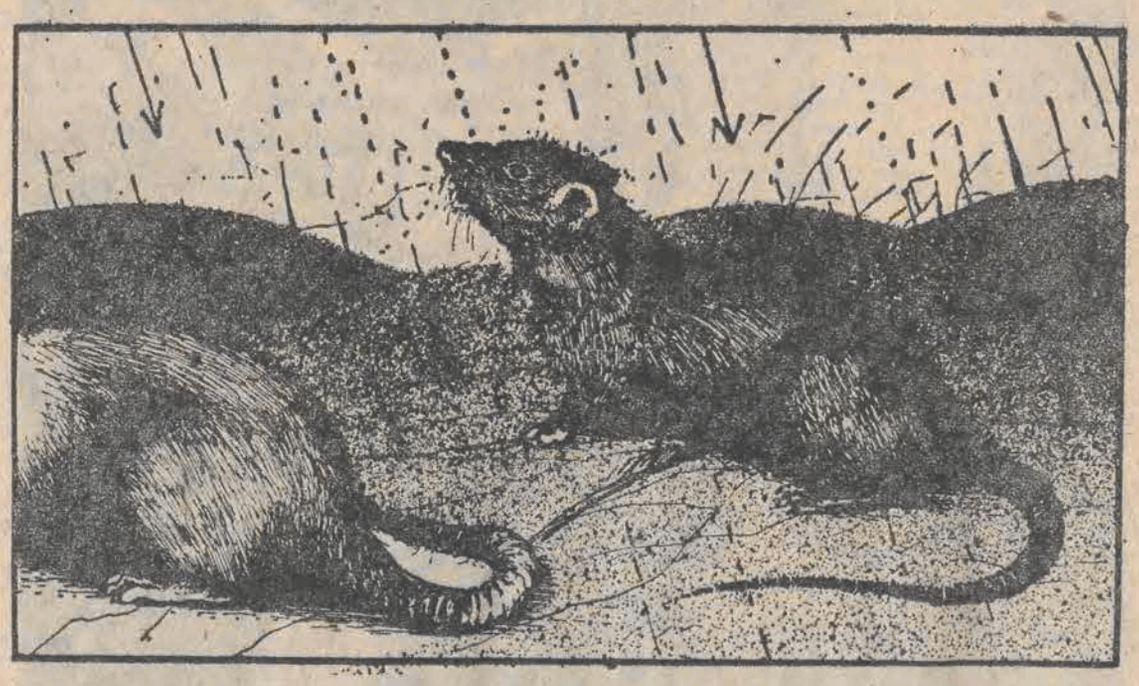

*Rys. Janusz Szymański-Glanc*

Robotnik powinien rozumieć chłopa, a chłop robotnika — ot i cała tajemnica wielu powodzeń.

# Czas sprawdzania

RYSZARD BINKOWSKI

W 1984 roku Sala Kongresowa Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie stała się najwyższym forum polskich ludowców. 29 marca zamykając czterodniowe obrady prezes NK ZSL, Roman Malinowski stwierdził m.in.:

*„IX Kongres był wielkim wydarzeniem w naszej wielopokoleniowej rodzinie ludowcowej. Wspólnie z całą wsią, z całym społeczeństwem oczekiwała ona, że IX Kongres delegatów reprezentujących bez mała pół miliona członków ZSL podejmie ważne historyczne decyzje, ważne nie tylko dla ruchu ludowego, nie tylko dla polskiej wsi, ale i dla całej Polski Ludowej, która jest matką chłopów polskich. Nadchodzący czas wymaga od nas wszystkich szczególnej aktywności, potwierdzenia w pracy, w działaniu, że słowa ludowców wypowiedziane na Kongresie będą dotrzymane. Jest to dla nas czas ważny, czas sprawdzania i uwiarygodniania naszych umiejętności i możliwości".*

Podjęte na IX Kongresie ZSL decyzje i uchwalone dokumenty mają wymiar historyczny. Poza tym jeszcze nigdy w historii obradom partii chłopskiej nie towarzyszyło tak ogromne zainteresowanie środków masowego przekazu. Później zaś, dzięki staraniom zmierzającym do zwiększenia obecności ZSL w środkach przekazu rozwinęła się współpraca z redakcjami prasy, radia i telewizji, w trakcie której wypracowano metody obsługi propagandowej działalności ZSL oraz zachęcania redakcji do podejmowania tematyki wsi i ruchu ludowego.

W ostatnim okresie radio i telewizja szczególnie wiele uwagi poświęcają ruchowi ludowemu, problematyce społeczno-politycznej Stronnictwa, sprawom rolnym, kulturze na wsi, oświacie, aż po film i reportaż.

Dorobek wsi i ZSL w ostatnich latach jest niezaprzeczalny, ale nie wszędzie jednakowo się go ocenia i propaguje. Niektóre z łódzkich gazet obsługują cztery województwa ościenne: skierniewickie, piotrkowskie, sieradzkie i płockie, gdzie dominuje rolnictwo i działają silne liczebnie organizacje ZSL, jest więc zrozumiałe, że mniej uwagi poświęcają najmniejszemu w kraju województwu łódzkiemu. Częściej problematyka wsi i rolnictwa gości na antenie radiowej, rzadziej pojawia się w łódzkiej telewizji.

Aby więc zainteresowanie środków masowej informacji sprawami wsi i rolnictwa nabrało charakteru bardziej dynamicznego i problemowego, 6 lutego 1987 r. na zaproszenie Prezydium WK ZSL w Łodzi zasiedli przy wspólnym stole przedstawiciele kierownictwa WK, łódzkich gazet, radia i telewizji. Nakryty zielonym suknem stół był gościnnie zastawiony gorącymi napojami, łakociami i butelkami płynów owocowych, ponieważ ludowcy przed trzynastą nie biorą do ust żadnego paskudztwa.

Powitawszy serdecznie zebranych prezes WK ZSL, Jerzy Chojnacki, wręczył listy pochwalne dla kierowników redakcji. Pismo z podziękowaniem za owocną współpracę dla redaktora naczelnego „Odgłosów" odebrał wasz specjalny wysłannik.

Na wstępie Jerzy Chojnacki oświadczył, że zgodnie z założeniami, iż kierownictwo WK przynajmniej dwa razy w roku będzie się spotykać z dziennikarzami w celu omówienia i oceny zasad współpracy, pierwsze spotkanie warto poświęcić temu, co się w strukturach ZSL działo, jaka jest sytuacja aktualna i co nas czeka w przyszłości.

**Aktualnie trwają zebrania sprawozdawczo-wyborcze w kołach i ta wstępna kampania powinna się zakończyć przed rozpoczęciem prac w polu. Jesienią, już po zakończeniu prac polowych, odbędą się zebrania gminne i wojewódzkie, a w marcu 1988 r. — X Kongres. Bieżący rok służy ocenie realizacji uchwał i postanowień IX Kongresu na wszystkich szczeblach, uaktywnieniu kół i komitetów gminnych, a także poszczególnych członków Stronnictwa oraz nakreśleniu stanowiska ZSL w sprawach istotnych dla wsi, gminy i województwa.** Pracowitość rolników jest znana, ale mają oni kłopoty w rozwijaniu produkcji. Niekorzystna jest realizacja cen na płody rolne i środki produkcji, których nadal jest mało. Chłopi mogą dać więcej żywności, ale muszą im w tym pomóc robotnicy i przemysł.

Aby zapobiec tzw. klęskom urodzaju, ZSL dąży do rozwoju drobnego przetwórstwa, przykładem tego są już w województwie łódzkim gmina Brójce i Przepusta. Ponieważ skala potrzeb przewyższa możliwości gospodarcze państwa, dla wsi trzeba wybierać to, co najważniejsze. Liczą się przede wszystkim woda, melioracje i poprawa warunków socjalnych. Jeśli zaś chodzi o sprawy prestiżowe, to Stronnictwo dąży do zwartości ideowej i umocnienia pozycji partii chłopskiej, szczególną wagę przykładając do koalicyjnego systemu sprawowania władzy.

Kierownik wydziału pracy ideowo-wychowawczej, mgr Marian Łabędzki przedstawił kierunki współpracy WK ZSL ze środkami masowego przekazu. Stwierdził on, iż minął czas wielkich rocznic, praca toczy się na bieżąco, ale o niektórych wydarzeniach trzeba pamiętać, jak choćby o tym, że przed 30 laty powstał Związek Młodzieży Wiejskiej. Zwiększeniu tematów wiejskich w prasie mogą służyć systematyczne spotkania merytoryczne. Dla tych dziennikarzy, co faktycznie interesują się wsią, dostępne są wszelkie materiały i informacje WK oraz komisji problemowych. Stronnictwu zależy na pokazywaniu nie tylko wzorców osobowych, ale i zjawisk negatywnych, a także propagowaniu inicjatyw Stronnictwa, jak chociażby organizacja w Michniewie koło Kielc Muzeum Martyrologii Wsi Polskiej. Ponadto WK ZSL w Łodzi zamierza nadać jednej z ulic na Retkini imię Wincentego Witosa. Na terenie województwa są miejscowości związane z życiem działaczy ruchu ludowego, których pamięć także należałoby utrwalić w nazewnictwie.

W dyskusji głos zabrał wiceszef Rozgłośni Polskiego Radia w Łodzi, tow. Mirosław Kuźniak, który stwierdził, że w radiu najczęściej instruuje się rolników, co mają robić w polu, ile wysiewać nawozów itp., mniej natomiast pokazuje się wieś aktywną, inicjującą na co dzień działalność społeczno-gospodarczą. Ponadto zbliża się Kongres PRON, którego sygnatariuszem jest ZSL, należy więc zwrócić uwagę i na tę sferę życia wsi.

Redaktor Henryk Smolaga oświadczył, że wskutek przemilczania pewnych faktów, co jest błędem propagandowym, nasilają się tendencje antychłopskie. Informuje się na przykład dokładnie opinię publiczną o podwyżkach cen na płody rolne, nie podaje się natomiast, jak bardzo rosną ceny na maszyny i inne środki produkcji rolniczej. W takiej sytuacji robotnicy mówią, że miasto będzie płacić za podwyżki cen mięsa, mleka i zboża, a chłopi będą budować wille i kupować samochody. Chłopi też są tym zdenerwowani i pytają, czy ktoś konsultował te podwyżki ze Stronnictwem i czy ZSL zrobił coś, aby zapobiec tak drastycznym pociągnięciom. Bo z prasy dowiadują się czasem, że tylko Krajowy Związek Rolników, Kółek i Organizacji Rolniczych zajmuje stanowisko w sprawie polityki cen wobec wsi.

Przysłuchujący się temu ze stoickim spokojem Józef Woldan z „Głosu Robotniczego" kończył oszczędnie konsumpcję jedynego ciastka, ponieważ musi dbać o linię. Nagle poczerwieniał, walnął pięścią w stół i zmełł w ustach jakieś brzydkie słowo. Opanowawszy się skonstatował, że daj nam Boże, abyśmy osiągnęli tę samowystarczalność żywnościową, ale jak tu wytłumaczyć chłopu, że jest dobrze, że polityka rolna jest słuszna, skoro nie ma węgla, a za kawałek żelaza, czyli za głupi lemiesz, płaciło się do niedawna 120 zł., a teraz 1700 zł? Rolnik wie, gdzie, ile i co siać, ale nie wie, gdzie kupić potrzebne nawozy. W mieście ludzie mają gotowe domy, ulice, drogi, wodę, gaz, szkoły, a na wsi chłopi budują wszystko sami, nie czekając na pomoc państwa. Aby coś załatwić, rolnik także stoi w kolejkach, i to w odległych miejscowościach, toteż samochód jest dla niego takim samym środkiem produkcji jak traktor, bez którego nie sposób prowadzić nowoczesnego gospodarstwa. Co się zaś tyczy 30 rocznicy ZMW, zakończy Józef Woldan, to należy to upowszechniać, bo on także był działaczem ZMW i ten okres swojego życia wspomina z prawdziwym sentymentem.

Na marginesie tej szczerej i słusznej bez wątpienia wypowiedzi warto zacytować opinię samych rolników, którzy twierdzą, że jeśli możemy się cieszyć ostatnimi laty dobrymi wynikami w rolnictwie, to należy zawdzięczać to także w znacznym stopniu sprzyjającym warunkom pogodowym.

Ustosunkowując się do głosów w dyskusji prezes Jerzy Chojnacki oznajmił, że najczęściej to on znajduje się między przysłowiowym młotem i kowadłem. Bo na wsi krzyczą, po co ten ZSL istnieje, skoro niewiele robi dla chłopów, w mieście zaś dogadują, że ZSL tylko broni wsi, żeby się bogaciła. Na jednym ze spotkań w „Elcie" robotnica wręcz zapytała, czy to jest w porządku, że chłopi obracają milionami, i czemu PZPR na to pozwala. Prezes Chojnacki odrzekł, że chłopi powinni obracać milionami, bo dzięki temu nie będzie reglamentacji, a półki będą się uginać od żywności. Charakterystyczne, że podobne zarzuty stawiają najczęściej ci, co sami przyszli ze wsi do miasta.

ZSL, jako partia współodpowiedzialna za sprawy wsi i wyżywienie narodu, nie może się głośno chełpić, ile to dobrego zrobiła dla wsi. A zrobiła naprawdę wiele, przy czym niemały jest w tej materii osobisty wkład prezesa NK, marszałka sejmu Romana Malinowskiego.

Co się zaś tyczy polityki cenowej, to ceny na płody rolne i środki produkcji powinny być ustalane w tym samym terminie. Jeśli bowiem ceny na maszyny wzrastają w styczniu, a ceny na produkty rolne dopiero w lipcu, to rolnik przez pół roku tylko na tym straci.

Redaktor Aleksander Nieśmiałek nie musiał się wypowiadać, bo w telewizji wszystko widać, a milczący kolega z „Expressu", jak zwykle w sposób zwięzły i komunikatywny pomieścił wszystko w tytule. Specjalny wysłannik „Odgłosów" również nie wystąpił publicznie. Tym razem nie tyle z wrodzonej skromności i nieśmiałości, co z obawy, że ktoś mógłby podkupić jego genialne pomysły. Podzielił się nimi na prywatnej audiencji w kierownictwie WK ZSL, wyrażając przy tym pogląd, że o ile każda z koalicyjnych partii pragnie mieć zaufanie i zrozumienie w społeczeństwie, to jej członków i działaczy nie należy pokazywać z trybun i narad, tylko w działaniu, w całej złożoności, jako człowieka. Może nawet mniej więcej tak, jak się przedstawia księdza w serialu „Ptaki ciernistych krzewów".

Gdyby jednak fragmenty tej relacji wydawały się zbyt lekkie, to przeczą temu fakty. Jeśli bowiem miasto nadal mało wie o wsi, co doprowadza do konfliktów, to społeczeństwo musi wzbogacić swą wiedzę przynajmniej poprzez rzetelne informacje w środkach masowego przekazu. Spotkanie dziennikarzy w WK ZSL spełni swoje zadanie, jeśli radio i telewizja wzbogacą swoje programy, w prasie zaś wzrośnie ilość tekstów o pozarolniczych sprawach wsi, a zwłaszcza problemach kultury, oświaty, ochrony zdrowia oraz życia społeczno-politycznego.

Foto: Grzegorz Galasiński

## Mówi: Andrzej F. Grabski

**— Miłośnicy historii znają pana z licznych popularnych publikacji, m.in. na łamach „Odgłosów" i wiedzą, że ma pan profesurę na Uniwersytecie Łódzkim. Znany jest też pan szerzej na naszym terenie jako działacz społeczny, ale chyba najmniej wiedzą ludzie o pańskim prywatnym upodobaniu. Mam na myśli oczywiście arcybogatą, znakomitą płytotekę z zakresu muzyki tzw. poważnej. Jak się zaczęło to niecodzienne i dość kłopotliwe w polskich warunkach zbieractwo? Czy odziedziczył pan w spadku zalążki tego zbioru?**

— Zaczęło się po prostu od zainteresowań muzycznych, od chadzania na koncerty symfoniczne do filharmonii łódzkiej i na urządzane przez nią niegdyś dość regularnie koncerty kameralne a także na przedstawienia operowe, które odbywały się już zanim powstał gmach Teatru Wielkiego. W latach powojennych bardzo bujnie rozwijało się życie artystyczne, może zwłaszcza muzyczne, a jednym z propagatorów muzyki było także Polskie Radio. Sam zresztą muzyki nie uprawiałem.

**— Biorąc pod uwagę wielkość i rozmaitość pańskiej płytoteki, a przy tym pańskie zaabsorbowanie pracą zawodową i działalnością społeczną, które już niewiele pozostawiają czasu na co innego, przyłapuję się nieraz na tym, że pańskie zbieractwo płyt zakrawa według mnie na maniactwo. To przecież niemożliwe, żeby mógł pan np. smakować subtelne różnice wykonawcze tych samych utworów przez różnych artystów, bo i takie osobliwości można w pańskim zbiorze napotkać. Mówię to, mimo iż rozumiem, ile człowiek może zawdzięczać muzyce...**

**— Myślę, że z niekłamanym zainteresowaniem i przyjemnością wysłuchaliśmy przed chwilą chyba nigdy u nas nie wykonywanego utworu kameralnego, choć spotkaliśmy się w celach wywiadu, a nie dla słuchania płyt i pewnie miałby pan ochotę jeszcze to i owo z mojej płytoteki poznać. Otóż właśnie dlatego, że jestem tak zajęty zawodowo, a nie potrafię się obejść bez muzyki, jestem niejako skazany na słuchanie jej w domu. Owszem, przyznaję, że „żywe" wykonanie (zwłaszcza wybitne) jest nieraz nie do zastąpienia, ale jakże ograniczony jest w praktyce repertuar koncertowy sezonu, powtarzający się zresztą z roku na rok, i słusznie, gdyż trzeba zapewnić bywalcom kontakt z podstawowymi pozycjami, dotyczy to także w pewnym stopniu gościnnych występów orkiestr i solistów. Słowem w życiu muzycznym nie można uprawiać różnego rodzaju osobliwości kosztem podstawowego kanonu, akceptowanego przez ogół słuchaczy. Kompletując taką płytotekę, jak ta, stwarzam sobie szansę wysłuchania w dowolnej chwili akurat tego na co mam ochotę, a czego zapewne nie usłyszę na recitalu czy koncercie.**

**— A może polski repertuar koncertowy, który uchodzi za dość bogaty (zwłaszcza jeśli idzie o utwory „bezdewizowe") nie idzie na ryzyko utworów mało sprawdzonych i mniej wartościowych artystycznie.**

**— Sądzę, że częściej pomijamy wartościowe pozycje ze względu np. na skład instrumentalny. Proszę zdać sobie sprawę, że w Polsce (w porównaniu choćby z ZSRR, NRD czy Czechosłowacją) publiczność oczekuje tylko takich instrumentów, jak fortepian i skrzypce, no może jeszcze wiolonczela, ale nie okazuje zainteresowania innymi instrumentami, np. dętymi, toteż do zupełnych rzadkości należy u nas np. wykonanie „Serenady" Mozarta na 14 instrumentów dętych. Słyszał ją pan kiedy na „żywo"?**

**— Nawet o niej nie słyszałem.**

**— A widzi pan. Przyzna pan też, że są utwory, nawet klasyczne, a tym bardziej współczesne, dla których poznania nie wystarczy jedno ich wysłuchanie, toteż bez własnej płyty pod ręką ani rusz. Powątpiewa pan też, czy mam jakiś pożytek lub satysfakcję z różnych wykonań tych samych utworów. Otóż mam je zazwyczaj w wykonaniu wybitnych solistów czy orkiestr, które do nas raczej nie docierają. Ale chyba to co mówię brzmi jak oczywistość.**

**— Chciałem przede wszystkim dociec, jak to jest naprawdę z tym pańskim zbieractwem i przekonał mnie pan, że jest pan niezmiernie rzadkim, że się tak wyrażę, okazem miłośnika muzyki, zadającym sobie wiele trudu dla wzbogacania swej płytoteki i ponoszącym spory uszczerbek w zaspokajaniu innych potrzeb.**

— Uważam, że życie współczesne tak nas absorbuje psychicznie, że trzeba stale odbudowywać nadwątlone siły przez ucieczkę w świat ulubionej, bliskiej sercu sztuki, stwarzać sobie niezbędny psychiczny komfort, co też czynię i myślę, że moja praca zawodowa czy społeczna może na tym tylko zyskać. Nie wiem, czy pan zauważył, że większość płytomanów ugania się za jakimś jednym, rzekomo najdoskonalszym, wykonaniem danego utworu, czy w ogóle za sławnym nazwiskiem wykonawczym. A przecież można mówić nie tyle o wykonaniu najlepszym, ile o wykonaniach różnych pod względem technicznym i interpretacyjnym. Powstają zresztą interpretacje nowe, odpowiadające nowemu typowi wrażliwości i wyobraźni muzycznej. Możność śledzenia tego jest naprawdę pasjonująca. Bywa się też w różnym nastroju, a więc ma się chęć raz na tę, a raz na inną interpretację, nie mówiąc o różnych w charakterze dziełach muzycznych.

**— Zresztą z latami mogą się zmieniać nasze upodobania...**

— I zmienia się też nasze osłuchanie muzyczne, a tym samym nasze wymagania i potrzeby.

**— Panie profesorze, sądzę, że niejeden czytelnik może okazać zniecierpliwienie rozmową dwóch nie najmłodszych panów o różnym odbiorze muzyki, większe natomiast zainteresowanie mogłoby wzbudzić ujawnienie przez pana sposobów nabywania płyt. Jakie ma pan „dojścia"?**

— O, nie zdradzę wszystkich sposobów i kontaktów, strzegę ich bowiem zazdrośnie. W każdym razie zaspokajaniu moich chęci sprzyjają dość częste wyjazdy służbowe za granicę, w kraju natomiast odwiedzam istniejące w Warszawie ośrodki kulturalne bratnich państw. Z naszą fonografią jest po prostu fatalnie, nie tylko pod względem technicznym. Dlaczego nikt nie pomyślał o stałym zaspokajaniu rynku w podstawowe dzieła polskiej klasyki lub też w nagraniu najwybitniejszych polskich solistów i zespołów.

**— Proszę powiedzieć, ile ma pan płyt.**

— Nie powiem, nie chcę bowiem wzbudzać zazdrości innych zbieraczy. Odczuwam zresztą szalone braki i mógłbym długo wymieniać, co jeszcze chciałbym mieć.

**— No, a gdyby tak uruchomić radiostację muzyczną i nadawać przez osiem godzin dziennie stale coś innego z pańskiej płytoteki, to starczyłoby tego chyba przez rok? Nie zaprzecza pan. W każdym razie dziękuję panu za sympatyczną i najdłuższą rozmowę jaką w życiu odbyłem na temat płytoteki, szkoda tylko, że brakło czasu na posłuchanie do syta muzyki.**

Rozmawiał: JERZY KWIECIŃSKI

*Tadeusz Chróścielewski*

# W Opinogórze

Siedzieć w cudzych salonach
bezceremonialność,
gdy pan domu jest płótnem, łyskaniem
werniksu,
cierpi na brak wymiaru trzeciego. Do stabli
przyszliśmy i do Pieśni, co jest łatwopalną,
gdyż Bóg jej nie poskąpił swej anielskiej miary..
Szabli nie ma się w cenie, jakkolwiek
nas gości:
człek mały miał władać nią (choć w
Same-Sierrę
biła niczym bóg szarży) był przysiędze wierny
fatalnej, którą palce złożone zaczernił
jak szuwaksem; przekładał nad „Odę" carmina...
Ma tu się też za wadę, że... zbyt kochał syna.
Syn z ram złotych poziera z pańska,
lecz znużony
swą utratą wymiaru, konfliktem sumienia
i tuptaniem wycieczek...
Kosmos sal sklepionych:
górą w kamienne gwiazdy, w dole
srebrne świece;
płoną dziewięciu pałek — syn bo hrabia
— blaskiem...

A przecież przy tych paru książkach
za szkłem jakże ciasny
gwiazdozbiór sal gotyckich i jakże są płaskie.
Cienie świec jak Okopów Świętej Trójcy blaski.
O Okopach co wiemy?
Że z hukiem upadły,
A o Księgach co wiemy?
Że ze czcią Pankracy
brał je w ręce (nie zginął) z dziećmi
klas rozjadłych.
O Słowie co powiemy?
Że jest Słowem — Pracą:
Cel jego szlachetnienie narodu i świata...
I że to dzwon donośny, nie chwilowa raca.
Siedzieć w cudzych salonach
bezceremonialność —
szczególnie, gdy pan domu jest więźniem
werniksu,
dybów ram i że brak mu wymiaru trzeciego...

Po cośmy przyjechali? By ujrzeć dowodnie,
quam transit gloria mundi? Czy
kochanków śladem
plotkarsko wypatrywać w krzach
ławy pamiętnej?
Czy podziwiać muśliny i sznur pereł pani?
Czy za mgłą szyb dopatrzeć elizejskiej mary?
Czy by dosłyszeć Słowo
u źródła, u krtani?

Drzewa w sadach wieczory umursane, czarne,
W chmurach jak knot w oleju dygocze
nów. Szumi
każdy liść: proza dramy i ośmiozgłoskowiec
psalmów. Szum genezyjski wszelkie inne tłumi,
W tym wasze rockowiska panowie — magnaci
nowe Dziś, w tym piekło bijące Bramami...
Słowo miary anielskiej, pomódl się za nami!

Tu ma tkwić — w katakumbie pod nawą
— krtań Słowa,
w krypcie pokratkowanej w kwadratowe biele;
za nimi gładkość chroni Kości i kosteczki.
Grobowiec to czy szklarnia? Po ścianie
się ściele
krzew genealogiczny wsparty na marmurach,
drzewo, które tysiącem wsi owocowało
i bestiami z heraldyk: Gryf, Gawron,
Jastrzębiec.
Tam ta Kość jest... lecz milczy: głosu
jej nie stało
pod gładkimi jak w porze szlichtady taflami...
O drzewo heraldyczne, nie módl się za nami!

Lecz pieśń, jak pnie, od kornia wyżej nas
kieruje,
po schodach: nawa bowiem nad sklepem
góruje.
Tu właśnie apogeum osiąga krzyk Słowa...
Ołtarze, konfesjonał jak szafa trzydrzwiowa,
a z jego przeciwboku... śpi niewiasta w bieli
i równie białe płacze dziecko u wezgłowia —
pacholi — może pański? wieśniaczy? anieli?...
w koszulinie. On Zygmunt i Orcio się zowie.
Zmarła to Wincentowa tudzież Henrykowa —
nie kochana przez męża. Ich syn nad
wezgłowiem
sto lat do rąk się garnie, chce z nich śmierć
zdejmować,
Bez wytchnienia, do życia chce
rozgrzać marmury.
Syn jest ślepnącym dzieckiem, rozpieszczonym
panem
(zawiłej jego psyche nie rozszamerować),
syn dzięki modłom pani Poetą był został
I Bóg mu nie odmówił anielskiego Słowa...
To nie skromny kościółek — raczej gaj platoński.
Dwie idee tu klęczą i nie chcą się rozstać:
Wiersz, który szlachetnienie świata
ma na celu
z Ziemią Mogił i Krzyży, której miano
Polska —
w świecie bałamuctw wielu i poświęceń wielu.
Druga to Macierzyńska-Miłość i Synowska...

A że poeta Zygmunt był ordynatem —
co z tego!

Październik 1986.
Warszawska Jesień Poezji

# Wspominając minione

Trzy miasta, z którymi związany jest szczególnie mocno Tadeusz Chróścielewski wyznaczają mapę wędrówki tego pisarza przez dwa zespoły zagadnień w jego najnowszej książce, którą należy uznać za książkę wspomnieniową — Mińsk Mazowiecki — miejsce urodzenia i lat wczesnej młodości, Warszawa — miasto studiów uniwersyteckich i uczestnictwa w podziemnym życiu literackim oraz Łódź — miasto, w którym pisarz osiadł po wojnie. Dwie grupy zagadnień złożyły się na książkę Chróścielewskiego: rzeczywistość konspiracyjna okupowanej Polski a w szczególności jej życie literackie oraz okres powojenneko kształtowania się życia literackiego w Łodzi.

Zbliżony w okresie swego pobytu w Warszawie do grupy poetów „Sztuki i Narodu" Tadeusz Chróścielewski wnosi wiele interesujących spostrzeżeń do wiedzy o życiu podziemia literackiego stolicy. Autor brał udział w spotkaniach literackich, zetknął się z Baczyńskim, Gajcym, Bojarskim i choć, jak pisze, nie był formalnym członkiem „Sztuki i Narodu", aktywnie uczestniczył w ruchu kulturalnym tej generacji, którą później określono „pokoleniem Kolumbów". Atmosfera życia konspiracyjnego Warszawy, osobowości twórcze młodych poetów utrwalone wcześniej w książkach Wasilewskiego, Bartelskiego i Bratnego, w książce Chróścielewskiego znajdują swoje dopełnienie i stają niekiedy w nowym świetle. Olśnienie poglądami i poezją Gajcego, przekornego a jednocześnie poważnego, wewnętrzny aplauz dla przekonań Trzebińskiego, krytyczna postawa wobec poezji Baczyńskiego, lektury wczesnego Strońskiego, o którego „odkrycie" upomina się Tadeusz Chróścielewski — to wszystko kształtowało także wyobraźnię poetycką autora tych wspomnień.

Już po ich ukazaniu się wytknięto autorowi niektóre nieścisłości chronologiczne. Trzeba jednak pamiętać, że Chróścielewski nie opiera się na dokumentach. Toteż, jak zresztą sam wyznaje „pamięć może się pośliznąć", zacierają się szczegóły, daty i miejsca. Z niejakim zakłopotaniem mówi: „Przecież nie zapamiętałem ani momentu pierwszego zetknięcia się z warszawskim podziemiem młodoliterackim, ani pierwszej bytności polonistów i poetów warszawskich u mnie, w domu w Mińsku Mazowieckim (gdy mi o niej mówią ci ocaleli, słucham jak o żelaznym wilku), ani owego wieczoru poświęconego twórczości Borowskiego w rok po wywiezieniu autora „Gdziekolwiek ziemia" do Oświęcimia". A przecież sytuacje, zdarzenia, postacie, które ukazuje autor rysują się bardzo wyraziście, obserwacje są wnikliwe, czasem jakiś istotny szczegół pokazany jest w zbliżeniu, innym razem pewne sprawy potraktowane zostały syntetycznie, choć z należytą uwagą.

Z zainteresowaniem przeczytałem wspomnienie „Tajemnica alkowy" opowiadające o ekscentrycznym na pozór okupacyjnym małżeństwie, które obłożyło swój związek dziwnymi warunkami. Obwieszczone znajomym o mało nie wywołały skandalu. Tyle tylko, że było to działanie obliczone na właściwy efekt, wymuszone jak się później okazało, wymogami konspiracji, gdyż współmałżonek należał do grona oficerów związanych ściśle z dowództwem podziemia i był kurierem gen. Grota-Roweckiego. Wspomnienie to, to także ciekawy przyczynek do historii ludzkich zachowań wynikających z konspiracyjnej konieczności.

Ciekawy jest także tekst o dwu żołnierzach niemieckich — młodym asystencie filozofii i poecie — przypadkowo rzuconych w wir wojny. Zetknął się z nimi autor w Mińsku Mazowieckim, gdzie przez pewien czas zamieszkiwali zakwaterowani w domu rodzinnym Chróścielewskiego. Ów nie znany z nazwiska i dorobku poeta niemiecki o niezgodnych z nazistowską ortodoksją poglądach na literaturę i parapsychologicznych zdolnościach przykuwa uwagę czytelnika.

Chróścielewski porusza się po obszarach bardziej lub mniej spenetrowanych przez naukę o literaturze. Przykładem jest wspomnienie o młodopolskiej poetce Hannie Zahorskiej-Savitri, o której losie, jak pisze autor, nie posiadały informacji ani IBL, ani Zakład Historii Najnowszej. Jest to wspomnienie, w którym dopomina się autor o pamięć nie tylko dla poetki niegdyś bardzo znanej, lecz także działaczki Związku Walki Zbrojnej zamordowanej w Oświęcimiu, Co ciekawsze nigdy nie poznał jej Chróścielewski osobiście, nie doszło bowiem do planowanego spotkania początkującego wówczas poety z pisarką w okupowanej Warszawie.

Ze wspomnień pookupacyjnych warto zwrócić uwagę na rozdział książki poświęcony Stanisławowi Czernikowi. Prezentuje on nie tylko poetę, ale także człowieka o niezwykłych zaletach, pozbawionego zawiści, życzliwego dla młodych kolegów po piórze, inicjatora wielu przedsięwzięć kulturalnych w Łodzi, człowieka o swoistych poglądach na profesję poetycką. Jest to wspomnienie niezwykle ciepłe i życzliwe.

Dwa szkice poświęcone zostały kawiarniom łódzkim, które miały swój udział w kształtowaniu się życia literackiego miasta w końcu lat czterdziestych. Tutaj często skupiało się życie intelektualne, zawiązywały się nowe i odświeżały dawne, przerwane przez wojnę znajomości, dokonywała się wymiana poglądów, niejednokrotnie powstawały pomysły powołania nowych instytucji kulturalnych. „Fraszka", „Egzotyczna", „Ziemiańska", „Turecka", kawiarnia Piątkowskiego — to nie tylko miejsca spotkań ludzi pióra i dzisiaj, po latach, pretekst do zabawnej anegdoty ale nierzadko także miejsce pracy niejednego z pisarzy i publicystów w tych pierwszych dniach wolności. Szczególna rola przypadła kawiarni „Fraszka". Bo któż tutaj nie bywał: Stefan Żółkiewski i Mieczysław Jastrun, Seweryn Pollak i Adam Ważyk, Artur Sandauer i Kazimierz Brandys, a ponoć także sam mistrz Gałczyński i Leopold Staff. Wędrówka po kawiarniach literackich Łodzi to ciekawa opowieść o ludziach związanych z życiem literackim tego miasta.

Tytuł książki Tadeusza Chróścielewskiego jest trawestacją tytułu jednej z ballad Goethego i nawiązuje do starego zwyczaju terminowania ucznia u swojego mistrza. Takich mistrzów, pisze Chróścielewski, każdy z pisarzy ma wielu. Niektórym z nich — poetom, środowisku, czasowi historycznemu — poświęcona jest ta książka.

MAREK G. MADEJ

**Tadeusz Chróścielewski: Uczeń czarnoksiężników, Krajowa Agencja Wydawnicza, Łódź 1986**

# Dobrotliwy prześmiewca

Wydawnictwo Łódzkie przypomniało twórczość niedawno zmarłego Zygmunta Fijasa wydając wybór jego tekstów pod wspólnym tytułem „Tylko dla poważnych".

Zygmunt Fijas nigdy, jeszcze za życia, nie mieścił się w żadnej „szufladzie", a jego twórczość znajdowała uznanie przeważnie u ludzi obdarzonych nieprzeciętną wyobraźnią, nieokiełznaną fantazją, wyczulonych na aluzyjność, wieloznaczność, na groteskowe skojarzenia. Uważano go za satyryka, jednak kpina pojawiająca się w jego utworach nigdy nie wywoływała lawiny śmiechu, nie krążyła w formie dowcipu nadającego się do powtarzania w tramwaju czy przy kawiarnianym stoliku. Z reguły były to opowiastki dotyczące jakichś zdarzeń, ludzi i sytuacji bez bulwersującej fabuły i bez zapierającej dech w piersiach pointy. Zygmunt Fijas opowiada zwyczajnie o zwyczajnych rzeczach. Tylko ta zwyczajność jest — co spostrzega się po chwili lektury — niecodzienna, jakby spiętrzona, słowa naraz zaczynają nabierać wieloznaczności, postacie występujące w utworze — zrazu banalne — nagle otrzymują zupełnie inny wymiar, stają się symbolami koterii, układów, nieudolności, hipokryzji, szalbierstwa lub wręcz głupoty.

Pisał mało, a w ostatnich latach życia jeszcze mniej drukował. Za jego życia ukazało się zaledwie pięć książek: „Portret z sera", „O szkodliwości kominów", „Z notatnika prowincjusza", „Twarzą do tyłu" oraz „W krainie majaczeń. Groteski". Pierwsza z tych książek ukazała się drukiem w 1954 r., ostatnia w 1972. Jak na przeżyte siedemdziesiąt pięć lat, to niewiele. Z drugiej jednak strony owe pięć tomów stanowią ważny wkład w budowlę, jaką jest literatura polska. Są to mocne i trwałe elementy, dobrze osadzone i trzymające się w gmachu nazywanym powszechnie dziedzictwem duchowym. Twórczość Zygmunta Fijasa jednak jak dotąd nie miała szczęścia do głębszych opracowań krytycznych, a przecież pozostał po nim dorobek ze wszech miar zasługujący na wnikliwą uwagę.

Wybór tekstów noszący tytuł „Tylko dla poważnych" z konieczności jest prezentacją zaledwie części dorobku pisarskiego Zygmunta Fijasa. Znalazły się tu utwory pomieszczone w wydaniach książkowych „Z notatnika prowincjusza" oraz „W krainie majaczeń. Groteski". Czy jest to wybór trafny? Być może, choć nie oddaje w całości pasji tego nieprzeciętnego prześmiewcy, żonglera pojęciami, znaczeniami i słowami, tego niezrównanego przewodnika przez krainę absurdu i groteski. Jestem przekonany, że niektórzy czytelnicy, którzy sięgną po omawianą tu książkę, mogą mieć inne zdanie. Odpowiadam: proszę się nie śpieszyć, nie czytać prozy Zygmunta Fijasa „jednym ciurkiem"". Ten autor wymaga skupienia, smakowania poszczególnych słów, zdań, opisów i skojarzeń. Przecież to uczta, a nie posiłek w przydrożnym barze.

I jeszcze jedno: we wszystkim co pisał Zygmunt Fijas aż roi się od aforyzmów, celnych powiedzień, pełnych finezji określeń, zaskakujących prawd, których się dotąd nie dostrzegało. To zachęta dla zbieraczy tzw. „złotych myśli". Tylko że owe myśli Zygmunta Fijasa mają często naturę niezwykle przewrotną, czasem wydają się być niedorzeczne przez swoją banalność i codzienność. (Np. Feniks i nagniotki odradzają się). Sądzę, że z tych powiedzonek można byłoby ułożyć wcale pokaźny tomik, który wzbogaciłby naszą aforystykę. Pomysł ten daję pod rozwagę Wydawnictwu Łódzkiemu. Może warto się potrudzić.

EUGENIUSZ IWANICKI

**Zygmunt Fijas: Tylko dla poważnych: Wyd. Łódzkie 1986 r. Str. 382. Cena 220 zł.**

# Bigos hultajski

## Mieszanka firmowa literacko — obyczajowa

BIGOS PO WĘGIERSKU

Ukazała się niedawno na półkach księgarskich znakomita książka pt. „Bratankowie w krzywym zwierciadle. Antologia anegdot polsko-węgierskich i innych historyjek czasem wierszem pisanych", zebrana i do druku przygotowana przez prof. Istvána Csaplarosa (Warszawa: LSW, 1986). Książka zawiera ponad 230 anegdot, dykteryjek i facecji odnoszących się do wzajemnych stosunków między obydwoma naszymi narodami. Odnotowując z uznaniem pojawienie się tej pożytecznej publikacji uzupełniam ją kilkoma angedotami nie figurującymi w książce Csaplárosa.

**POLAK MĘŻNY LECZ NIEROZWAŻNY**

Na dworze Macieja Korwina (1458—1490), króla węgierskiego, bawił Polak tyle sławny z wielkiej siły i zręczności w robieniu bronią, że mu żaden Węgier nie wyrównał, a dla wszystkich był w pojedynkach postrachem. Jednego dnia, kiedy karmiono ogromnego lwa w klatce, przyszło Polakowi na myśl wyzwać dworzan z orszaku królewskiego do wydarcia zwierzęciu wielkiego kawała mięsa z rozkrwawionej paszczy, na co kiedy nikt odważyć się nie śmiał i wszyscy milczeli, odezwał się:

— *Ja to uczynię!*

Przez całe trzy dni nie dano nic jeść lwu, żeby był głodniejszy. Dopiero trzeciego wrzucono jagnię do jego klatki, gdzie zaraz wszedł Polak. Paszczą zgłodniałą i z przeraźliwym rykiem porwał jagnię lew i trzymał w nim zatopione zęby. Wtem mężny Polak rzuca mu się na kark, a krzyknąwszy:

— *A psie, rzuć mięso!* — porywa za jagnię w paszczy będące. Lew tym głosem jakby piorunem uderzony, puszcza żer; toczące oko zwraca na śmiałka, który tymczasem szczęśliwie odchodzi z klatki i za sobą ją zamyka. Wszyscy, którzy byli tego czynu świadkami, osłupieli. Marcin król udarował hojnie Polaka, lecz rozkazał wyjechać mu natychmiast z kraju, mówiąc:

— *Człowiek, który tak nierozważnie życie swoje naraża, gotów wszystko za nagrodą uczynić.*

Nowy Kalendarz Domowy na rok 1830 s. 36.

**ZŁE PIENIĘDZY POŻYCZANIE**

Autorem wiersza jest Wacław Potocki, który osnowę anegdoty zaczerpnął z motywu wędrownego (w zbiorze Csaplárosa, s. 77—78), popularnego w facecjonistyce europejskiej. Autorstwo pomysłu przypisuje się u nas błaznowi ostatnich Jagiellonów — Stańczykowi, na Zachodzie Europy zaś trefnisiowi nadwornemu Alfonsa V króla Neapolu. Wspomniany w wierszu Potockiego Słowik to błazen Słowikowski, nadworny trefniś Stanisława Lubomirskiego (1583—1649), od 1638 r. wojewody krakowskiego.

*Słowikowi krakowski kazał wojewoda,*
*Że jego dworu błaznów na regestrze poda.*
*A że naprzód samego wojewodę liczył,*
*Pytany o przyczynę: „Boś waszmość pożyczył*

*Pieniędzy, jako żywo nie znając Węgrzyna,*
*Ani tych wróci, ani przyprowadzi wina".*
*„Cóż, kiedy przyprowadzi?" — „To waszmości zmażę,*
*A Węgrzynę głupiego na to miejsce wrażę".*

**WĘGRZYNÓW UPADEK**

Po klęsce powstania węgierskiego (1848—1849) Antoni Gorecki napisał fraszkę datowaną 12 września 1849 r. (Wolny głos czyli Nowy tomik pism - Paryż 1850), której bohaterami są powstańcy węgierscy i ich dowódca gen. Henryk Dembiński, wcześniej już wsławiony podczas powstania listopadowego:

*Ach! Węgrzynów upadek podwójnie mnie smuci!*
*Że i tylu walecznych przelew krwi jest próżny,*
*I Dembiński, jak przywykł, golutki tu wróci,*
*A ja jestem pięćdziesiąt franków jemu dłużny.*

**WIERSZYK O MADZIARACH**

Autorem tego wiersza, poświęconego św. Kunegundzie (Kindze), żonie Bolesława Wstydliwego, jest Bonifacy Ostrzykowski, kanonik honorowy katedry płockiej, proboszcz w Brańszczyku (Kleft pod rodzinnym niebem. Warszawa 1860). Początkowe strofy wiersza dotyczą ojczyzny książęcej małżonki:

*W pięknej, bogatej krainie,*
*Osiedlonej przez Madziary,*
*Stoi Buda i Peszt stary,*
*A w pośrodku Dunaj płynie.*

*Nieraz wiatr w oczy zawieje,*
*Wiał też i w tej stronie świata,*
*Raz się słońce mile śmieje,*
*Znów chmura dzionek przeplata.*

*Tak też z Madziary bywało,*
*Że wśród burzliwych kolei,*
*To raz im szczęście sprzyjało,*
*To znów padli bez nadziei.*

Opracował:
ANDRZEJ KEMPA

# Wrażenie niedosytu

Niewielki tom Andrzeja Twerdochliba miał szansę stać się typową prozą rozrachunkową, przewartościowującą społeczne postawy wczesnych lat osiemdziesiątych. Nie doszło jednak do tego, ponieważ zabrakło pisarzowi — bo ja wiem: odwagi, ochoty, cierpliwości? w drążeniu problematyki społecznych zachowań ukształtowanych przez mechanizm sprawowania władzy. Pomysł opowiadania tytułowego stwarzał w tym zakresie niemałe możliwości: wywiad z kimś, kto całkiem niedawno znajdował się na świeczniku, a obecnie — po wymuszonej przez sytuację rezygnacji z funkcji politycznej — jest dosłownie nikim pozwalał na przyjrzenie się z różnych punktów widzenia kwestii sprawowania władzy oraz upadkowi dygnitarza.

Autor obudził czytelniczy apetyt, ale go nie zaspokoił. Sylwetka Michała Poławskiego wypadła zbyt płasko, jednowymiarowo. Były polityk przy całej swej formalnej mądrości (legitymuje się przecież doktoratem) zdaje się nie dostrzegać istoty tego wszystkiego, co się wokół niego rozegrało i nadal rozgrywa, do końca właściwie nie wie, dlaczego odszedł. Tym bardziej, że wścibska dziennikarka, która wymyśliła ów niebanalny wywiad okazuje się mało sprawną interlokutorką: nie tylko nie potrafi zmusić zdymisjonowanego polityka do mówienia, ale nie jest nawet w stanie pobudzić go do krytycznego myślenia. Wywiad nie może się zatem udać. Rozmowa człowieka, który musi znaleźć dla siebie nowe miejsce w społeczeństwie z przeciętną dziennikarką usiłującą w niespokojnym czasie chwycić wiatr w żagle nie wykracza poza komunały i słowne przepychanki. Dziennikarka objawia szczerą ochotę zrozumienia i wyjaśnienia powagi chwili. Nie ma jednak po temu wiedzy i talentu, ujawnia za to snobistyczne ciągoty: „Dziennikarka z ważną legitymacją oświadczyła, że zamierza spróbować sił w literaturze. Był pewien, że gdyby udało się jej tylko w pięciu procentach oddać sprawiedliwość obecnym czasom, zdobyłaby sławę, majątek i uznanie potomności. Ale do tego nie mógł wystarczyć wywiad. Choćby nawet oboje starali się nie wiadomo jak i wykazali najlepsze chęci". Rolę reżysera przejmuje więc ten trzeci — znakomity kompozytor, przyjaciel Michała Poławskiego. Usiłuje on zrozumieć i usprawiedliwić dezercję człowieka, który miał ambicję współtworzenia historii. Są to uczucia sprzeczne: od zdecydowanej aprobaty wcześniejszych własnych poczynań po chwile zwątpienia, od marzeń o powrocie do władzy po chęć usunięcia się w cień i rozpoczęcia na przykład pracy na pokładzie rzecznej barki.

Michał Poławski do władzy nie wraca, natomiast opowiadanie wraca do punktu wyjścia. Zmęczony rozmową, która do niczego nie doprowadziła, znużony własnymi niezbyt odkrywczymi przemyśleniami bohater opowiadania udaje się na łono przyrody, aby odpocząć. Ma bowiem w perspektywie rozmowę ze swoim następcą, na którą został oficjalnie zaproszony. I zapewne dopiero wtedy wyjaśni się wiele spraw zaledwie zasygnalizowanych w opowiadaniu.

„Uciekiniera" można uznać za niezamierzoną karykaturę kompleksu „ucieczki z Jasnej Polany". Wzięty pisarz — wbrew przekonaniu, iż w „tej branży" nie ma urlopów — usiłuje uciec przed kolegami po piórze, przed reżyserami oraz wydawcami, żeby odizolować się od zewnętrznego przymusu pisania. Jest autorem znanym i cenionym, ale przy wszystkich tych zaszczytach czuje się jedynie wyrobnikiem, rzemieślnikiem pióra. Chciałby być artystą prawdziwym, twórcą wybitnym, a tu rozliczne umowy, zamówienia, scenariusze, konkursy etc. — wszystko to nie pozwala na rozwinięcie skrzydeł (o innych przeszkodach czy ograniczeniach narrator dyskretnie milczy).

O ile „Wywiad z nikim" pozostawia wrażenie utworu niedopowiedzianego, o tyle w „Uciekiniera" Andrzej Twerdochlib powetował sobie z nawiązką poprzednią powściągliwość. Nie tylko nie pozostawił suchej nitki na swym bohaterze, ale nie pozostawił też złudzeń czytelnikowi. Teza brzmi: zmieniła się rola literatury i zmieniło się miejsce pisarza w społeczeństwie, literatura stała się zwykłym towarem — autorowi zaś zależy wyłącznie na tym, by wszystko sprzedać. Bohater „Uciekiniera" „trzy dni temu odesłał powieść na trzysta osiemdziesiąt stron... Ostatnie lata silniejszego zwaliłyby z nóg. Podpisywał umowy, brał wszystkie wadia konkursowe, miał cotygodniowy felieton, robił większe artykuły publicystyczne... Nie chciało mu się nawet liczyć, ile miał funkcji". Wiktor Lewiński jest literatem zawodowym, to znaczy kimś, kto musi utrzymać się z pisania. A to wymaga nie lada umiejętności, nie tyle zresztą literackich, co po prostu organizacyjnych, aby utrzymać się na rynku. Nie interesują go czytelnicy lecz zamienianie kolejnych maszynopisów na złotówki. Bohater Twerdochliba mocno stąpa po ziemi, choć gwoli prawdy rzec trzeba, iż plączą mu się nieraz nogi od nadmiaru alkoholu. W tak zwaną czystą literaturę nie wierzy. Próbował ją tworzyć, ale został upokorzony. Przez kogo i w jakich okolicznościach — nie wiemy, jakkolwiek mogłoby to okazać się przydatne na przykład dla młodych adeptów pióra, którym „mistrz" zdradza niektóre tajniki zawodowe.

Lewiński pisze dużo. Jest sprawnym, cenionym rzemieślnikiem. Umie zrealizować każde zamówienie. Opłaca to jednak nerwicą. Alkoholizmem. Poczuciem duchowej pustki, którą trzeba zagłuszać. Pojawiają się więc nowe umowy. Zapewne pojawią się również nowe ucieczki. I powroty. Przecież w branży nie ma urlopu.

Andrzej Twerdochlib kompromituje swoich bohaterów: ludzi cynicznych, odrażających, samolubnych. Niewolników kariery lub pieniądza. Kompromitacji nie towarzyszy jednak potępienie. Już raczej chęć usprawiedliwienia w myśl zasady, że nie stanowią oni przecież wyjątków. Ta sluzyjna proza obyczajowa pozostawia wrażenie niedosytu. Od pisarza tak sprawnego warsztatowo należy oczekiwać pogłębionej analizy społecznych postaw, a nie tylko ich karykaturalnej rejestracji.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

**Andrzej Twerdochlib: „Wywiad z nikim", Państwowy Instytut Wydawniczy Warszawa 1986, s. 119, nakład 20 000 + 300 egz., cena zł 120.—**

# Kronika kulturalna

**WYDARZENIEM artystycznym dużej rangi** stał się **wernisaż grafik** wybitnego hiszpańskiego surrealisty **Salvadore Dali w gdańskim Kantorze Sztuki. Uroczyste** otwarcie odbyło się 14 lutego br. **w** surrealistycznej scenerii, bowiem **uczestnikiem** była koza i przelatujący **nad głowami** zgromadzonych koneserów **sztuki... kogut.**

31 grafik wielkiego mistrza **surrealistycznej** sztuki trafiło do Gdańska **dzięki zabiegom Jerzego Prószyńskiego,** właściciela sztokholmskiej galerii „Attrium", **od 17 lat** mieszkającego w Szwecji. Czynnego wsparcia udzieliła nasza **Ambasada w Sztokholmie.**

Najdroższa z prezentowanych **na wystawie grafik ma wartość 2100 dolarów, co nieco zaszokowało wielbicieli niepospolitego artysty.**

---

**OD 3 marca br. w Zamku Królewskim** w Warszawie będzie można podziwiać **wystawę arcydzieł sztuki i klejnotów naszej kultury.**

Eksponowane będą m. in. **arrasy** ostatniego Jagiellona Zygmunta Augusta, zabytki piśmiennictwa („Psałterz Floriański", pierwsze wydania dzieł Mikołaja Reja, Jana Kochanowskiego, epokowe „De revolutionibus" Mikołaja Kopernika), akty i przywileje królewskie (wśród nich akt Unii Lubelskiej).

Arcyzabytki naszej kultury wypełnią 14 sal na parterze Zamku Królewskiego.

Wystawie towarzyszyć będzie pokaz **filmów o sztuce oraz koncerty dawnej muzyki**

---

**DLA miłośników kultury orientalnej,** których grono w naszym mieście stale się powiększa, mamy bardzo interesującą propozycję.

Oto bowiem **w dniach 27.II.—1.III. br. w** studenckim **Klubie „Forum" (al. Politechniki 2) odbędą się III Ogólnopolskie Warsztaty Muzyki Orientalnej.**

Pomysłodawcą **i głównym organizatorem tej** ciekawej i wielce oryginalnej imprezy artystycznej jest **Lucjan Wesołowski (lider** zespołu muzycznego **„Orientacja na Orient",** popularyzator muzyki hinduskiej).

W atrakcyjnym i bogatym programie warsztatów organizatorzy zapowiadają m.in. naukę gry na egzotycznych instrumentach (sitarze, tabli), koncerty zespołów **„Raga Sangit" i „Orientacja na Orient"** (oba z Warszawy), wrocławskiej **„Arki"** i białostockiej **„Aguirry". Dominować będzie muzyka hinduska.**

---

**KOWNIEŻ wielbicieli egzotyki na pewno** zainteresuje zorganizowana przez **Towarzystwo Polsko-Japońskie i Śródmiejską Bibliotekę Dzielnicową** wystawa **„Japońskie kartki i koperty okolicznościowe"** (czynna **w gmachu** biblioteki przy ul. Andrzeja **Struga 14).**

---

**6 MARCA** br. rozpocznie się **w Łodzi II Ogólnopolski Konkurs im. Karola Szymanowskiego.**

Weźmie w nim udział **76 młodych artystów z całego kraju (w wieku od 17 do 31 lat).** Większość z nich stanowią uczniowie i studenci szkół muzycznych.

Imprezie patronuje **ŁTM im. K. Szymanowskiego.**

---

**KOŁO Piśmiennictwa Filmowego przy SFP** przyznało doroczne nagrody dla najlepszych filmów wyświetlanych w Polsce.

**„Złotą taśmą"** za rok 1986 **wyróżnione „Kronikę wypadków miłosnych" w reżyserii Andrzeja Wajdy,** zaś za najlepszy film zagraniczny uznano obraz **„Pułkownik Redl" Istvana Szabo.**

---

**„ŻYCIE LITERACKIE" zapowiada** druk głośnej powieści **Boryca Pasternaka „Doktor Żiwago".**

---

**MINISTER Kultury i Sztuki Aleksander Krawczuk odwiedził Igora Newerlego.**

Pogratulował wybitnemu **pisarzowi** nagrody księgarzy **za książkę „Wzgórze błękitnego snu",** uznaną zgodnie przez czytelników i krytykę za jeden z najlepszych utworów literackich minionego roku.

---

**ŁÓDZKA** oficyna **Krajowej Agencji Wydawniczej** dostarczyła w roku ubiegłym na rynek księgarski **26 tytułów,** których łączny nakład wyniósł **3 miliony egzemplarzy.**

W bieżącym roku zapowiada wydanie **30 publikacji.** Wśród nich znajdzie się długo oczekiwany przez łodzian album o naszym mieście **„Łódź",** autorstwa **Andrzeja Wacha i Antoniego Szrama.**

---

**W Muzeum Miasta Zgierza 16 lutego otwarta** została wystawa **„Zabytki archeologiczne Ziemi Skierniewickiej".**

**Był taki kabaret**

# Portrety jakże swojskie

Słyszy się nieraz, że trudniej jest napisać (i wystawić) komedię niż tragedię. Ale czy zarazem nie obserwuje się, że ludzie dają się chętniej rozśmieszyć niż pozwolić wycisnąć sobie łzy? Łez się wstydzą, a śmiać się lubią w towarzystwie.

Większość stale przejawia potrzebę śmiechu, dającego się pobudzić byle czym, a wyrobione poczucie humoru okazuje się nieczęste nawet w społeczeństwie, które uważa się za szalenie dowcipne. Sądziłbym, że tragizm w sztuce zawdzięcza swoją uniwersalność ponadklasową i ponadnarodową. odwoływaniem się do najpowszechniej doznawanych przeżyć (jak np. śmierć osoby bliskiej), komizm natomiast bywa bardziej zróżnicowany, zależy bowiem od przynależności do danego kręgu kulturowego i od osobistej kultury literacko-artystycznej. Z tego nad czym człowiek płacze można chyba o nim mniej wywnioskować, niż z tego, co go pobudza do śmiechu.

Tak się nad tym rozwodzę, ponieważ od dawna intrygują mnie zaskakujące kaprysy ludzkich reakcji na rozmaite „rzeczy wesołe", gdy ich reagowanie na wydarzenia smutne wydawało mi się zawsze łatwiejsze do przewidzenia (pomijam konwenans, który nie toleruje zarykiwania się ze śmiechu na pogrzebie). Nie dziwię się więc, kiedy się komuś serce ściska, gdy czyta opowiadanie Czechowa o Wasi, który pełen nadziei wrzuca ukradkiem rozpaczliwy list do dziadka, żeby go zabrał od złych ludzi, list zaadresowany: „Do dziadka na wsi". Czy nie przemawia tu do nas wszystkich jednakowo uniwersalna vis tragica?

Znacznie trudniej jest, według mnie, zdać sobie sprawę na czym zasadza się siła komicznego oddziaływania kabaretu telewizyjnego Olgi Lipińskiej, choć zapewne odbierany jest on właściwie w umiarkowanie licznym kręgu inteligencji, mimo iż oglądany — na różnym poziomie percepcji — dość masowo.

Co znamienne, ów kabarecik wcale sobie nie ułatwia zadań, by zyskać powszechniejszy rezonans, nie korzysta bowiem z dwóch niezawodnych sposobów, spełniających funkcję „samograjów". Po pierwsze nieobecne są w zasadzie obscena, mimo iż ulubionym rewirem harców naszych humorystów są jak wiadomo genitalia i czynności płciowe. Autorka zachowuje się w tej dziedzinie nad wyraz cnotliwie, a jeśli się komuś z bohaterów czasem wymsknie słówko na „d" czy „g", i jeśli się czasem nie dopowie jakichś wyrażeń zawiesistszych, pozwalając nam ich się jednak domyślać, to przecież od dawna nie da się tym u nas zszokować najbardziej nobliwe towarzystwo.

Ponadto Lipińska nie idzie na łatwiznę w „dokładaniu władzy", czym można sobie zyskać tani poklask, jak to czyni wielu wziętych humorystów, którym nie starcza dowcipu na zjadliwości bardziej wyrafinowane i ukłucia subtelniejsze od wideł. Owszem, ten kabaret jest także polityczny, osadzony bardzo mocno w realiach naszego życia, demaskujący bezduszne, biurokratyczne zapędy i postawy wyobcowane społecznie, a także absurdy w działaniu machiny państwowo-administracyjnej. Ale co ciekawe, tam gdzie oskarżenie czy przestroga sięgają głęboko i wysoko, czytelność aluzji politycznych zostaje zawężona do środowiska odbiorców bardziej świadomych polityki i skłonnych raczej do refleksji niż do nieodpowiedzialnych wystąpień, czego przykładem w jednym z ostatnich programów piosenka z francuskim refrenem „Point de reveries" (słowa Aleksandra II do panów polskich).

Właśnie teraz niedawno, kiedy się na chłodno już śledziło polityczne podteksty programów emitowanych w najgorętszych miesiącach roku 81, mając w pamięci niektóre inne programy rozrywkowe, których cały „humor" sprowadzał się do niepoczytalnej, jątrzącej nienawiści, widać jak na dłoni, że kabaret Lipińskiej cechowała wyrozumiałość dla ludzkich niedoskonałości i jakby politowanie nad pożałowania godną kondycją jednostki w tzw. trudnych czasach. Bohaterowie zresztą niewolni są od niebłahych wad i grzeszków, toteż nie stroją przesadnie godnych póz i min, jakby czuli, że nie przystoi im przyjmowanie postawy mentorów.

W tym teatrzyku artystycznych nieudaczników, niezdolnych do skutecznego działania, wizytowanym przez, pożal się Boże, czynniki kontrolne załamuje się jak w krzywym zwierciadle wiele spraw jakże typowych dla życia kraju, dla gry pozorów, dla braku kompetencji, dla niedowładu koncepcji.

Myślę, że siła artystycznego oddziaływania kabareciku zawdzięcza dużo zindywidualizowaniu postaci. W tej galerii przezabawnych typów każdy jest inny, zarówno przez niuanse własnego artystycznego emploi, jak i zróżnicowanie przypadających im tekstów. Odnosi się bowiem wrażenie, że bardzo znaczna część wypowiadanych kwestii została aktorom przydzielona nie na zasadzie przypadku, lecz dlatego właśnie, że korespondują z ich cechami osobowości.

Można by tu jeszcze o urokach wielu piosenek, o pomysłowym posługiwaniu się techniką trickową, należałoby też choć jednym zdaniem wspomnieć o artystycznych parantelach do niezapomnianych „Starszych Panów", wreszcie i o zbędnej celebrze cechującej wspomnienia Olgi Lipińskiej i jej aktorów, którzy w rozmowach przed telewizorem nie potrafili wykrzesać z siebie sensu i wdzięku.

Najciekawsze jednak i najważniejsze obecnie, jak zaprezentuje się nam zapowiedziana kontynuacja kabareciku, czy zdoła ona zaspokoić nasze, z pewnością wysokie, oczekiwania, czy nowy czas, bardziej życzliwy temu artystycznemu przedsięwzięciu, okaże się też dostatecznie płodny w inspirację...

Co do mnie, to sądziłbym że jeden niewyczerpywalny wątek wart jest tego (artystycznie!), żeby nadal był w tym kabarecie obecny. Satyra na postawy społeczne! Bo nasza kochana, niezniszczalna biurokracja, sama będzie o sobie przypominać.

JERZY KWIECIŃSKI

# ŁÓDŹ: historia, wspomnienia, relacje

**Od pewnego czasu Czytelnicy sygnalizowali swoje zainteresowanie przeszłością Łodzi i regionu. Chcieliby na łamach „Odgłosów" znajdować ciekawe artykuły z historii Łodzi, o ludziach, którzy się dla tej historii zasłużyli. Postanowiliśmy w miarę napływu materiałów publikować je na kolumnie zatytułowanej: „Łódź: historia, wspomnienia, relacje". Do redagowania której zapraszamy tak profesjonalnych historyków, jak i wszystkich naszych Czytelników, którzy interesują się historią Łodzi i mogliby przyczynić się do jej spopularyzowania.**

Interesująca relacja o pracy mało znanej organizacji charytatywnej.

## Pomoc dla zatrzymanych w obozie Radogoszcz

Historycy wspominają tylko o istnieniu i działalności Polskiego Komitetu Pomocy dla Zatrzymanych w Obozie w Radogoszczu. Np. M. Cygański — „Z dziejów okupacji hitlerowskiej w Łodzi 1939—1945", S. Lewicki — „Radogoszcz", Z. Walter-Janke — „W Armii Krajowej w Łodzi i na Śląsku" i inni. Korzystając z relacji jednego z organizatorów i działacza Komitetu Pomocy, Alfreda Kaiserbrechta i własnych informacji, opracowałem niniejszy szkic.

9 listopada 1939 r. władze hitlerowskie podały oficjalnie do wiadomości o wcieleniu Łodzi, łącznie z powiatem, do obszaru Rzeszy. Z tym dniem wzmogły się represje w stosunku do obywateli polskich i w konsekwencji nastąpiło przepełnienie istniejących więzień łódzkich. Utworzono na Radogoszczu dużą katownię pod nazwą: „Erweitertes Polizeigefängnis Radegast", czyli Powiększone Więzienie Policyjne Radogoszcz. Mieściło się ono przy ul. Zgierskiej róg ul. Sowińskiego.

W dniach 9—11 listopada 1939 r. gestapo przeprowadziło na terenie miasta i okolicy masowe aresztowania inteligencji i działaczy społecznych. Osadzono ich w zabudowaniach b. cegielni Michała Glazera. Właściwie nie były to zabudowania tylko wiaty do wysuszania cegieł, nie ogrzane, wilgotne, bez najprymitywniejszych urządzeń sanitarnych. W listopadzie przybyło do tego więzienia około 2 tysięcy osób. Polaków i Żydów. Dawna fabryka Glazera nie mogła pomieścić wciąż przybywających więźniów, co spowodowało w końcu grudnia 1939 r. przeniesienie obozu do znacznie większych budynków fabrycznych Samuela Abbego.

Niemcy, pragnąc ciężar utrzymania obozu przerzucić na społeczeństwo polskie, postanowili zezwolić na utworzenie organizacji opiekuńczej. 12 listopada 1939 r. do siedziby gestapo przy ul. Anstadta (19 stycznia) przewieziono samochodem policyjnym trzy znane na terenie Łodzi działaczki społeczne: Gretę Biedermann żonę aresztowanego Pawła Biedermanna (przemysłowca — działacza rozwiązanego w październiku Komitetu Obywatelskiego), Eugenię Kaiserbrecht i Helenę Pawłowską, żonę aresztowanego adwokata Stanisława Pawłowskiego. Rozmowę z nimi przeprowadził Hauptsturführer Lutherott, informując, że w dawnej cegielni Glazera zorganizowany zostanie stały obóz polskich zakładników, których społeczeństwo polskie może otoczyć opieką, w postaci dostarczania żywności, leków, odzieży itp.

Ponieważ Komitet Obywatelski, powstały samorzutnie 6 września 1939 r., w końcu października przestał działać (na polecenie władz niemieckich, burmistrza Leistera p.o. Komisarza Miasta) panie zaproponowały utworzenie społecznego komitetu, który zająłby się tymi sprawami. W celu umożliwienia utworzenia takiego społecznego organu, władze niemieckie zwolniły spośród zatrzymanych adwokata Stanisława Pawłowskiego, przemysłowca Pawła Biedermanna i biskupa — sufragana łódzkiego ks. Kazimierza Tomczaka i wydały pisemną zgodę na utworzenie biura komitetu, przeprowadzenie zbiórek pieniężnych, prowadzenie kuchni, zainstalowanie telefonu.

Zaproponowano jako siedzibę komitetu, biura fabryki Ramisza przy ul. Piotrkowskiej nr 138/140 — duża sala konferencyjna, 4—5 pokoje biurowe i pomieszczenie na magazyn. Lokalizacja ta została zaakceptowana. Zainstalowano tam wkrótce telefon, którego numer został następnie umieszczony w oficjalnym spisie telefonów m. Łodzi (Litzmannstadt) pod literą „p" zaraz za Polizeipräsidium, pod nazwą Polnische Hilfskomitee für Gefängnislager in Radegast.

Te względnie dobre warunki trwały krótko, już po kilku tygodniach siedziba Komitetu została przeniesiona do małego kantorka w parterowym budynku, a następnie dalej, w głąb posesji do jeszcze mniejszych pomieszczeń socjalnych (pralnie, magiel itp.) znajdujących się w oficynie tej samej posesji.

Niezmiernie trudno jest, po tylu latach, ustalić dokładny skład Komitetu Pomocy, m.in. z powodu płynności, powodowanej częstymi aresztowaniami lub wysiedleniami, jego uczestników. Najważniejszy trzon stanowili: adwokat Stanisław Pawłowski, przemysłowiec Paweł Biedermann oraz Gustaw i Robert Geyerowie, inżynier Karol Bajer, biskup — sufragan ks. Kazimierz Tomczak (przebywający w areszcie domowym), Antoni Lipiński, prof. Zygmunt Lorentz, Greta Biedermannowa, Eugenia Kaiserbrechtowa, Helena Pawłowska, inż. Wacław Kamiński (z fabryki Geyera), inż. Kordasz (z fabryki Schaeiblera i Grohmanna), inż. Zygmunt Rau (członek ZWZ — AK), inż. Antoni Remiszewski, Ryszard Kaiserbrecht z żoną Janiną i Alfred Kaiserbrecht, sprawujący funkcję kierownika biura.

Z Komitetem stale współpracowali: Zofia Herbst, Julia Rosiewiczowa, Tochtermanowa, prof. Wanda Lorentzowa, Wanda Tomaszewska, Janina Gregorowicz-Herbst, Stefania Ordyńska, Maryla Biedermannówna, Rauowa, inż. Zygmunt Fiedler, inż. por. Franciszek Moczkowski (kierownik Oddziału V sztabu Okręgu Łódziego ZWZ AK), Zbigniew Wagner, Julian Wołowski, ks. prałat Dominik Kaczyński, Stefan Wolski, Pelagia Zdziennicka, dyr prof. Antoni Idzikowski, Janina Romanowska i inni. Jest to tylko część nazwisk osób, których działalność dało się zapamiętać i odtworzyć. Podkreślić należy, że większość z wymienionych tu osób działała już uprzednio w utworzonym z inicjatywy społecznej Komitecie Obywatelskim oraz, że w pracach Komitetu Pomocy... brało udział całe społeczeństwo polskie m. Łodzi, które świadczyło pomoc bezimiennie i zupełnie bezinteresownie.

Komitetowi Pomocy udało się przejąć resztki rzeczy (tj. bieliznę, odzież, koce, żywność, lekarstwa) po zlikwidowanym Komitecie Obywatelskim mieszczącym się w lokalu Techników ul. Piotrkowska 102 i od PCK. Stronę finansową działalności Komitetu Pomocy... tj. zbieraniem pieniędzy zajmował się Ryszard Kaiserbrecht. Przez swoje stosunki handlowe z kupcami i przemysłowcami uzyskiwał bardzo poważne sumy pieniężne, oczywiście, przeważnie bez podania ofiarodawców. Pełnił on również funkcję łącznika Komitetu Pomocy... z obozem w Radogoszczu, miał prawo wstępu do tego obozu. Po jego aresztowaniu i wysiedleniu do GG w początkach grudnia 1939 r., obowiązki te przejął Alfred Kaiserbrecht.

Z chwilą przeniesienia obozu do czteropiętrowego budynku po fabryce S. Abbego, władze hitlerowskie obciążyły Komitet Pomocy kosztami ogrodzenia drutem kolczastym terenu, wybudowaniem wieżyczek strażniczych, wybudowaniem wartowni, sypialni dla 30 strażników i ich umundurowaniem (czarne mundury, szynele, buty z cholewami). Komitet z własnej inicjatywy wybudował dla więźniów kuchnię, umywalnie, sanitariaty, sale wyposażono w prycze, początkowo sienniki, potem słomę, urządzono szpitalik.

W pierwszym okresie gorące jedzenie było przygotowywane w pomieszczeniach blisko położonej fabryki Kaiserbrechta i następnie przewożone trzy razy dziennie wozami konnymi przez członków Komitetu. Tam też ulokowano magazyny żywności, które prowadziła p. Kamińska. Później po wybudowaniu kuchni, w czym dużą pomoc okazali pracownicy fabryki Geyera (inż. Wacław Kamiński), zaangażowano z wolności trzech kucharzy, którzy na miejscu przygotowywali gorące potrawy. Całą żywność musiał zdobywać i dostarczać Komitet Pomocy.

Lekarstwa nieoficjalnie dostarczały: Apteka Ubezpieczalni Społecznej i Apteka Wagnera przez p. Janinę Kulikowską i p. Biedermann.

W obozie, w tym okresie, stale przebywało około dwa tysiące osób, z tym, że na miejsce wywożonych do obozów koncentracyjnych lub GG przybywali stale nowi aresztowani. Duża akcja wysiedleńcza nastąpiła w połowie grudnia 1939 r., w trakcie której wysiedlono z Łodzi większość członków Komitetu Pomocy, a Robert Gayer został rozstrzelany w nocy z 12 na 13 grudnia 1939 r.

Pomimo tych strat, akcja pomocy nie ustawała, a do pracy zgłaszali się nowi ochotnicy. Przez codzienne kontakty z obozem udawało się nawiązać bezpośredni kontakt z aresztowanymi. Już w następnym dniu po aresztowaniu uzyskiwano grypsy, które przez wybranych uczniów łódzkich szkół, były dostarczane do rodzin aresztowanych. Umożliwiało to stosunkowo szybkie przekazywanie paczek z odzieżą, żywnością, lekarstwami, określonym osobom. Paczki te dostarczane były do siedziby Komitetu Pomocy, przy ul. Piotrkowskiej 138/140, skąd wozami konnymi dowożono i przekazywano bezpośrednio do rąk aresztowanych w obozie.

W styczniu 1940 r. nastąpiły pierwsze masowe aresztowania młodzieży polskiej, głównie harcerzy i członków Przysposobienia Wojskowego. Grupy kilkusetosobowe były zwożone nocą do obozu. A już przed południem Komitet Pomocy posiadał pełną listę zatrzymanych. Natychmiast powiadamiano rodziny i tego samego dnia odbierano od nich paczki i przekazywano, prawie bez rewizji, adresatom. Sprawa była o tyle pilna gdyż już następnej nocy wywożono młodzież do obozów.

Komitet Pomocy nawiązał kontakt z Gminą Żydowską skąd uzyskano parokrotnie poważną pomoc finansową, oczywiście bez ujawniania pochodzenia pieniędzy. W obozie bowiem stale przebywała pewna grupa Żydów. Kontakty z Gettem utrzymywane były do końca istnienia Komitetu Pomocy.

Komitet Pomocy posiadał również powiązania z istniejącą w Łodzi tajną organizacją wojskową: Służba Zwycięstwu Polski — Związek Walki Zbrojnej i jej szefem sztabu mjr. Stanisławem Juszczakiewiczem ps. „Stanisław". Dokumentem zatrudnienia w Komitecie Pomocy posługiwał się por. inż. Franciszek Moczkowski ps. „Gruchacz", który zatrzymany na ulicy, już po likwidacji Komitetu Pomocy, został zwolniony, tylko z uwagi na uaktualnienie dowodu zatrudnienia.

Oficjalny tytuł Komitetu Pomocy dla Zatrzymanych w Obozie w Radogoszczu pozwalał również na prowadzenie innych społecznych akcji nie zawsze legalnych. Jak na przykład: akcja dożywiania dzieci — kuchnie w byłych szkołach, opieka nad rodzinami, których mąż lub syn był w niewoli, więzieniu lub w obozie; opieka nad nauczycielstwem, opieka nad grobami żołnierzy poległych w kampanii wrześniowej; opieka i dożywianie obozów wysiedlonych (m.in. z terenów poznańskiego i pomorskiego) na ul. Łąkowej 4, Leszno, ul. Strzelców Kaniowskich 32, na Dołach.

Zajmowano się też odszukiwaniem zaginionych — aresztowanych. Prowadzono ewidencje osób aresztowanych, która obejmowała około 6 tys. nazwisk. Niestety została spalona w momencie opieczętowywania lokalu Komitetu Pomocy przez gestapo. W lokalu Komitetu Pomocy kolportowano tajne gazetki m.in. „Szaniec" i inne, oraz stale posiadano aktualne wiadomości o tym, co dzieje się w kraju i za granicą.

Jako oficjalny przedstawiciel biura Komitetu Pomocy Alfred Kaiserbrecht stale był wzywany do siedziby gestapo przy ul. Anstadta. Parokrotnie była przeprowadzana rewizja w siedzibie Komitetu Pomocy. Lokal miał dwa wejścia: oficjalne na ul. Piotrkowską i nieoficjalne na ul. Sienkiewicza, co niejednokrotnie pozwalało na uniknięcie wpadki. Gazetki przechowywane były w workach z kaszą, co nawet mimo bardzo dokładnej rewizji nie dawało efektów.

Sprawozdania z działalności finansowej Komitetu Pomocy składał w Warszawie Alfred Kaiserbrecht, które niestety w czasie Powstania zaginęły.

W drugiej połowie sierpnia 1940 r. gestapo obstawiło lokal Komitetu od strony ul. Piotrkowskiej, wtargnęło do środka, wylegitymowało obecnych i lokal zapieczętowano. Osoby ukrywające się uciekły tylnym wyjściem na ul. Sienkiewicza.

Tak zakończyła się poważna, kilkumiesięczna działalność Polskiego Komitetu Pomocy dla Zatrzymanych w Obozie w Radogoszczu. Był też najdłużej działającą oficjalną placówką polską w Łodzi.

JERZY JĘDRZEJEWSKI

Takie były moje pierwsze godziny i dni wolności.

## Na drodze do Pabianic

W końcowych dniach października 1944 r. znalazłem się w piwnicach gmachu gestapo przy ul. Anstadta — wspomina Franciszek Moczkowski ps „Gruchacz" szef V Oddziału (Łączność) Komendy Okręgu Armii Krajowej. Zostałem osadzony w jednej z pięciu cel. Wzdłuż biegł wąski korytarz, z którego wychodziło się na obszerny przedpokój, a następnie do wartowni, ze stałą strażą, składającą się z członków SD. Korytarz posiadał stale otwarte drzwi, poprzez które dochodziły wyraźne odgłosy z wartowni grającego odbiornika radiowego. Około 15 stycznia 1945 r. zauważyliśmy, iż drzwi naszego korzytarza były zamykane.

17 stycznia 1945 r. usłyszeliśmy warkot samolotów nad nami. Cieszyliśmy się i pragnęliśmy, aby bomba spadła na ten budynek, choć zdawaliśmy sobie sprawę, że możemy nie wydostać się spod gruzów. Wieczorem słyszeliśmy gestapowskie rozmowy, ruch w gmachu, krzyki i wyraźne „Bolshewisten kommt". Rano 18 stycznia nie otrzymaliśmy śniadania o normalnej godzinie. Z wartowni dochodziły odgłosy prób nawiązania telefonicznej łączności... ale telefon milczał. Późno dostaliśmy trochę zupy, którą przywieziono dla wartowników.

Ruszyliśmy pod strażą gestapo w kierunku ul. Pomorskiej, obecnie Marcelego Nowotki. Spostrzegliśmy w bramach domów dodatkowe posterunki gestapowskie z pistoletami maszynowymi gotowymi do użytku. Tak doszliśmy do więzienia przy ul. Sterlinga.

Wsadzono nas do bardzo niskiego lochu z dużym otworem w wewnętrznej ścianie. Temperatura panowała taka jak na zewnątrz. Jedynym wyposażeniem była ława. Przed panującym zimnem musieliśmy się bronić w ten sposób, że co kilka minut zmienialiśmy pozycję na ławie, przechodząc z pozycji skrajnej do środka. Siedzieliśmy w ciemnościach.

Około 22.00 wyprowadzono nas na wypełnione ludźmi podwórze. Zaskoczony byłem faktem, że współwięźniowie wiedzieli już o naszym przyjściu i zaraz przyprowadzili mojego ojca, aresztowanego razem ze mną. Stanęliśmy więc już razem w kolumnie czworkowej.

Ogłoszono ewakuację więzienia. Surowe ostrzeżenie — próba ucieczki będzie karana śmiercią. Kolumna więźniów została podwójnie ubezpieczona: pierwszy rząd wewnętrzny złożony z uzbrojonych volksdeutschów, drugi z uzbrojonej straży więziennej; jako zewnętrzny rząd zabezpieczający. W ten sposób strzeżeni ruszyliśmy ciemnymi i pustymi ulicami miasta — ul. Wólczańską, Pabianicką.

Maszerowaliśmy jezdnią, ale w miarę jak zbliżaliśmy się do Marysina na jezdni robiło się ciaśniej, gdyż na zachód ciągnęła cywilna ludność niemiecka. W Marysinie marsz jezdnią stał się niemożliwy, bowiem od strony Gadki-Rzgowa wyszła kolumna wojska. Powstał nieład.

Kolumnę więźniów zepchnięto na tory tramwajowe Łódź—Pabianice.

W rejonie Widzew—Żdżary doszło do dużego zamieszania i nasza kolumna została przerwana. Natychmiast czterech z nas wykorzystało tę okazję. Odeszliśmy dwójkami z zachowaniem pewnego odstępu. Maszerowaliśmy równolegle do kolumny więźniów starając się wyjść możliwie szybko i jak najdalej przed jej czoło. Oceniwszy, iż jesteśmy w dostatecznej odległości od kolumny, skręciliśmy w pole, w kierunku Rzgowa, a więc pod prąd akcji wojennej. Idąc uważnie przez pole, trzymaliśmy się kierunku zarysowującej się w pewnej odległości linii zabudowy, a która, jak się okazało, była wsią usytuowaną wzdłuż drogi. Posuwając się wolno, napotkaliśmy mały stóg siana. Byliśmy we trzech (ojciec, Tadek i ja) ponieważ czwarty został gdzieś po drodze. Wykorzystując osłonę krzaków rosnących przy polnej drodze dotarliśmy do jednej z chałup.

Bez niespodzianki weszliśmy do wnętrza, po omacku szukając w kredensie jedzenia, ale znaleźliśmy tylko garnek z zsiadłym zmrożonym mlekiem.

Ruszaliśmy się dalej.

Przed nami słychać było trzask broni maszynowej. Sporadycznie pojawiał się pocisk świetlny, co pozwalało zorientować się w położeniu placówek. W pewnej chwili spostrzegliśmy malutkie światełko nieruchome i nie gasnące. Zatrzymaliśmy się zaniepokojeni, po czym ruszyliśmy krok za krokiem.

W ciemności zarysował się kontur chałupy. Światło pochodziło ze szpary w przeciwlotniczej zasłonie okna. Po długim zastanowieniu zdecydowaliśmy się wejść do wnętrza. W otwartych drzwiach zauważyliśmy na podłodze zielone mundury, z przerażeniem pomyśleliśmy, że to Niemcy. Nie zareagowali jednak na nasz widok.

Z kąta wyszedł gospodarz, Polak i wyjaśnił, że to są Włosi, rozbrojeni przez Niemców po przewrocie w Italii. Dalsza część nocy przebiegała spokojnie, życzliwy gospodarz dał coś do zjedzenia.

Wzmogły się walki. W sąsiedztwie ulokował się czołg i strzelał z działa. Od strony przeciwnej padały pociski w nasz rejon, a w pewnym momencie tak blisko, że zachwiało chałupą.

Wyszedłem na próg domu. Na niebie obserwowałem walkę samolotów. Pod wieczór słabło natężenie strzelaniny, a później ucichło. Siedzieliśmy w izbie po ciemku, ciasno, jedno przy drugim. Nagle wejście niemieckiego żołnierza przerwało ciszę. Począł oświetlać latarką elektryczną twarze siedzących. Zatrzymał się przy nas: Tadku i mnie i kazał wyjść na środek. Zapowiedział iż jesteśmy odpowiedzialni za to, by nikt nie opuszczał chaty. Zabrał ze sobą Włochów i wyszedł.

Noc minęła spokojnie Poranna cisza zaniepokoiła wszystkich, obudziła ciekawość. Wychyliliśmy się z chaty. Nie było niepokojących objawów. Stwierdziliśmy, że nie ma Niemców. Dopiero w godzinach popołudniowych, kiedy przyszły pierwsze oddziały, ruszyliśmy w teren.

Ktoś przyniósł wiadomość, że ludność cywilna otworzyła magazyn żywnościowy formacji SS i rozbiera znalezioną żywność. Udaliśmy się w tym kierunku, zdobyliśmy worek cukru w nadziei, że przeprowadzimy handel zamienny na inny rodzaj żywności. Straciliśmy naszą zdobycz. Powróciliśmy do chaty, by nazajutrz rankiem ruszyć do Łodzi. Po zerwaniu pieczęci, przy pomocy sąsiadów otworzyliśmy mieszkanie.

Nie było wiadomości o matce i siostrze aresztowanych również ze mną. Zjawiły się w domu następnego dnia.

Przed ewakuacją więzienia, wieczorem załadowano pewną ilość więźniarek, w tym również je, do szczelnie zamkniętego samochodu i wieziono w nieznane. Po pewnym czasie samochód zatrzymał się, chwilę stał i zawrócił, by znaleźć się znowu na ul. Gdańskiej. Kiedy wyprowadzano je z samochodu jeden ze strażników szepnął o szczęściu jakie miały. Później skojarzyliśmy ten fakt, ze spaleniem mężczyzn w obozie w Radogoszczu. Ewakuacja więzienia kobiecego przy ul. Gdańskiej, odbywała się w tym samym kierunku przez Pabianice i rozwiązanie kolumny nastąpiło w rejonie Łasku, kiedy strażniczki zaczęły uciekać, przed nadciągającym frontem.

# Polemiki • Listy • Opinie

**Na kolumnie „Polemiki, listy, opinie" publikujemy tylko listy podpisane imieniem i nazwiskiem, z podaniem adresu. Adres i nazwisko na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Zastrzegamy sobie możliwość skrótów.**

## ZNAD EBRO DO BALIGRODU

Niewiele pamiątek pozostało po gen. Karolu Świerczewskim. Fotografia matki, z której robotniczego pochodzenia tak był dumny, trochę listów, pisanych do rodziny, kilka fotografii osobistych.

Są mapy. Wykresy walk w Hiszpanii. To pamiętny rok 1936, gdy na czele Brygady Międzynarodowej pod Madrytem i Teruelem walczył o wolność republikańskiej Hiszpanii. Na mapach — własnoręcznie wykreślone przez generała szlaki bojowe, miejsca walk, pozycje. W wydawanym przez jego brygadę piśmie „Dąbrowszczak" odnaleźć można całą historię tamtych dni, pełnych chwały. Raporty i sprawozdania z walk w Hiszpanii, osobiste notatki gen. Waltera.

Potem z okresu Sielc, interesujący dokument — maszynopis „Program kursu dla oficerów polityczno-wychowawczych" w I Korpusie Odrodzonego Wojska Polskiego". Na maszynopisie — odręczne poprawki generała.

A potem II Armia.

Liczne rozkazy, wspomnienia oficerów, listy korespondentów wojennych. Pisane prostym, żołnierskim językiem przedstawiają gen. Świerczewskiego takim, jaki utrwalił się w pamięci wielu żołnierzy i oficerów, którzy spotkali się z nim na froncie: prosty w obejściu, serdeczny dla żołnierzy, oddany bezgranicznie wielkiej idei, o którą walczył przez całe swoje życie.

II Armia, którą dowodził gen. Karol Świerczewski, przeżywała ciężkie chwile. Musiała wziąć na siebie cały ciężar ostatniej i zupełnie beznadziejnej kontrofensywy hitlerowskiej. Zgrupowane w północnych Czechach hitlerowskie dywizje pancerne postanowiły pospieszyć z pomocą Berlinowi, przedzierając się właśnie przez pierścień II Armii, która wraz z korpusem pancernym wbiła się ostrym klinem w łużyckie tereny. Czołówki oddziałów polskich dochodziły już przedmieść Drezna. Trzy dywizje pancerne wroga, wspomagane przez kilka naprędce sformowanych jednostek piechoty, uderzyły z całą zaciekłością na pułki polskie.

Rozpoczęły się ciężkie i krwawe walki. Natężenie ich osiągnęło punkt kulminacyjny zwłaszcza pod Budziszynem na Łużycach, gdzie dniem i nocą hitlerowcy starali się ustawicznymi atakami przełamać opór i utorować drogę do Berlina. Specjalne formacje straceńców: grupy SS i własowców, szły do szturmu z muzyką, pijane. Nie brano jeńców. Żołnierzy polskich, którzy dostali się do niewoli mordowano, a rannych dobijano, znęcając się nad nimi w sposób najbardziej okrutny.

Potworzyły się kotły, w których walczono niemal na bagnety. Wróg starał się okrążyć oddziały polskie i zniszczyć je w zarodku.

Gen. Karol Świerczewski ze spokojem, właściwym mu w chwilach najbardziej krytycznych dowodził Armią. Sztab stał początkowo o kilka kilometrów od linii frontu. Później jednak na wyraźne życzenie generała, punkt dowodzenia podsunięto jeszcze bliżej, tak, że niemal dotykał pierwszych linii frontu. Tam ze swym szefem sztabu gen. Sankowskim, dowódcą Korpusu Pancernego gen. Kimbarem i kilku oficerami sztabowymi wydawał rozkazy i decydował o najważniejszych pociągnięciach strategicznych.

Często narażał się na niebezpieczeństwo. Bywało, pokazywał się w przednich okopach i rozmawiał z żołnierzami. Byli pełni zapału, ale brak im było doświadczenia bojowego, którym już rozporządzała I Armia. Niejednokrotnie trzeba było przezwyciężać zmęczenie żołnierza, który stał od szeregu dni i nocy, przebywał w ogniu ciągłych walk.

Gen. Karol Świerczewski zginął od kul UPA pod Baligrodem, 28 marca 1947 roku.

**FRANCISZEK LEWANDOWSKI**

## „W BALATONIE"

Wyjaśniając sprawy poruszone w tygodniku z 17.01. br. w notatce pt. „W Balatonie" informujemy co następuje.

Problem gry (występów) grup cygańskich w placówkach gastronomicznych występuje już od dłuższego czasu. Pracownicy placówek zobowiązani są do wypraszania w takich sytuacjach Cyganów z placówek co też z reguły czynią. Nie daje to jednak właściwych rezultatów tym bardziej, iż jak słusznie zauważono w notatce „występy" te nie budzą przeważnie sprzeciwu konsumentów. Kategoryczne wypraszanie (wyprowadzanie) nie zawsze jest możliwe, gdyż może doprowadzić do zakłócenia spokoju, awantur itp, a więc większego zła. Oddział zgłaszał ten problem do organów porządku publicznego, gdyż personel placówek gastronomicznych nie ma takich możliwości likwidowania tych zjawisk jakie w tym przypadku są konieczne. Wyrażamy nadzieję iż notatka w tygodniku pomoże rozwiązać ten problem przez zasygnalizowanie go właściwym organom.

Odnośnie opuszczenia przez kasjerki w barze „Balaton" swoich stanowisk pracy, wyjaśniamy, iż obecnie pracują tam dwie kasjerki. Jedna w godz. 8—20, druga w godz. 10—18. Tak więc w godzinach największego ruchu konsumentów obie kasy powinny być czynne. Brak kasjerki przy którejś z kas spowodowany był może koniecznością chwilowego opuszczenia stanowiska pracy, a ponieważ jest to stanowisko związane z materialną odpowiedzialnością nie ma możliwości wyznaczenia zastępstwa (musiałoby być każdorazowo przeprowadzone rozliczenie kasy).

W celu wyeliminowania przypadków oczekiwania przez konsumentów na kasjerkę oraz na tace zobowiązano kierownictwo placówki do zwiększenia nadzoru w tym zakresie. Z pracownikami obsługującymi kasę przeprowadzono rozmowę zwracając im uwagę na konieczność ograniczenia do niezbędnego minimum chwilowego opuszczania swoich stanowisk pracy.

Za zwrócenie uwagi na mankamenty działalności gastronomicznej i życzliwą krytykę serdecznie dziękujemy.

**MONIKA PEREK**

## ZACHOWAJMY TĘ ZIELEŃ!

W jednej z lutowych audycji radiowych „Muzyka nocą", sympatyczna pani próbowała wspólnie z radiosłuchaczami sprecyzować pojęcie szczęścia. Pomimo licznych wysiłków nie powiodło się wyeliminowanie pieniądza, jako czynnika dającego szczęście. Wracał on niczym bumerang, wnosząc jakoby piętno w naszą moralność. Gdyby nieco odwrócić sprawę „pieniądz" nie wyglądałby wstydliwie. Otóż szczęście wnosi zaangażowana praca, dla siebie, rodziny, czy dla społeczności, i efekty tej pracy, którymi mogą być mniejsze lub większe pobory, samochód, uznanie, życzliwość, splendory itp.

Jest grupa naszej społeczności, zresztą coraz liczniejsza, którą stanowią emeryci osiadli na małych skrawkach ziemi przyznanych im przez Polski Związek Działkowców, czy też przez rodzime zakłady pracy, a którzy szczęścia z tytułu otrzymywanej renty nie doznają. Dla tej grupy społeczeństwa szczęście to wypoczynek wśród zieleni, to dorodne zbiory, to dostatnio zaopatrzone w warzywa i owoce spiżarnie córki, syna czy wnuka, stanowiące efekt całorocznej pracy w swym „azylu", jakim jest dla nich ogródek. Mniej lub bardziej są świadomi efektów swej mrówczej pracy na swych minipoletkach, efektem której jest kilkakrotnie większa wydajność z ara, w porównaniu z gruntami rolnymi.

Od wczesnej wiosny do późnej jesieni ich uprawy zielenią się — wnosząc ukojenie, to rumienią się — dając pożywienie, to znów żółcą się — przywodząc wspomnienie. Nie zdają sobie często sprawy jak wielkimi są społecznikami. Uprawiając intensywną hodowlę roślin, przyczyniają się do wytwarzania przez nie wielkiej masy zielonej, której barwnik zwany chlorofilem, jakże podobny w budowie do składnika krwi ludzkiej — hemoglobiny w wyniku procesów biochemicznych, wchłania z atmosfery dwutlenek węgla, a u niektórych roślin i siarkowodór, oddając w zamian życiodajny tlen.

Uchwała Rady Ministrów z marca 1982 r., w sprawie programu rozwoju POD, nadal obowiązuje, co potwierdził prezes RM Zbigniew Messner, na warszawskiej naradzie z kierownictwem Polskiego Związku Działkowców w październiku 1986 r., doceniając wkład pracy działkowców w kształtowanie i ochronę środowiska naturalnego kraju.

Jestem mieszkańcem Łodzi, któremu dane jest mieszkać w betonowym bloku, z okien którego, z wyjątkiem stojących na balkonie pelargonii, nie widać zieleni — tylko szarość żelbetowych ścian i chodników oraz smętne kępki trawy okrytej koturnem równie szarego pyłu.

Wiele lat temu, w planach perspektywicznego rozwoju m. Łodzi, zostały wyznaczone strefy zieleni (zgodnie z zasadami urbanizacji miasta) stanowiące „zielone płuca" miasta. Faktem jest, że tereny miejskie, ze względu na infrastrukturę są szczególnie cenne. Lecz nie można wpaść w szaleństwo, bo zdegenerujemy środowisko i siedlisko, a na koniec nasze organizmy.

Po przeprowadzonym, w sposób uproszczony, rachunku ekonomicznym władze dzielnicowe Łodzi usiłują zaprzepaścić prace swych poprzedników, w obręb których włączone również zostały Pracownicze Ogrody Działkowe o stałej zabudowie.

Czy „fabryki tlenu", przy ul. ul. Fornalskiej, Sienkiewicza czy Kolumny muszą zniknąć? Czy akurat te tereny trzeba przewidzieć pod jakiś magazyn handlowy, gdy tymczasem dziesiątki rozpoczętych pawilonów, niczym „kościotrupy", od wielu lat „dekorują" nasze osiedla? Te nieukończone obiekty świadczą, że budowanie to sprawa dość trudna. Czy więc koniecznie trzeba wyżywać się na niszczeniu, szczególnie tak wiotkiej i bezbronnej materii jaką jest roślinność dająca ludziom poczucie szczęścia?

Czyniony więc jest zamach na ludzkie szczęście, na szczęście setek emerytów, na spokój setek działkowiczów, a pośrednio na zdrowie setek tysięcy mieszkańców Łodzi. Osobiście, za decyzje wynikające z tak przeprowadzonego rachunku ekonomicznego, „laurki" władzom miasta bym nie wystawił.

**WŁODZIMIERZ KORPECKI**

## ZLOT ESPERANTYSTÓW W WARSZAWIE

Do Warszawy na 72 Światowy Kongres Esperantystów w końcu lipca 1987 r. przyjedzie około 6—7 tysięcy działaczy organizacji esperanckich z całego świata. Dalszych kilka tysięcy zagranicznych esperantystów weźmie udział w konferencjach i spotkaniach specjalistycznych w Łodzi, Poznaniu, Bydgoszczy, Krakowie, Toruniu i Płocku. Kilkanaście tysięcy zwolenników języka esperanto weźmie udział w imprezach turystycznych na terenie całej Polski. Nic więc dziwnego, że coraz częściej pada pytanie — jak szybko można nauczyć się tego języka i jak długo trwają kursy?

Odpowiadając na te i inne pytania informujemy, że podstawy esperanta można opanować w ciągu 4—6 miesięcy, a najwygodniejszą formą są kursy korespondencyjne, które umożliwiają naukę w dowolnym czasie, ponadto uczeń sam sobie reguluje tempo nauki i praktycznie w każdej chwili można zapisać się na kurs, gdyż co tydzień uruchamia się przynajmniej jedną nową grupę.

Informacji o kursach udziela bezpłatnie i udostępnia skrót gramatyki esperanckiej: Centrum Oświatowo-Wydawnicze, Polski Związek Esperantystów, Jasna 6, 00-013 Warszawa.

Odpowiadając na rosnące zainteresowanie esperantem Państwowe Wydawnictwo „Wiedza Powszechna" wspólnie z Krajową Agencją Wydawniczą wydały „Minirozmówki esperanckie", A. Wójcik i A. Pettyna w postaci dwujęzycznej książeczki z zarysem gramatyki i z nagraniem kasetowym.

## Z GORĄCĄ KRWIĄ

W numerze 8 „Odgłosów" z 21 lutego 1987 roku ukazał się list Karola Mika, którego autor zarzuca mi nieobiektywizm, stosowanie niedozwolonych praktyk dziennikarskich, ignorowanie prawa, zasad współżycia społecznego, dobrych obyczajów oraz taktu. Poważne te zarzuty dotyczą treści mojego reportażu pt. „Z gorącą krwią" („Odgłosy" nr 20 z 17 maja 1986 r.), którego pierwszoplanową postacią jest właśnie Karol Mik — (występujący tam jako Karol M.) — sprawca zastrzelenia człowieka podczas polowania. W związku z napastliwym tonem listu oraz z uwagi na podważanie mojej uczciwości i dziennikarskiej wiarygodności, pragnę Czytelnikom wyjaśnić co następuje:

— Karol Mik wyrokiem Sądu Wojewódzkiego w Piotrkowie Trybunalskim z 28 listopada 1986 roku został uznany winnym zarzucanego mu czynu, tj. spowodowania nieumyślnej śmierci człowieka, za co skazano go prawomocnym wyrokiem na 2,5 roku pozbawienia wolności z warunkowym zawieszeniem wykonania kary oraz na karę grzywny w wysokości 300 tys. zł. Decyzją Sądu Łowieckiego w Łodzi, Karol Mik został na zawsze wykluczony z szeregów PZŁ za złamanie podstawowej zasady łowieckiej, czyli oddanie strzału do nierozpoznanego celu, w rezultacie czego śmierć poniósł inny myśliwy.

— Autor oskarżycielskiego listu nie kwestionuje jednak żadnego opisanego w reportażu faktu. Wszelkie zaprezentowane przeze mnie wydarzenia zostały odtworzone na podstawie materiałów dochodzeniowych i zeznań wiarygodnych świadków.

— Istotnie, w tekście reportażu kilkakrotnie nazwałem Karola M. zabójcą, nie zaś „winnym nieumyślnego spowodowania śmierci człowieka" — co ma mi za złe K.M. Rozumiem, że nie każdy ma odwagę nazywać dotyczące go fakty po imieniu. A fakty są następujące: Karol Mik posługując się bronią myśliwską z lunetą oddał z niewielkiej odległości (8—12 m) strzał do człowieka raniąc go śmiertelnie. Ten czyn sprawca nazywa „występkiem". Z takim twierdzeniem po prostu nie zamierzam polemizować.

— Twierdzenie, że ofiara wypadku sama przyczyniła się do tragedii jest oparte na zeznaniach Karola Mika — jedynego w tych warunkach żyjącego świadka oraz sprawcy dramatu.

— Propozycji przekazania wdowie po zastrzelonym koledze dwustu tysięcy złotych w zamian za wyrażenie pisemnej zgody na uwolnienie sprawcy z aresztu, złożonej rodzinie zmarłego dokładnie nazajutrz po tragedii, rzeczywiście nie potrafię zaliczyć do czynów wysoce humanitarnych. Karol Mik uważa, że taką postawą wyrządziłem mu krzywdę oraz wzniosłem się na szczyt złośliwości.

— Autor listu, który po krótkim pobycie został zwolniony z aresztu śledczego za poręczeniem zarządu koła łowieckiego oraz za kaucją, zarzuca mi, iż bezdusznie pominąłem fakt: „wyjątkowo ciężkich warunków jego rodziny, a zwłaszcza trojga nieletnich dzieci, z których najmłodsze liczyło wówczas niespełna 1 rok życia" — co K.M., wielokrotnie eksponował w celu zwolnienia go z aresztu. Otóż w materiałach Prokuratury Rejonowej w Bełchatowie znajduje się dokument tej treści: „Podejrzany posiada i prowadzi gospodarstwo hodowlane, ale zatrudnia najemną siłę roboczą. Zasoby finansowe podejrzanego pozwolą w razie potrzeby na zatrudnienie dodatkowej liczby osób w gospodarstwie. Nie można zgodzić się z twierdzeniem obrońcy, że aresztowanie podejrzanego pociągnie wyjątkowo ciężkie skutki dla niego i jego rodziny". Przyznaję, że taktownie przemilczałem szczegóły stanu majątkowego rodziny M., które nie wydawały mi się „wyjątkowo ciężkie", zważywszy, iż aresztowany był posiadaczem dobrze prosperującej fermy drobiu, dwóch wysokiej klasy samochodów osobowych oraz zatrudniał także pomoc domową do dzieci.

— Nie neguję, że sprawca wypadku na polowaniu przeżył głęboką osobistą tragedię. Krąg osób, które z bólem odebrały wiadomość o przedwczesnej śmierci Czesława H. jest bardzo szeroki, gdyż zmarły był człowiekiem najwyższego szacunku.

**ROMAN KUBIAK**

## ZIOŁOMIÓD... FALSYFIKATEMI

W związku z notatką „Gdzie można kupić ziołomiody" zamieszczoną w nr 5 Odgłosów" z 21.I.1987 r. Wojewódzki Związek Pszczelarzy w Łodzi uprzejmie prosi o zamieszczenie sprostowania, ponieważ notatka powyższa sugeruje społeczeństwu wysoką wartość „ziołomiodów" podając, że „polecane przez wielu lekarzy pszczele specjały ziołomiody w co najmniej sześciu odmianach" można nabywać w „Magdzie".

Pragniemy podkreślić, że:

1. Ziołomiody są produktem nie mającym poza nazwą nic wspólnego z miodem i według opinii Światowej Organizacji Pszczelarskiej „Apimondia" są falsyfikatami i ich produkcja i rozprowadzanie winno być w Polsce zabronione, a nawet karane, jak w innych krajach, członkach Światowej Organizacji „Apimondia".

2. Uchwałą Zarządu Polskiego Związku Pszczelarskiego wystosowano pisma do Ministerstwa Handlu Wewnętrznego i Usług, Ministerstwa Rolnictwa i Komitetu Centralnego PZPR, Wydział Rolnictwa, o wycofanie „ziołomiodów" ze sprzedaży, ze względu na wprowadzającą w błąd konsumenta nazwę „ziołomiód".

Jeśli produkt ten będzie w dalszej sprzedaży, to jedynie pod warunkiem zmiany nazwy, z której musi jasno wynikać, że jest to jedynie produkt miodopodobny jak np. sprzedawany w sklepach miód sztuczny.

3. Dla jasności sprawy podajemy również, że nie istnieje Spółdzielnia Pszczelarzy „Barć", lecz jedynie zespół gospodarczy, mający całkowicie inne zadania i cele, a jego założyciele nie są członkami naszego Związku, który jest jedynym przedstawicielem pszczelarzy Ziemi Łódzkiej.

**KRYSTYNA SKÓRSKA**
**(Wojewódzki Związek Pszczelarzy)**

## NIEZNANA WERSJA ŚMIERCI MAJORA HUBALA

Przedstawiam relację o śmierci majora Henryka Dobrzańskiego — Hubala tak, jak ją usłyszałem. Nie mam powodów wątpić w prawdziwość słów mi przekazanych. Powinni je natomiast zweryfikować historycy. Sądzę jednak, że warto przedstawić czytelnikom tę wersję, jaką usłyszałem, a jaką opowiada świadek wydarzeń sprzed 47 lat.

W nocy z 29 na 30 kwietnia 1940 roku oddział Hubala w obawie przed obławą niemiecką nocował w małym zagajniku po drugiej stronie pola p. Laskowskiego w Anielinie. Żołnierze byli tak zmęczeni, że nawet warty przysnęły i obudziły się dopiero o świcie, kiedy Niemcy byli już od nich na odległość lufy karabinów. Obydwie strony były zaskoczone tym spotkaniem. Niemcy nie otworzyli zrazu ognia. Pozwoliło to Polakom dosiadać koni. Ale wtedy oddano pierwsze strzały, od których padł major i trzech jego żołnierzy.

W tym miejscu rozpoczyna się nie sprawdzona legenda o „Hubalu". Melchior Wańkowicz w swojej książce „Hubalczycy" pisze, że trupa majora znaleziono w zagajniku i zaniesiono na jego własnej burce do zagrody pana Laskowskiego, gdzie rzucono go na wóz z gnojem i powieziono do stojącego przy szosie samochodu, że sam generał von Blaskowitz kazał swoim oficerom zdjąć trupa z wozu konnego, zaś samochód zawiózł go do Tomaszowa Mazowieckiego.

O pochowaniu majora krążyła też inna legenda, że pogrzebano go z honorami wojskowymi na cmentarzu katolickim w Tomaszowie Mazowieckim, a dopiero potem odkopano i powieziono w nieznanym kierunku.

Tymczasem jest też inna opowieść o śmierci majora „Hubala". Łódzki instruktor harcerski Bolesław Zajączkowski zafascynowany postacią „Hubala" odwiedzał kilkakrotnie Anielin, a nawet zaopiekował się liczącym obecnie 80 lat samotnym panem Laskowskim, świadcząc mu niejednokrotnie różne usługi. Od pana Laskowskiego dowiedział się on innej wersji wypadków, jakie nastąpiły o świcie 30 kwietnia 1940 roku w Anielinie.

Po wymianie strzałów i rozproszeniu się ułanów, Niemcy długo przeczesywali las i zagajnik zanim natknęli się na majora leżącego w bruździe pomiędzy drzewkami zagajnika. Oddychał jeszcze, więc wzięli go na jego własną burkę i ponieśli przez pole w kierunku zagrody pana Laskowskiego. Na tym właśnie polu major odzyskał przytomność, wydobył z zanadrza pistolet i oddał strzał do idącego obok majora niemieckiego, raniąc go śmiertelnie. Rozwścieczeni Niemcy zaczęli kłuć bagnetami majora przenosząc go na podwórko zagrody p. Laskowskiego i rzucając obok nie istniejącej już stodoły, gdzie wkrótce wyzionął ducha. Swojego majora opatrywali w izbie p. Laskowskiego.

Potem rzucono zwłoki „Hubala" na wóz konny, którym p. Laskowski wraz ze swoim pracownikiem poprzedniego dnia rozwoził gnój po polu. Stąd pozostała na tym wozie część gnoju. Wozem tym zawieźli zwłoki majora na mały placyk w Anielinie, gdzie stał samochód wojskowy. Na ten placyk spędzono mieszkańców wsi, aby rozpoznali trupa, lecz nikt z nich nie chciał się przyznać, że go zna. Potem wrzucili zwłoki na samochód i zawieźli do Tomaszowa Mazowieckiego, skąd zostały wywiezione w nieznanym kierunku.

Niemiecki major został prawdopodobnie pochowany na cmentarzu w Tomaszowie Mazowieckim i stąd powstała legenda o honorowym pogrzebie majora Henryka Dobrzańskiego.

Jeszcze w latach sześćdziesiątych hufiec harcerski w Tomaszowie Mazowieckim zorganizował akcję pod nazwą „Szukamy grobu Hubala", lecz nie dała ona żadnych rezultatów.

Obecnie przy „Hubalowym szańcu" w Anielinie w rocznicę śmierci majora spotykają się jego żołnierze i drużyny harcerskie noszące jego imię.

W Gałkach, w których oddział Hubala kwaterował przez sześć tygodni organizują wrześniowe spotkania żołnierze 72 pułku piechoty AK. Pułk ten stoczył bój z Niemcami we wtorek 26 września 1944 roku.

**MIECZYSŁAW KOZAK**

Studentki z RFN noszą medaliony z podobizną Andreasa Baadera i Ulriki Meinhoff — prekursorów Frakcji Czerwonej Armii. Czyżby terroryzm na stałe zadomowił się w ich świadomości?

# Pokochać terrorystę?

ROBERT GLUTH

**1.**

**22 stycznia 1987 r. w pierwszym programie telewizji emitowano francuski film pt. „Trzeba zabić Birgitt Haas".** Film zapowiedziano jako kryminał — no i żadnego wydarzenia nie byłoby, gdybyśmy mieli do czynienia istotnie z kryminałem. Jest to jednak obraz z bardzo popularnego na Zachodzie cyklu utworów zajmujących się terroryzmem, terrorystami i służbami specjalnymi państw dotkniętych plagą terroru.

Takie filmy produkowane są od szeregu lat w różnych krajach europejskich — w szczególności we Francji i RFN, ale nie tylko. Nie tak dawno, w kinie nocnym, telewizja serwowała nam serial produkcji irlandzkiej o porywaczach spod znaku IRA. Jest pewna cecha specyficzna, wspólna dla kina tego nurtu, cecha tak zaskakująca, że warto wziąć ją pod lupę.

**Kim jest bohaterka francuskiego filmu — Birgitt Haas?** Widzimy młodą kobietę, o ujmującym stylu bycia, czułą, refleksyjną. Wiemy o niej, że związana była i jest z Frakcją Czerwona Armia. Birgitt Haas ukrywa się przed policją, ma zmienione personalia, dysponuje łącznikami i skrytką, w której trzyma spory pakiet pieniędzy i pistolet... Realizatorzy filmu jednoznacznie dają nam do zrozumienia, że Birgitt jest osobą wrażliwą, przeżywającą okres zwątpienia w swoją działalność terrorystyczną, a przy tym kochliwą, rozkochującą w sobie faceta skrzywdzonego przez los i niedobrą żonę. Ale Birgitt jest osaczona przez okrutny aparat tajnych służb państwowych Francji i RFN, które porozumiewają się ponad granicami krajów, są wszechpotężne, brutalne i pozbawione skrupułów.

**Faceci ze służb specjalnych przedstawieni w filmie,** to wyjątkowo odrażające typy od brudnej roboty, pozbawieni sumienia i hamulców łotry. Filozofia, którą reprezentują ci goście jest następująca: zamknąć Birgitt Haas nie możemy, choć śledzimy jej każdy krok, z tej prostej przyczyny, że jak tylko ją przymkniemy, to jej kolesie z Frakcji Czerwona Armia coś nam wysadzą, albo porwą samolot, żeby wymusić zwolnienie terrorystki — wobec tego trzeba ją inteligentnie zgładzić, najlepiej przy pomocy kolegów z francuskich sił bezpieczeństwa, którym zrewanżujemy się jakimiś ciekawymi informacjami.

Odpowiednio dobrana banda ze służb specjalnych Republiki Francuskiej przyjmuje zlecenie i planuje zabójstwo biednej Birgitt, upozowane na zemstę zdradzonego kochanka, żeby już żaden terrorysta nie mógł się czepiać. Cała sprawa się jednak nie udaje, dzięki temu, że zadziałał przypadek, a jeden glina francuski był szlachetny, zaś użyty na przynętę łóżkowy chłopiec Birgitt — niezłomny w swych pięknych uczuciach. Nikt Birgitt w tej sytuacji nie zabija i niebawem zostanie wymieniona na samolot, który w międzyczasie porwali na lotnisku we Frankfurcie weseli chłopcy z jakiejś innej terrorystycznej grupy.

Ktoś mógłby pomyśleć, że taki film jest czymś odosobnionym, a jego twórcy dewiantami propagującymi obłędne hasło: *„porozumienia z terrorystami"*. Ale to nieprawda. Film jest w normie, jeśli za normę uznać masową produkcję tego typu obrazów kinowych i telewizyjnych, gorszych i lepszych powieści, nowel i opowiadań. We wspomnianym uprzednio serialu irlandzkim też mamy do czynienia z porywaczami, którym nie obce są ludzkie odruchy — natomiast policyjni strzelcy wyborowi to zdeklarowani sadyści, rozstrzeliwujący z satysfakcją bezkarności „na raty", raz w ramię, raz w szyję, żeby ofiary przed śmiercią podręczyć.

Cóż to za niezwykły nurt ta subkultura litości dla terrorystów i totalnej niechęci do państwowych służb specjalnych! Zjawisko stosunkowo młode.

Przypominam sobie z końca lat czterdziestych znakomity film angielski wyprodukowany w wytwórni „Eagle Lion" Arthura Ranka, z Jamesem Masonem w roli głównej. Ów obraz pod nazwą „Odd men out" (polski tytuł: „Niepotrzebni mogą odejść") traktował o terroryście z IRA — mówił o jego strasznej samotności i uwikłaniach od przestępstwa po śmierć, ale nie był żadną apoteozą terrorysty. Był wstrząsającym studium losu człowieka, którego się boją, albo chcą go wydać, od którego odwracają się wszyscy, z wyjątkiem zakochanej dziewczyny, świadomie wybierającej wspólny, tragiczny koniec.

Nie ma tam *„żalu po bojowniku"*, chociaż żal zmarnowanego życia — a był rok 1948, kiedy IRA jeszcze nie wrzucała dynamitu do zupy bogu ducha winnym konsumentom w barach szybkiej obsługi. Wtedy terroryści, jeszcze jakby jedną nogą w dziewiętnastym wieku, strzelali wyłącznie do konkretnych ludzi — do odpowiedzialnych ich zdaniem za sytuację w Ulsterze angielskich policjantów i rodzimych polityków. Zjawisko współczesnego terroryzmu jeszcze nie objawiło się w swej całej grozie, nie chwyciło za gardło przerażonego świata — dojrzewało w głowach nieprzystosowanych młodych, aby wybuchnąć po raz pierwszy u schyłku lat pięćdziesiątych.

Pamiętam szok, z jakim odebrałem w 1963 roku francuski film „nowej fali" — „Do utraty tchu" Jean-Luc Goddarda z J. P. Belmondo w roli głównej. Była to historia kompletnie nieprzystosowanego młodego człowieka, który ot tak sobie zabił policjanta i później uciekał niekonsekwentnie, prowokując własną śmierć. Cały swój talent włożyli Goddard i Belmondo w to, aby widz współczuł młodemu zabójcy, żeby zachwycał się jego dezynwolturą, żeby czuł drapanie w gardle, gdy śmiertelnie ranny bohater uśmiecha się po raz ostatni, leżąc na paryskim bruku.

Jak wiele filmów „nowej fali" — tak i „Do utraty tchu" było zapowiedzią czegoś do tej pory nie znanego w kinematografii europejskiej. Znakomity artystycznie film z potwornym przesłaniem, jeśli dobrze się zastanowić. A za nim poszli inni, już na innym poziomie, ale z niezmiennym założeniem: poznać i zrozumieć nieprzystosowanych terrorystów, zabójców dla draki, porywaczy — pokazać bezduszną machinę policyjną, która ich osacza, tłamsi i zabija.

**2.**

Mało kto nie słyszał o mafii — hierarchicznej organizacji przestępczej, wyrosłej ze zdegenerowanych w naszym wieku dziewiętnastowiecznych włoskich struktur niepodległościowych. Prawie każdy orientuje się, że celem mafii jest wymuszanie kontroli nad legalną i nielegalną działalnością gospodarczą i handlową — brutalnymi metodami zastraszania i gwałtu. Przeważnie opinia publiczna świadoma jest, że mafijne ugrupowania działają tajnie, stanowią struktury ponadpaństwowe, głównie we Włoszech i Stanach Zjednoczonych. Trudno sobie wyobrazić pisarza czy twórcę filmowego, który przedstawiałby biednego mafioso osaczonego i tępionego przez okrutną policję włoską, chociaż działanie mafii, z trudem bo z trudem, ale mieści się jeszcze w pojęciach działań człowieczych. Złych, zdecydowanie okrutnych, ale człowieczych. Istnieje wiele filmów poświęconych mafii i zawsze ich bohaterami są ofiary przestępców, lub ludzie zwalczający „ojców chrzestnych". Podobnie nikomu nie przyszłoby do głowy ukazać biednego gestapowca osaczonego i tępionego przez strasznych aliantów i ruch oporu. Pewne granice amoralności i absurdu istnieją bowiem w najbardziej amoralnych i fantastycznych utworach. Poza nimi zaczyna się kompletna dewiacja.

Jest rzeczą zastanawiającą, że współczesny terroryzm znajduje obrońców, a przynajmniej twórców pokrętnie usiłujących *„zrozumieć i usprawiedliwić"*. A mamy właśnie do czynienia ze zjawiskiem wymykającym się już z kategorii zachowań człowieczych. Podobnie jak wymykało się hitlerowskie ludobójstwo. I bez strasznego doświadczenia tego ludobójstwa, przypuszczalnie współczesny terroryzm nie mógłby się narodzić.

Istnieje silny wyróżnik odgradzający współczesnego terrorystę od anarchistycznego czy nacjonalistycznego zamachowca w dawnym pojęciu, od gangstera, czy klasycznego zabójcy, od mafiosa wreszcie. U tamtych istnieje logiczny związek pomiędzy motywem zbrodni, a faktem że określony człowiek został zabity. We współczesnym terroryzmie związek ten jest wyjątkowo słaby, a w ogromnej ilości przypadków w ogóle nie istnieje. Ofiara terrorysty coraz częściej jest przypadkowa, w końcu anonimowa — obiekt zbrodni może być wymienny, a więc może nim zostać każdy. Z tej właśnie przyczyny, współczesny terrorysta przestaje być zagrożeniem jednostki i zaczyna zagrażać człowiekowi jako gatunkowi. Jest to zupełnie nowa jakość, mająca istotnie pewne cechy wspólne jedynie z ludobójstwem.

Cały zespół mitów i świadomych przemilczeń umożliwia istnienie kinematografii i literatury zrozumienia dla terrorystów. Jest taki mit Janosika czy Robin Hooda funkcjonujący pod wszystkimi szerokościami geograficznymi. Znakomicie przystaje on do utworów o strukturze baśniowej (np. westerny), funkcjonował też nieźle w czarnych filmach gangsterskich — chociaż w tym wypadku trąci to pewną dwuznacznością moralną. Całkowicie dewiacyjne odniesienie tego mitu do historii współczesnego terrorysty, wraz z przekornym, hodowanym przez radykalizujących twórców sentymentem do jednostek aspołecznych i nieprzystosowanych — to składniki ubożuchnej filozofii twórców „zrozumienia dla terroryzmu". Ten sposób widzenia sprawy znajduje swój rezonans u odbiorców, u których z różnych przyczyn społecznych czy politycznych istnieje silna niechęć do wszelkich struktur państwowych, w szczególności policyjnych. Ponadto przychylność odbiorców wynika z podrażnienia znanych mechanizmów fascynacji grozą. Już Eugene Ionesco w jednej ze swych kapitalnych, a przewrotnych sztuk, przedstawił zjawisko fascynacji „bezinteresownym" mordercą, ukrytym w mieście — zjawisko zauroczenia powodującego dobrowolne poddanie się zbrodni.

Morderca „bezinteresowny", zabijający bez żadnej przyczyny, w rzeczywistości praktycznie nie istnieje. Wszak nawet choroba psychiczna jest też swoistą przyczyną. Ale w literaturze mamy takie modelowe postacie. Dość wymienić Lafcadia od Andre Gide'a, czy „Herostratesa" J. P. Sartre'a. Jest rzeczą zastanawiającą, jak bardzo współczesny terrorysta zbliża się do tych wzorców, gdy zabija nie znając swych ofiar, nie mając do nich żadnego określonego stosunku. Sartre stara się problem analizować poprzez rozważenie ogromnej ilości frustracji swojego bohatera. Istotnie — aby dojść do postawy współczesnego terrorysty też trzeba zgromadzić w sobie niewiarygodne frustracje, niewiarygodną agresję skierowaną na zewnątrz i przekonanie o złudności wszelkich ludzkich zasad, od dekalogu po kodeks karny.

Podejrzewam, że w podświadomości pisarzy i twórców filmowych starających się zrozumieć i usprawiedliwić terroryzm, tkwi pewna magiczna potrzeba „obłaskawienia". Jeśli cię terrorysto polubię, to ty mi krzywdy nie zrobisz — zdają się krzyczeć ośrodki podkorowe takiego twórcy. Złudne to, jak każde magiczne zaklęcie.

**3.**

**W filmie o Birgitt Haas znamienna scena.** Tytułowa terrorystka, w rozmowie z kelnerem, który jest łącznikiem organizacji, wspomina „dobre czasy", kiedy to likwidowali ludzi o przekonaniach wstecznych i wyraża zniechęcenie faktem, iż ostatnio rozmnożyło się tyle organizacji terrorystycznych, często reakcyjnych, że już doprawdy nie wiadomo, kto jest kim. Scena ta ma nam sugerować istnienie „złych" i „dobrych" terrorystów — bądź też terrorystów „niesłusznych" i „słusznych". Do tych ostatnich jakoby ma należeć tytułowa Birgitt Haas z Frakcji Czerwona Armia (RAF) z Republiki Federalnej Niemiec. Ta cała historia jest czystym surrealizmem.

Właściwie nie ma takiej ideologii, do której nie podpięliby się terroryści. Irlandzki szowinizm i religijny szowinizm katolicki w Ulsterze (Skrzydło Tymczasowe IRA), nacjonalizm baskoński (ETA), anarcho-syndykalizm, trockizm (Czerwone Brygady w Italii), „nauki trzech M" — Marksa, Mao Tsetunga. Marcuse'a — (Frakcja Czerwona Armia w RFN i Akcja Bezpośrednia we Francji), fundamentalizm islamski, szyityzm i inne odmiany mahometanizmu... Mógłbym tak wymieniać bez końca. Na dobrą sprawę, chyba tylko buddyzm zostawili terroryści w spokoju i nie przyznają się do niego, chociaż swoją działalnością starają się zapewnić wszystkim totalną nirwanę.

Ostatnio oglądaliśmy w TV duński film, w którym nieco fantastyczny, bo samotny terrorysta, mordował w imię ochrony środowiska. Są i tacy, którzy przywoływać będą legendę ostatniego przywódcy powstania Indian Keczua—Tupaka Amaru. Są również neofaszyści, związani z działaczami zdelegalizowanego we Włoszech MSI.

Terroryści przyznają się do wszelkich możliwych ideologii świata, natomiast te ideologie — poza faszystowską — z reguły się do nich nie przyznają. Autentycznemu katolikowi, patriocie czy marksiście włos się jeży i ręka się zaciska, gdy słyszy o terroryzmie. Ideologie, którymi posługują się terroryści są właściwie wyrwanymi z kontekstu hasłami, radykalną retoryką — ponieważ niemal żadna spójna teoria filozoficzna czy społeczna nie usprawiedliwia i nie akceptuje terroryzmu.

Jest rzeczą charakterystyczną, że terroryści spod różnych znaków w ogóle sobie nawzajem nie przeszkadzają. Nie zanotowano wypadku krwawych porachunków pomiędzy grupami o różnych przekonaniach. Co więcej — do wielu spektakularnych aktów przyznaje się często po kilka grup terrorystycznych, nie mających ze sobą nic wspólnego. Coraz bardziej jesteśmy skłonni przypuszczać, że ideologia k a ż d e j grupy terrorystycznej składa się w istocie z trzech haseł wziętych z trzech różnych „parafii": ze znanego trockistowskiego hasła *„ruch jest wszystkim — cel jest niczym"*, z faszystowskiej zasady *„każdą demokrację należy zniszczyć"* i z anarchistycznego dogmatu *„państwo jest złem samym w sobie"*.

Grupy terrorystyczne powstałe z sumowania frustracji społecznych i osobistych, z zasady nie przyjmują żadnych rozwiązań politycznych. Terroryzm jest metodą, jest praktycznym działaniem — gdzie liczy się jedynie zamiar taktyczny i strategiczny.

Taktyka i strategia terroryzmu wywodzi się z przekonania, że aktualne zasady prawne i polityczne, oraz struktury społeczne i państwowe są złe — przeto należy je zniszczyć. W planie węższym (taktycznym) należy zaznaczać istnienie grupy i jej hasła, za pomocą spektakularnych aktów przemocy. W planie odległym (strategicznym) znajduje się realizacja zamiaru obalenia wszelkich struktur, przez ilościowe nagromadzenie przemocy do tego stopnia, aby strach sparaliżował czynności społeczeństw i państw.

Akt przemocy — do którego sprowadza się działanie współczesnego terroryzmu — jest udany wtedy, gdy jest głośny w sensie dosłownym i przenośnym. Dlatego metoda „krwi i huku" jest preferowana przez wszystkie grupy. Rzecz jasna, znamy w odległej historii przykłady działania zbrodniczego mającego na celu zwrócenie powszechnej uwagi. W tym znaczeniu, starożytnym ojcem terroryzmu byłby podpalacz świątyni Artemidy w Efezie. O takich Herostratesach z początku naszego wieku napisał powieść Joseph Conrad („Anarchiści"). Tam grupa terrorystyczna dokonuje zamachu na zerowy południk geograficzny w obserwatorium Greenwich. Jednak — jak się rzekło — plaga współczesnego terroryzmu wiąże się z drugą połową naszego wieku. Dopiero teraz bowiem doszło do masowości zjawiska, co stworzyło zupełnie nową jakość. Również obiektem aktu terroru stał się człowiek specyficzny, a mianowicie anonimowe zbiorowisko ludzkie. Ofiara ginie, bo jest człowiekiem popularnym, a znacznie częściej dlatego, że przypadkowo szła tą a nie inną ulicą, jadła w tym a nie w innym barze. Masakra na dworcu w Bolonii, dokonana przez grupę neofaszystowską, różni się od zamachów Akcji Bezpośredniej w Paryżu jedynie ilością rannych i zabitych.

**4.**

O służbach specjalnych napisano i mówi się wiele. Nie bez racji, często mówi się źle. Istotnie są państwa, które utrzymują facetów przeznaczonych do likwidowania przeciwników politycznych, bądź potajemnego rozniecania konfliktów regionalnych. Często opinia publiczna zostaje wstrząśnięta rewelacjami o bezprawnych wyczynach służb specjalnych USA, Izraela i Francji — które jak do tej pory przodują w różnych ciemnych operacjach. Jest to z pewnością temat poważny, do którego warto będzie powrócić. Jednakże istnieją w każdym państwie takie oddziały służb, których działanie nie może być poniżane w oczach opinii publicznej, ponieważ dezawuowanie ich jest nie tylko dwuznaczne moralnie, ale w jakimś stopniu wspomaga wrogów ludzkości numer jeden — terrorystyczne grupy przemocy.

Najsilniej potrafią docenić służby antyterrorystyczne ci wszyscy, którzy byli np. pasażerami porwanych samolotów i umierali na serce, siedząc w fotelu obok zastrzelonego już współpasażera — a którym życie wracało, gdy raptem otwierały się drzwi i rozbrzmiewał zbawczy okrzyk: *„nie ruszać się, policja!"*.

Tacy są właśnie prawdziwi bohaterowie naszych smutnych czasów — ryzykujący wszystko, specjaliści do walki z terrorem. Obojętne czy są to funkcjonariusze straży granicznej i policji RFN działający na lotnisku w Mogadiszu, czy izraelscy komandosi odbijający samolot Air France w Kampala, czy polscy milicjanci zatrzaskujący kajdanki na przegubach bezdusznych bydlaków, którzy wysadzali tory kolejowe.

Niech ludzie zobaczą, na czym polega obca socjalistycznemu społeczeństwu moralność, obcy styl życia.

# Pogrzeb w Rostowie

WŁADIMIR FOMIN

## 1.

Pewnego niedzielnego dnia cały Rostow został poruszony niezwykłym wydarzeniem — okazałym pogrzebem byłego naczelnika obwodowego zarządu handlu, Budnickiego. Jeszcze nie tak dawno Budnicki był człowiekiem znanym w mieście. Zasiadał za prezydialnymi stołami, występował na naradach. Któż by mógł w owych czasach przypuścić, że pod maską statecznego, rozsądnego kierownika kryje się zaprzysięgły łapownik! Biorąc od podwładnych, dawał bogate podarki zwierzchniemu kierownictwu i wobec tego miał absolutne poczucie bezpieczeństwa. Budnicki razem z najróżniejszego kalibru wspólnikami — od rzeźnika dzielącego tuszę, do naczelnika zarządu w republikańskim ministerstwie — bezczelnie i bezkarnie okradali w ostatecznych rachunku konsumentów, grabili mienie państwowe. Wreszcie ci zdeklarowani złodzieje stanęli przed sądem i dostali to, co im się należało.

Były to procesy głośne na cały kraj. Obszernie omawiała je prasa. Wielu ludzi oglądało zapewne film o łapownikach z Rostowa, nadawany przez centralną telewizję. Na ekranie pojawiała się wówczas także twarz Budnickiego. Pośród lokalnych pracowników handlu, którzy trafili na ławę oskarżonych, był on najstarszy i wiekiem, i niedawnym swoim stanowiskiem. Kiedy sędzia odczytał fragment wyroku dotyczącego Budnickiego — 15 lat pozbawienia wolności i konfiskata mienia — były naczelnik obwodowego zarządu nagle uśmiechnął się i z radością klasnął w dłonie. Najwidoczniej był przygotowany na coś więcej.

## 2.

Po mieście zaczęły krążyć niesamowite wręcz pogłoski. Rzekomo zwłoki Budnickiego, który zmarł w więzieniu, przywiezione zostały samolotem z Krasnojarska potajemnie, w jakiejś drewnianej skrzyni, udającej zwykły ładunek. Zmarłego złożono podobno głęboką nocą w kostnicy Akademii Medycznej pod zmyślonym nazwiskiem, a znajomi lekarze przeprowadzili tam sekcję, aby ustalić prawdziwą przyczynę zgonu: czy przypadkiem Budnicki nie został zamordowany lub otruty?

Ceremonia pogrzebowa odbywała się w niedzielę, w samym centrum miasta. Trumna z ciałem zmarłego została wyniesiona z mieszkania na podwórzec i ustawiona na taboretach okrytych czerwoną materią. Zebrało się tam ze 150 osób — przyjaciele, znajomi, byli współpracownicy. Pożegnanie trwało półtorej godziny. Potem pokrytą żywymi kwiatami trumnę, której towarzyszył pochód z wieńcami, niesiono na ramionach po Prospekcie Kirowa, aby wreszcie przy skwerze im. Pierwszej Armii Konnej umieścić na katafalku. Mówiono, że konduktowi pogrzebowemu asystowali milicjanci. Fama głosiła, iż przestępca pochowany został w Alei Zasłużonych, w jednym szeregu z mogiłami ludzi najbardziej szanowanych w mieście.

Najdziwniejsze jednak było to, że z wyjątkiem kilku szczegółów, którymi została ubarwiona ta historia, takich np. jak nielegalne przewiezienie zwłok, dokonanie powtórnej sekcji, czy też asysta milicji, cała reszta opowieści o niezwykłym pogrzebie okazała się najprawdziwszą prawdą. Nawet pogłoska o lokalizacji mogiły. Miejsce na nią wybrano wprawdzie nie w samej Alei Zasłużonych, lecz na jej przedłużeniu za kwaterą, gdzie chowani są wojskowi i gdzie nad mogiłami wznoszą się śmigła samolotowe ku uczczeniu pamięci lotników. Grób Budnickiego znalazł się na centralnej alei cmentarza, na samym obrzeżu drogi, na widocznym dla wszystkich miejscu.

## 3.

W mieście wrzało. Jak mogło dojść do czegoś takiego, kto do tego dopuścił? W lokalnych gazetach pojawiły się informacje o posiedzeniach Komitetu Miejskiego i Komitetu Obwodowego KPZR. W informacjach tych uroczysty pogrzeb przestępcy wspomniany został wśród innych przejawów braku dojrzałości politycznej u komunistów i bezpartyjnych. Publikacje roiły się od ogromnej liczby nazwisk ludzi, którzy zostali ukarani. Na liście tych nazwisk znaleźli się obok siebie ci, którzy brutalnie naruszali normy komunistycznej moralności, i ci, którzy powinni byli zapobiec tym naruszeniom. Za poważne niedopatrzenia w pracy partyjno-wychowawczej ukarani zostali sekretarze komitetu miejskiego i komitetu rejonowego partii, pracownicy milicji, służb komunalnych i innych instytucji. Niejasne było tylko jedno: kto za co został ukarany? Można było się tylko domyślać, że chodzi o osoby, które uczestniczyły w zorganizowaniu pogrzebu i w samej ceremonii. Nie wiadomo też, jakimi względami etycznymi kierowała się prasa nie wspominając w ogóle nazwiska Budnickiego, ani jego dawnego stanowiska.

Przez miasto przetoczyła się nowa fala domysłów i pogłosek. Zaczęto mówić, że informacje o pogrzebie Budnickiego podały zagraniczne „głosy". Wokół nazwisk niektórych ukaranych — staraniem głosów tym razem miejscowych — zaczęła się tworzyć aureola męczenników, którzy ucierpieli za wykazanie elementarnego i całkowicie zrozumiałego współczucia dla ludzkiego nieszczęścia. Plotki, plotki... wszystkiemu można uwierzyć, kiedy coś tam przed tobą ukrywają.

## 4.

Ostatnio wiele mówimy o jawności. Oto właśnie przypadek, kiedy ta jawność, wszechstronne poinformowanie społeczeństwa potrzebne były jak powietrze. Należy sądzić, że wiele pogłosek, które do dziś krążą po Rostowie, rozwiałoby się z miejsca, a współczujących „ofiarom" byłoby znacznie mniej, gdyby opinia publiczna na własne oczy zobaczyła wieniec, niesiony za trumną przez tych, co to „przypadkowo" znaleźli się na pogrzebie. Na szarfie tego wieńca widniał napis: „Człowiekowi wielkiego serca od przyjaciół i towarzyszy pracy". Na wieńcu dla przestępcy, zasądzonego na 15 lat więzienia!

Naoczni świadkowie opowiadają, że podczas uroczystości żałobnej na cmentarzu, która również zgromadziła wielu ludzi, przemawiający nad mogiłą wysławiali Budnickiego, jak gdyby śmierć zabrała go z odpowiedzialnego stanowiska państwowego, a nie zza więziennej kraty. Mówcy tłumaczyli, że za życia otaczali Budnickiego podli ludzie, którzy napytali biedy temu serdecznemu towarzyszowi, doświadczonemu kierownikowi, wzorowemu ojcu rodziny. Wszystkich tych słów, niedwuznacznie podających w wątpliwość słuszność wyroku sądowego, wydanego na przestępcę zaledwie przed półtora rokiem, z wyrazem złości na twarzy słuchali z uwagą nie tylko krewni zmarłego i nie tylko żegnający swojego byłego szefa kierownicy sklepów i targowisk, trudniący się niegdyś złodziejskim procederem. Główną masę obecnych na uroczystości żałobnej stanowiła mimo wszystko przyzwoita publika, która dotąd nie miała na pieńku z kodeksem karnym. Przed trumną łapownika skłaniali głowy kierownicy solidnych kolektywów, organizatorzy oddziałów szpitalnych, adwokaci, pracownicy nauki. U wielu z nich w kieszeniach spoczywały jeszcze wówczas legitymacje partyjne. Bez udziału takich ludzi, bez ich pomocy i czynnego poparcia okazały pogrzeb pospolitego przestępcy byłby niemożliwy. Dlaczegóż nie powiedzieć pełnym głosem, za co właściwie został ukarany każdy z figurujących na długiej liście? (...)

## 5.

Podczas procesu Budnickiego oraz innych pracowników handlu z Rostowa i obwodu na sali sądowej nie raz wypowiadane były słowa o tym, że nie są oni winni, że padli ofiarą systemu, jaki się tu wytworzył. Chcąc pomyślnie wykonywać zadania produkcyjne, trzeba było rzekomo kaptować sobie protektorów i w tym celu brać łapówki od podwładnych. Oczywiście bez żadnej korzyści dla siebie. Jak jednak zostało wyjaśnione podczas przewodu sądowego, ani jedna z „ofiar" nie zapomniała przy tym o sobie. Nie każdy wystawiał swoje bogactwo na pokaz, nie wszyscy chowali złoto i biżuterię w puszkach od konserw, wszyscy jednak żyli na szerokiej stopie, w tym również Budnicki. W jednym wszakże podsądni mieli słuszność, a mianowicie w tym, że nie mogliby tak długo działać bezkarnie, gdyby nie protektorzy i poplecznicy w najrozmaitszych sferach.

Co łączyło tych ludzi tak różnych profesji i pozycji — zakonspirowanych maklerów mieszkaniowych, lokalnych bossów budowlanych, kierowników baz owocarsko-warzywniczych, lekarzy obsługujących te „wyższe sfery" oraz wyzutych z czci i honoru urzędników z organizacji partyjnych i państwowych? Styl życia! Ocena pozycji w społeczeństwie — cudzej i własnej — nie według powszechnie przyjętej skali moralnych wartości ludzkich, lecz według „dojść", według umiejętności „załatwiania spraw" i robienia pieniędzy kosztem innych, według tego, gdzie (to znaczy, w jakim domu) i jak (to znaczy, jaki ma komplet w sypialni, czy ma samochód), ten człowiek żyje. Najczęściej czyny ludzi z tego kręgu nie podpadały pod żaden artykuł kodeksu karnego. Oni „tylko" korzystali z usług i pomagali — oczywiście bezinteresownie, nie wiedząc rzekomo nic o zakulisowym życiu swoich dobrych znajomych, przyjaciół, obrotnych podwładnych, obdarzonych siłą przebicia. Takie środowisko stanowi właśnie pożywkę, na której wyrastają krętacze i oszuści.

Podczas rozpraw sądowych wychodziło to wyraźnie na jaw, biło wręcz w oczy, lecz protektorzy i poplecznicy w najlepszym przypadku na pewien czas tracili ciepłe miejsca lub ponosili jakieś mało dotkliwe kary. Od dawna wiadomo, że filister staje się bezczelny, jeśli kara nie jest taka na jaką zasługuje. Odbyły się przecież tak głośne procesy, dwóch łapowników otrzymało najwyższy wymiar kary, wielu innych — po 10 i 15 lat, orzeczono konfiskatę mienia. A tu nikt się nie boi! Pracownicy wydziału do spraw zwalczania nadużyć i spekulacji stwierdzają, że liczba kradzieży i sprzeniewierzeń w handlu wcale się nie zmniejszyła. Podobnie — liczba przypadków nadużywania stanowisk służbowych. Powstaje nawet wrażenie, że całe to środowisko zaktywizowało się, być może czując swój bliski koniec. Spieszą się, by nałapać co się da, póki jeszcze można.

## 6

Okazuje się zresztą, że nawet więzienia to nic takiego znów strasznego. Ci sami przyjaciele i tu pomogą. Budnicki dopóki siedział w Rostowie telefonował do siebie do domu, a nawet do byłego miejsca pracy, do swoich kolegów. Niedopatrzenie? Przypadek? Szachwardijew, który dawał Budnickiemu łapówki i skazany został na 10 lat, wrócił z więzienia do domu po 1,5 roku — decyzją sędziego został zwolniony z odbywania kary ze względu na stan zdrowia.

Dzięki staraniom przyjaciół znalazł się w jedynym na terenie obwodu ośrodku kardiologicznym. Lekarze postawili diagnozę, zalecili kurację i chcieli wypisać pacjenta. Wtedy to zaczęły się interwencje — partyjne i urzędowe. Trzymano więc Szachwardijewa przez trzy miesiące w luksusowych warunkach szpitalnych. Załatwiono mu też wysoką rentę, którą otrzymywał jeszcze nawet po tym, jak w sprawę wkroczył prokurator i łapownik musiał wrócić do miejsca odosobnienia, aby odbywać dalej orzeczoną karę.

Konfiskata mienia również, jak się okazuje, nie jest niczym strasznym. „Z dobrego serca" sędzia sądu rejonowego w Rostowie, Tamara Kuźniecowa uchyliła areszt położony na mieniu Szachwardijewa i nie zadając sobie trudu, by wyjaśnić szczegóły oraz okoliczności sprawy, rozdała to mienie według przedstawionych roszczeń członkom jego rodziny, a nawet osobom postronnym. Serce sędziego Kuźniecowej było dobre do tego stopnia, iż żonie Szachwardijewa zwrócone zostały nie tylko komplety mebli, połowa domu, dywany i kryształowe żyrandole, lecz nawet „kolekcja" napojów alkoholowych o wartości 1,5 tys. rubli. Żadną przeszkodą nie okazał się przy tym fakt, iż z 10 tys. rubli, które z wyroku sądu przestępca powinien był zwrócić państwu, zwrócił... 24 ruble. Jak mówi się w dobrze poinformowanych kołach, z mieniem innych podsądnych, którzy jechali na jednym wózku z Budnickim, dzieje się podobnie.

Zapewne nie każdy, kto miał coś wspólnego z owymi historiami, grzał sobie ręce przy tym ogniu, chociaż trudno ukrywać, że taka myśl nasuwa się tu bezwiednie. Trudno uwierzyć, aby sędzia Kuźniecowa odważyła się na tak poważne naruszenie przepisów bez jakiegoś nacisku z zewnątrz. A nawet jeśli tego nie było, jeśli rzeczywiście było tylko niedopatrzenie, czy pójście po najmniejszej linii oporu, to czyż obiektywnie nie jest to poparcie dla przestępców i ich rodzin?

## 7.

„Obrotni ludzie", czując bezkarność stają się coraz bezczelniejsi, demonstrują siłę swej władzy, opartej na pieniądzach, na znajomościach, na protekcji. Nawet do kostnicy zwłoki Budnickiego trafiły po znajomości, bez wymaganych w takich przypadkach dokumentów. Wyprawienie Budnickiemu takiego właśnie, a nie innego pogrzebu ważne było nie dla niego, lecz dla jego otoczenia, dla „przyjaciół i współtowarzyszy pracy", dla tych, którzy i dziś są tu, obok nas. Podnosząc na ramionach trumnę z ciałem przestępcy, podnosili oni tym samym łapownika w oczach społeczeństwa. Jednocześnie ci, którzy kroczyli za jego trumną, wybielali samych siebie, afirmowali swój sposób życia. Nic dziwnego, że czynili to takimi metodami, do jakich od dawna przywykli.

Aż chce się krzyknąć na cały głos: strzeżmy się, ONI ruszają do ataku! Wydaje się wręcz, że nie był to pogrzeb Budnickiego, lecz próba pogrzebania wszystkiego nowego, co rodzi się w naszym życiu, pogrzebania NAS! (...)

(„Litieraturnaja Gazieta" styczeń 1987)

■

Są ludzie, którym wydaje się, że wszystko się szybko skończy i wróci do starych kolein, lepiej się więc nie „wychylać". Ale jest to postawa nie do przyjęcia.

# Żeby więcej nie pytano, dlaczego się nie udało?

MICHAIŁ SZATROW

— 2 grudnia 1986 r., sąsiadka, studentka, przyniosła z instytutu plan zajęć seminaryjnych na temat *„XXVII Zjazd KPZR"*. Całkiem współczesne zagadnienia: *„XXVII Zjazd, a rozwój demokracji"*, *„XXVII Zjazd, a walka o pokój"*. Znane i zrozumiałe słowa. Jednak coś jest nie tak. Przyglądam się dokładnie. Co się okazuje — na odbitym planie napisano „XXVI", potem starannie poprawiono ręką na „XXVII". Oto cała przebudowa w systemie nauczania dyscyplin społecznych w jednym z wiodących instytutów kraju.

— 28 listopada 1986 r., godzina 15. Posiedzenie sekretariatu Związku Twórców Teatralnych RSFRR. Trwa prawdziwe *„pranie mózgów"*. Decyduje się przyszłość Związku, jego statut. Zgłaszane są i natychmiast odrzucane dziesiątki propozycji. Uczestniczący w posiedzeniu wybitny, doświadczony pracownik administracyjny uśmiecha się: „Ha, ha, pobawcie się..." W jego świadomości kolektywna praca nad redakcją statutu — to tylko dozwolona zabawa w demokrację.

— Koniec października. Redaktor naczelny pewnego pisma humanistycznego został zwolniony z zajmowanego stanowiska. W wydanej mu opinii egzekutywa partii stwierdza, iż jest to człowiek dobry, uczynny, jednak mało kompetentny, schlebiający wszystkim, którzy stoją wyżej. Urażony były naczelny redaktor poskarżył się kierownictwu. *„XXVII Zjazd partii, lekcja prawdy"* — wyjaśnił sekretarz egzekutywy. *„Wy tak poważnie?"* — zapytano się sekretarza. *„Czy nie rozumiecie, że to wszystko się szybko kończy i będzie wam potem wstyd za waszą naiwność?"*.

— 2 grudnia. Teatr, garderoba aktorów. *„Podpiszesz pismo w obronie Jefremowa?"*. *„Dobrze, a jeśli jego „zniszczą", co stanie się ze mną?"*.

Skąd to wszystko? Formalizm i brak wiary, inercja myślenia i zdemoralizowana świadomość?

23 grudnia 1922 roku. Mieszkanie Lenina. Włodzimierz Iljicz ciężko chory leży w swoim gabinecie. Obok, w sąsiednim pokoju, napisano list do Kamieniewa, o następującej treści:

*„Lwie Borysowiczu, z powodu krótkiego listu, napisanego przeze mnie pod dyktando Włodzimierza Iljicza, za zgodą lekarzy, Stalin pozwolił sobie wczoraj na ordynarny wyskok pod moim adresem. Jestem w partii nie pierwszy dzień. Przez 30 lat od żadnego towarzysza nie usłyszałam nigdy ani jednego ordynarnego słowa, interesy partii i Iljicza są mi nie mniej drogie niż Stalinowi. Obecnie muszę wykazywać maksimum opanowania. O czym można, a o czym nie wolno rozmawiać z Iljiczem, wiem lepiej od każdego lekarza, tak jak i wiem, co go niepokoi, a co nie, w każdym bądź razie wiem to lepiej od Stalina"*. Nadzieżda Konstantinowna prosiła aby obroniono ją *„przed brutalnym mieszaniem się w życie prywatne, niegodziwymi zarzutami i pogróżkami"*. *„Nie wątpię w jednomyślną uchwałę komisji kontrolnej, której to Stalin pozwala sobie grozić, jednakże nie mam ani siły, ani czasu, by tracić je na tak głupie kłótnie. Jestem także człowiekiem i nerwy mam napięte do ostateczności. N. Krupska"*.

Nie wiem, co bardziej wstrząsa w tym dokumencie. Jeśli idzie o mnie, to to zdanie: *„Nie wątpię w jednomyślną uchwałę komisji kontroli"*. I tu tkwi początek tego wszystkiego, co zaszło później, kiedy to jeden człowiek, skupiając — według słów Lenina — w swoich rękach nieograniczoną władzę, odrzucił demokratyczne zasady partyjnego życia, jak zabawkę, niegodną zwracania nań uwagi poważnych ludzi. Od dawna już wiadomo: władza deprawuje. Absolutna władza deprawuje absolutnie.

Tylko u tego, kto posiadał nieograniczoną władzę, mogła zrodzić się idea przekształcenia człowieka w śrubkę w biurokratycznej machinie państwowej. Tylko temu, kto dysponował taką władzą, mogło się wieść na tej drodze. I w tym miejscu nastąpiła wyrwa w moralnych zasadach Października, socjalizmu. I za to zapłacił naród i partia. Śrubka, zastraszany, bezmyślny wykonawca, żyjący w atmosferze strachu — czy myślący, zaangażowany człowiek, aktywny gospodarz wielkiego domu?

Jakim gigantycznym potencjałem musiała dysponować nasza Rewolucja Październikowa, jeśli zdołała to wszystko wytrzymać, jeśli potrafiła zbudować państwo, przetrwać wojnę, i nie zważając na nic, wywalczyć cierpieniem 1956 rok — XX Zjazd partii!

Być może, niektórzy już o tym nie pamiętają. Powróćmy jeszcze raz do tego. Dobrze pamiętam wiosnę 1956 roku. XX Zjazd partii, gigantyczny zryw kraju, zrzucającego z siebie antyleninowską ideologię i praktyki kultu jednostki. Przypominam sobie również i to, jak stopniowo, krok za krokiem proces ten był wyjaławiany, jak siły przeszłości, których nie potrafiliśmy do końca wytępić, ożywiały się i podnosiły głowę. (...)

I oto marzec 1985 roku. Wszyscy mówią o kwietniu, a ja chcę powiedzieć właśnie o marcu. Marzec 1985 roku — to walka nie o władzę, lecz o ideę, o konieczność i możliwość demokratycznej odnowy kraju, walka o powrót do ideałów Października.

Czym była jakaś alternatywa?

Z punktu widzenia podstawowych interesów socjalizmu, takowej alternatywy nigdy nie było. Wszelako nie należy zapominać, że występowała ona w realnym życiu. Hasła typu *„Przekształcimy Moskwę we wzorowe miasto komunistyczne"*, bardzo często przysłaniające kłamstwo, korupcję i inne następstwa deficytu demokracji, mogły pojawić się w całym kraju. Nie powinniśmy zapominać o tym zagrożeniu, realnie istniejącym w marcu 1985 roku, które to zagrożenie, przypuśćmy że nie od razu, mogło doprowadzić do nawrotu *„nieograniczonej władzy"*. Albowiem problemy, nękające kraj, można było rozwiązać, bądź na drodze demokratyzacji, bądź za pomocą rządów silnej ręki. Trzeciego sposobu nie ma.

Jestem absolutnie przekonany: kraj wywalczył sobie przebudowę.

W tym dramatycznym momencie naszych dziejów znaleźli się ludzie, przejawiający odwagę i mądrość. Z całą swoją siłą ujawnił się też czynnik ludzki. Złożymy hołd tej odwadze, będziemy ją wpajać również sobie. (...)

Poczynając od marca 1985 roku, z nadzieją czekamy na to, co przyniesie kolejny dzień i boimy się, czy się to nagle nie skończy? A tu tymczasem nic się nie kończy, nic się nie przekształca w rutynową akcję, wręcz odwrotnie, wszystko nabiera konsekwentnie zadziwiającej prędkości, rozwija się, zdobywane są nowe przyczółki demokratycznej odnowy społeczeństwa. (...)

W połowie lat siedemdziesiątych moi uczniowie często zadawali mi pytania: *dlaczego w 1956 roku nie wszystko się udało? Gdzie pan był? Co pan pisał? Jak pomógł pan partii?* Zróbmy dzisiaj wszystko, bez odkładania, aby tego rodzaju pytań nie trzeba było zadawać nigdy i nikomu! Nigdy i nikomu!

(„OGONIOK" nr 4, 1987)

■

ze str. 1

tniejszym elementem. Można ją przecież bardzo łatwo wykreować, zaaranżować odpowiednim makijażem i uczesaniem. Najlepiej jednak, aby była niebanalna i miała w sobie jakiś charakterystyczny rys. Ważny jest również sposób poruszania się.

**— Ile lat trwa terminowanie, czyli uczenie się abc w tej profesji?**

— Następuje to natychmiast. Nie ma szkół, nie ma nawet kursów, nie ma specjalistów. Pewna klasa, doskonałość, profesjonalizm przychodzą z czasem.

# Sfinks

**— Która z podstawowych umiejętności jest najważniejsza dla modelki?**

— Poruszanie się, umiejętność pokazywania rzeczy, które ma się na sobie w taki sposób jakby to była rzecz, którą modelka nosi od dawna i jest jej ulubioną. Z wyrazu twarzy i całej sylwetki powinno tchnąć przekonanie, że jest śliczna, a to co ma na sobie jest arcydziełem. Profesjonalna modelka powinna posiąść sztukę makijażu i opracować swój własny, który w najkorzystniejszy sposób podkreślałby charakterystyczne cechy jej twarzy i osobowości.

**— Ile czasu potrzebuje pani na przebranie się?**

— Jest to ograniczone do czasu pomiędzy kolejnymi wejściami na wybieg. Bywa, że mam na to tylko minutę.

**— Sądzi pani, że rutyna w tym zawodzie jest ogniejsza od wrodzonego wdzięku i świeżości?**

— Zdecydowanie tak. Młodsze, świeże dziewczęta nie są w stanie zaprezentować ubioru z kolekcji w taki sposób jak modelki ze stażem. Należy pamiętać, że nie robi się pokazów dla publiczności, lecz dla handlowców i na takich pokazach konieczna jest swoboda, umiejętność kreowania swojej sylwetki w taki sposób, aby propozycja wypadła jak najkorzystniej.

**— Pani jest rytunowaną modelką, wie jak i kiedy zrobić odpowiedni ruch, jak spojrzeć na widzów, kiedy się uśmiechnąć, a kiedy być tajemniczą jak sfinks. Nigdy się pani nie myli, nie pokazuje w tych bajecznych kreacjach siebie prywatnej a więc prawdziwej?**

— Mylę się i niestety nie jestem najlepszą kreatorką. Staram się jednak zachowywać w miarę naturalnie i nie poddawać tremie. To, że nie jestem uśmiechnięta i nie mam chochlika w oczach niekoniecznie musi świadczyć przeciwko mnie. Sądzę, że spokój i chłodna elegancja są częstokroć lepsze od przesadnej gry.

**— Co pani robi, gdy nie przebiera się w niezliczone stroje, nie czesze, nie maluje, nie pozuje do zdjęć?**

— Wolny czas poświęcam swoim licznym pasjom, a są nimi: kino, obraz filmowy w początkowym etapie, fotografia. Pasjami czytam książki i podróżuję po świecie.

**— Jaką literaturą jest pani zafascynowana?**

— Literaturą iberoamerykańską: niezwykły, wyrafinowany Cortazar, epicki i bogaty Marquez, poplątany i niepokojący Alejo Carpentier. Pozostaję wierna swoim starym miłościom Witkacemu i Alberto Moravi.

**— Jakiej muzyki pani słucha?**

— Jestem wierna Liaztowi, niezmiennie towarzyszy mi Beethoven i Brahms. Dla rozluźnienia i wyrównania stanów psychicznych potrzebuję muzyki Andreasa Vollenweidera, Pink Floyd, Milesa Davisa.

**— Często jest pani widywana na warszawskich wernisażach, wystawach malarskich, nie przenosi się pani do Warszawy?**

— Nie i nie mam tego zamiaru. Bardziej odpowiada mi włączanie się w wir artystycznych szumów w stolicy wtedy, kiedy tego pragnę. Spokój i potrzebę alienacji mogę zachować wtedy, gdy tego wymagam.

**— Niedawno bawiła pani w Londynie, gdzie m.in. obejrzała wybory miss świata. Jak to wszystko wygląda z bliska?**

— W Londynie bawiłam z pokazami handlowymi. Wydaje mi się, że Anglicy są niezwykle konserwatywni i cała oprawa, scenografia tej imprezy oraz stroje pięknych kobiet wydawałyby się polskiemu widzowi kiczowate. Wszystko błyszczało, nużało się w brylantach i kapało złotem. Niemniej poziom imprezy, wymagania stawiane kandydatkom były bardzo wysokie i w sumie całość sprawiała przyjemne wrażenie. Nie zgadzam się z tegorocznym wyborem miss świata, którą została maleńka, pełna wdzięku osóbka z Trynidadu. Po raz pierwszy nie podano wymiarów miss świata. Renata Fatla była tam nie zauważona.

**— Pani też mogłaby błyszczeć na takich konkursach?**

— Nigdy się o to nie starałam, zdając sobie sprawę jak mizerny jest poziom takich imprez organizowanych w kraju. Poza tym nie mam atrybutów słowiańskiej dziewczyny: dużych, błękitnych oczu i blond włosów.

**— Jakie są pani wymiary?**

— 102 cm w biuście, 60 cm w talii, 93 cm w biodrach, przy wadze 58 kg i wzroście 176 cm.

**— To wszystko ma duże znaczenie w pani zawodzie modelki. Zapewne prowadzi pani pełen reżimu tryb życia, aby utrzymać się w formie i przy urodzie w stałej gotowości?**

— Przeciwnie, jem bardzo dużo i bez ograniczeń. Dużo i intensywnie pływam. Korzystam z sauny. Unikam alkoholu, nie palę papierosów. Stosuję niealkaliczne szampony do włosów, które płuczę w piwie i ziołach. Używam polskich kremów, bo są najlepsze, ale w kosmetyki upiększające zaopatruję się w „Pewexie" lub za granicą.

**— W sumie — ile czasu zabiera pani dbałość o urodę i kondycję?**

— Wszystko polega na systematycznej i krytycznej kontroli własnego wyglądu. Jestem sceptyczną estetką i to chroni mnie przed bezkrytyczną akceptacją swojej osoby.

**— Jak często wymagano od pani pokazywania się nago?**

— Wymagano? Nie, co najwyżej sugerowano. Ale do aktów nigdy nie pozowałam.

**— Znana jest pani jako zagorzała naturystka i można ją spotkać bez listka figowego na wielu plażach świata?**

**— Owszem jestem, bo uwielbiam kontakt z naturą. Ale** mimo to unikam zatłoczonych plaż, jak również obca jest mi ideologia polskiego naturyzmu, gdzie na tzw. balach łączy się nagość z oparami alkoholu i nikotyną. Preferuję plaże nad Adriatykiem i Morzem Śródziemnym.

**— Nie mówiliśmy jeszcze o pieniądzach, które otrzymuje pani za publiczne ubieranie i rozbieranie?**

— W kraju zarobki modelek są relatywnie niskie w porównaniu z innymi krajami. Są tak niskie, iż wstydzę się ich ujawniać. Kiedy wysyła się nas za granicę, to jedyną korzyścią z tych wyjazdów jest możność poznania czegoś innego, nowego, fascynującego, no i kontakty z uroczymi ludźmi.

**— Kto więc panią utrzymuje, finansuje, stwarza jej odpowiedni standard życiowy?**

— Mój domowy budżet jest niezwykle skromny, a modelowanie nie jest moim jedynym zajęciem. Zresztą nie traktuję tego jako zawodu, ponieważ nim nie jest. Nie zapewnia mi ubezpieczenia, stałych dochodów, można go traktować li tylko jako hobby. W przygodzie z modą najwięcej korzyści wyniosłam z pozowania do zdjęć i brania udziału w kręceniu reklam telewizyjnych.

**— Słyszałem, że lubi pani zmiany w życiu osobistym?**

— Coraz częściej mam okazję przekonać się, że moje stare ideały, którym mimo wszystko pozostaję wierna — wytrzymują te próby. Bardzo często wracam.

**— Ale nie była pani zamężna?**

— Nie, choć wiele lat spędziłam z jednym człowiekiem.

**— Jaką cenę płaci się za bycie wciąż atrakcyjną i poszukiwaną modelką?**

— Ta cena bywa czasami gorzka. Mimo pozornie bardzo częstych i łatwych kontaktów z ludźmi, płacę osamotnieniem. Wynika to stąd, że nacisk behawioru jest tak silny, wymagania otoczenia tak wysokie (wciąż muszę być piękna, zadbana, doskonale ubrana, gotowa do występu), że aby móc od tego uciec (a bardzo często potrzebuję spokoju) uciekam w samotność.

**— Pani samotna? Przecież o pani względy stara się wielu panów i to przeważnie kilku równocześnie?**

— Owszem, ale gdybym chciała być lojalna musiałabym spotykać się z 7 panami jednocześnie, więc nie spotykam się z żadnym.

**— W kraju sięgnęła pani chyba najwyższego pułapu, co teraz?**

— Chcę się uczyć przy pomocy specjalistów profesjonalnego projektowania, aranżacji stroju, makijażu i mam nadzieję, że mi się to uda. W przyszłości chciałabym fotografować modę. Wszystkie te umiejętności zamierzam posiąść za granicą.

**— A kariera aktorska w filmie?**

— Ostatnio otrzymałam cztery propozycje zagrania w filmie, w trzech wypadkach główne role. Najbardziej byłam zainteresowana rolą francuskiej dziennikarki szukającej amfory, reliktu przeszłości, w puszczy wietnamskiej. Niestety, z wielkim żalem musiałam odmówić, bo zdjęcia miały się odbyć w lutym, a w tym terminie będę na drugiej półkuli. Poza tym nie widzę się w roli aktorki. To szalenie trudny zawód, wymagający dużej odporności psychicznej i siły fizycznej.

**— A kariera modelki na Zachodzie?**

— Z tego co wiem, kilka z naszych dziewcząt zrobiło niezwykłą karierę w Paryżu i Szwecji. Polki mają w sobie niepospolity wdzięk, połączony ze szczególną wrażliwością i wyobraźnią, co nie jest tak częstym atrybutem naturalnie pewnych siebie kobiet Zachodu.

**— Ile pani ma lat?**

— ... 27.

**— Czy w związku z tym musi się spieszyć czy też nie ma to dla jej marzeń i planów żadnego znaczenia?**

— Nie ma.

**— A co ma dla pani prawdziwy sens i wartość w życiu?**

— Poznawanie samej siebie, osiąganie spokoju i równowagi wewnętrznej, ciągłe rozwijanie własnej percepcji i... poznawanie świata. Właśnie jadę do Ameryki.

Rozmawiał:
BOHDAN GADOMSKI

*Foto: Jerzy Kośnik*

# Miss!

GRZEGORZ GAŁASIŃSKI

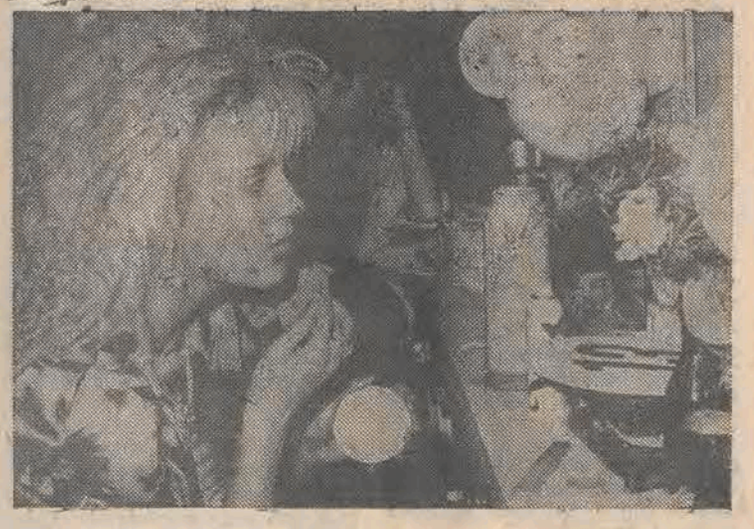

# Bunt młodzieży w Płocku

13 grudnia 1906 roku ukazała się na łamach postępowego, demokratycznego pisma „Ludzkość", wychodzącego dwa razy dziennie w Warszawie, wzmianka o tym, że z pewnego gimnazjum w Płocku wydalono piętnastu uczniów klasy czwartej za odmowę pisania ćwiczeń na tematy religijne. Było to gimnazjum Polskiej Macierzy Szkolnej, zwalczanej ostro przez postępowe, lewicujące stronnictwa polityczne ówczesnego zaboru rosyjskiego. Sprawa wydalenia uczniów stała się przedmiotem długiej i zaciekłej dyskusji w prasie, stanowiąc pierwszy chyba tak dobitny wyraz walki o świecką szkołę polską.

Już w dwa dni później, ta sama „Ludzkość" opublikowała list, skierowany do niej przez dyrektora owego gimnazjum, pana Józefa Szczepańskiego. *„Żadnych ćwiczeń na tematy religijne nikt w klasie czwartej nie zadawał, nie było więc powodu dla uczniów uchylać się od ich pisania, tym bardziej nie było faktu relegacji 15 ani z tej, ani z jakiejkolwiek innej klasy płockiego gimnazjum, nie tylko z przyczyn, mających jakąbądź styczność z tematami religijnymi, lecz w ogóle z jakichkolwiek przyczyn".*

Na tym dementi może by się sprawa skończyła, gdyby nie chwycił za pióro Antoni Miller; był wtedy nauczycielem szkół warszawskich, redaktorem odpowiedzialnym i wydawcą tygodnika „Przegląd Społeczny", nader ruchliwym publicystą i współpracownikiem wielu pism w Warszawie i Wilnie. Był zresztą postacią bardzo ciekawą, godną bliższego zainteresowania. Wspomina o nim parokrotnie Zofia Nałkowska w swoich „Dziennikach", uczył ją przez pewien czas śpiewu (sam występował na estradach Petersburga i Moskwy), trochę zawrócił jej — siedemnastoletniej, sam już po trzydziestce — głowę. (*„Więc noc dzisiejszą i dzisiejsze rano kochałam Millera, wprost zdawało mi się, że to już nareszcie ten..."*). Otóż Miller ogłosił na łamach swego „Przeglądu Społecznego" list otwarty do dyrektora Szczepańskiego, datowany 26 grudnia 1906 roku, a zaczynający się od słów:

*„Szanowny Panie! Dnia 20 grudnia 1906 r. stała się w kronikach szkół polskich rzecz niebywała: wydalono całkowicie klasy 6, 7 i 8 gimnazjum płockiego (szkoły Macierzy) za to, że młodzież odważyła się wymagać od księdza prefekta zniesienia przymusu religijnego"....*

Zauważmy: dwa tygodnie wcześniej twierdziła warszawska „Ludzkość", że awantura w płockiej szkole miała miejsce przed 13 grudnia i dotyczyła relegowania uczniów 4 klasy, teraz mowa jest o 20 grudnia i o klasach 6, 7 i 8. Albo więc Antoni Miller nie zadał sobie trudu dokładnego zapoznania się ze sprawą, albo już po zdementowaniu przez dyrekcję szkoły wiadomości o wydaleniu uczniów — dokonano tego i tak w terminie późniejszym. Dowiadujemy się też teraz bliższych szczegółów sprawy.

*„Uczniowie płoccy na wiecu, odbytym w obecności Szanownego Pana* — pisze Miller w swym liście otwartym — *oświadczyli kategorycznie, że nie domagają się zniesienia religii, lecz pragną tylko, aby ksiądz prefekt nie wymagał od nich obowiązkowego uczęszczania w niedzielę na urzędową uczniowską mszę i nie żądał streszczeń piśmiennych z nauki po mszy".*

Cóż, dyrektor Szczepański postępował zgodnie z regulaminem, który zresztą sam opracował i wręczał każdemu uczniowi w momencie przyjęcia do szkoły. Regulamin ten, ogłoszony z okazji omawianego tu sporu w miesięczniku „Nowe Tory" (styczeń 1907 r.), stwierdzał w §1: *„Dla uproszczenia pomocy Bożej i błogosławieństwa, wspólna modlitwa na mszy św. w niedzielę i święta o godz. 9 rano w kościele katedralnym obowiązuje wszystkich uczniów katolików gimnazjum polskiego w Płocku".*

I dobitniej w §10: *„Jednostki, nie mogące ani ocenić zadań szkoły polskiej, ani dostosować się do jej zasad, niech wiedzą, że szkoła jest przeznaczona dla dzieci normalnych. Wszelkie indywidua zniepra wione kwalifikują się raczej do specjalnych zakładów poprawczych, których zadania specjalnego szkoła ogólno-kształcąca polska brać na się nie zamierza".*

W szkole się zagotowało. Dyrektor Szczepański spotykając na ulicach Płocka swych uczniów, wyrywał im z rąk modne wówczas i noszone przez młodych elegantów laski i łamał je na oczach przechodniów, jako jeszcze jedno narzędzie zgorszenia. *„Chcecie potargać autorytet kościoła, by zamiast prawdziwego tradycyjnego Boga naszego kłaniać się rozmaitym bożyszczom i ubóstwiać takich warchołów, jak Gorkij — mówił na zebraniu do swych wychowanków, a na odezwanie się jednego z uczniów, by pan dyrektor pohamował się, kazano śmiałkowi opuścić szkołę".* Tak pisali w „Ludzkości" sami uczniowie, zrzeszeni w związku Płockiej Młodzieży Postępowej.

Poparli ich uczniowie innych szkół. „Przegląd Społeczny" z 16.III.1907 r. zamieścił list podpisany przez 58 uczniów gimnazjum w Częstochowie: *„Szanowny Panie Redaktorze! Najuprzejmiej prosimy Szanownego Redaktora o zamieszczenie na łamach swego pisma następującego głosu młodzieży w kwestii szkoły Macierzy w Płocku.*

*Młodzież postępowa gimnazjum polskiego w Częstochowie przejęta losem kolegów swoich z gimnazjum płockiego, którzy za głoszenie zasad tolerancji i za swoje poparte czynem żądania, aby stosunek religijny człowieka do Boga był pozostawiony sumieniu jednostki, ponieśli ofiary, wyraża uznanie i solidarność koleżeńską, a gnębicielom ich — pogardę i oburzenie".*

Ostatecznie zwolnionych uczniów przyjęto z powrotem, a obowiązek składania sprawozdań z kazań niedzielnych został zniesiony. Były jeszcze głosy o tym, że dyrektor Szczepański żądał od niektórych swoich nauczycieli, nie godzących się z jego postawą, aby składali prośby o dymisję; że uczniowie nie-katolicy, a więc głównie Żydzi, opuszczają szkołę płocką; że wydrwiwa się na lekcjach samo pojęcie postępu, kojarząc je z podobnie brzmiącym podstępem. Jednakże wkrótce Rada Opiekuńcza gimnazjum, składająca się z działaczy społecznych miasta, dała wyraz na łamach czasopisma „Szkoła Polska" (nr. 7 z 1907 r.) solidarności z dyrekcją, popierając w imieniu własnym i rodziców stanowisko dyrektora Szczepańskiego, zaprzeczając przy tym faktowi relegowania i niesłusznego karania uczniów.

Jeszcze w rok — bez mała — później nawiązywał do omawianych tu wypadków Antoni Miller. Jego „Przegląd Społeczny" zmienił nazwę na „Społeczeństwo", co niewątpliwie wynikło z nieznanych nam bliżej kłopotów z carską cenzurą. W numerze 3 z 9.XI.1907 r. donosi Miller o nowym wypadku zacofania i wstecznictwa w Płocku przypominając przy tym sprawę sprzed roku. Czytamy:

*„Kierownik prywatnego gimnazjum Macierzy, p. Szczepański, wydalił od razu trzy klasy za rzekomy opór prefektowi, potem je nazad przyjął, zapewniwszy, że już więcej nie będzie stosował przymusu religijnego.*

*Księża urządzili atak na pensję pani Thunówny za ważenie przez doktora uczennic i badanie ich oczu i uszu. Oględziny odbywały się wobec przełożonej i dozorczyni; działalność serca i płuc była wysłuchiwana przez białe fartuchy. Pomimo to rodzice, podnieceni przez księży, rozpowszechnili pogłoskę o rzekomo nieskromnych oględzinach. Ksiądz Charszewski napisał nawet broszurę, atakującą całe szkolnictwo płockie".*

Ale to już inny temat.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

1

# Mniej, ale lepiej

Bardzo podoba mi się akcja, jaką podjęto ostatnio w kilku województwach, a na którą zanosi się również w łódzkim miejskim. Chodzi mianowicie o ustanowienie dni bez narad, konferencji, posiedzeń. Na Widzewie na przykład ustanowiono 4 dni wolne od narad. Takie dni wolne od narad ustanowiono też w kilku województwach. Ale nie we wszystkich.

Nie jest to pierwsza tego typu akcja. Już nawet decyzją Rady Ministrów ograniczano ilość zebrań i narad, ale — jak widać — bez rezultatu. Ta plaga współczesnej biurokracji panoszy się i jakoś nie widać jej końca. Mimo podejmowania akcji jej zwalczania.

Otóż teraz chciałbym złożyć ważne oświadczenie. Jestem gorącym zwolennikiem radykalnego zwalczania naradomanii, ograniczenia ilości zebrań, narad i posiedzeń oraz konferencji, ale jakoś nie widzę skutecznego sposobu na wprowadzenie tegoż. Nie widzę również powodzenia i dla tej akcji. A to dlatego, że jest to akcja zmierzająca do usuwania skutków, a nie dotykająca przyczyn.

Bardzo dawno temu, w gronie znajomych, toczyliśmy spór o czas pracy dyrektora. Mój oponent uważał, że dyrektor nie powinien mieć ani chwili czasu na to, aby siedział bezczynnie i patrzył w sufit, bo mu za to nie płacą. A ja uważałem, że przeciwnie: dobry dyrektor powinien mieć jak najwięcej właśnie takiego czasu, kiedy siedzi — nawet z nogami na biurku, jeśli mu to pomaga — i patrzy w sufit, pod warunkiem, że ta pozorna bezczynność jest pracą umysłową na temat kierowanej przez niego fabryki, albo kierowanego przedsiębiorstwa czy instytucji. Wielu dyrektorów, kierowników skarży się nieustannie, że brakuje im czasu na pracę koncepcyjną. Dlaczego tak się dzieje?

Powodów jest kilka. Ale najbardziej istotnym jest zła organizacja pracy. Niedawna zima — wszyscy mają nadzieję, że już się skończyła — pokazała, że nie ma współdziałania pomiędzy różnymi instytucjami i przedsiębiorstwami decydującymi o stanie miasta i województwa. I jaki znaleziono sposób na to? Ano powołano sztab co w formie pracy sprowadziło się do zwoływania codziennych narad. Czyli bez narady ani rusz. Niech więc coś tylko zacznie nawalać, a już w kąt pójdą najlepsze ograniczania ilości narad i zebrań.

Jest jeszcze powód drugi. Wcale nie mniej istotny. Otóż w przekonaniu różnych ludzi narada oraz jej obsada stanowią o randze przedsięwzięcia, a co za tym idzie również jej organizatora. Proszę zapytać dziennikarzy Łódzkiego Ośrodka Telewizyjnego, a i innych również, ileż razy namawiano ich, aby przyjechali i zapalili swoje lampy oraz puścili w ruch kamery.

— Kochani — tłumaczyli się pracownicy ŁOT — mamy ograniczony czas emisji, a po drugie — mamy mało taśmy.

— To nie jest istotne — wyjaśniali organizatorzy — wy tylko przyjdźcie i pofilmujcie pustą kamerą. Później się powie, że to Warszawa nie puściła.

Wytrawni uczestnicy narad i konferencji oraz sympozjów przychodząc do sali patrzą, kto siedzi za stołem prezydialnym. Jeśli jest tam sekretarz wojewódzkiej instancji, to narada jest średnio ważna, jeśli I sekretarz — oczywiście ważniejsza — ale jeśli ktoś z Biura Politycznego KC — to bardzo ważna, a jeśli sam I sekretarz KC — to najważniejsza. A przecież — naiwni mogliby tak sądzić — o ważności narady decydują poruszane tam problemy i podjęte uchwały.

Narady zwołuje się u nas i zebrania organizuje przede wszystkim po to, aby się było jak i gdzie pokazać. Dlatego tak ważna jest ich prezydialna obsada. No, bo przed kim mają się pokazać i popisać mówcy? We własnym gronie wszyscy się znają niczym łyse konie. Tu nawet każdy wie, kto i co oraz kiedy powie. Są żelaźni mówcy, którzy mogą mówić na każdy temat i nic nie powiedzieć. Są tacy, którzy głos zabierają tylko wówczas, gdy mają coś do powiedzenia. Są tacy, którym ciągle o coś chodzi, ale i tacy, którzy wiedzą, co i kiedy trzeba powiedzieć, aby dobrze wypaść i być zauważonym. Niejeden w Polsce zrobił karierę dzięki, we właściwym miejscu i czasie, wygłoszonej wypowiedzi.

Na naradach kwitnie najczęściej pustosłowie, pozerstwo, toczą się gry i gierki. Wielu wie, że to strata czasu, ale wie że trzeba się pokazać, być obecnym. Chodzi przede wszystkim o formę, treść jest już mało ważna. Przy takim myśleniu żadna akcja przeciwzbraniowa na dłuższą metę nie powiedzie się. Trzeba przede wszystkim zmienić sposób myślenia. Przed podjęciem decyzji o każdej naradzie zadać sobie i innym pytanie: co chcemy przez to zebranie osiągnąć, jaki jest jego cel i czy nie można tego osiągnąć inną drogą, nie odrywając ludzi od ich pracy? Takie pytania powinni też zadawać organizatorom ich zwierzchnicy: czy to jest konieczne?

Trzeba też krytycznemu osądowi poddać sam przebieg wielu narad i zebrań. Trzeba pytać, co zabierający głos mają istotnego i nowego do powiedzenia. Chwalenie się tym, jak to my dobrze pracujemy jest wielekroć w sprzeczności z praktyką i rzeczywistością. Jest to czasem wygodny kamuflaż, na który dziś już nie wolno się nam godzić. A więc nie ilość narad powinna podlegać radykalnej, surowej krytyce, ale ich jakość. Jeśli jakość ulegnie zmianie, jeśli będą to narady rzeczywiście potrzebne, bo celowe, to musi spaść ich ilość. Innej drogi nie widzę.

WITOLD BOROWY

2

# Każdy może być odkrywcą

Lubię wszelkie tajemnicze zjawiska, wręcz przepadam za Ufoludkami, choć nie udało mi się — jak do tej pory — żadne bliskie spotkanie z nimi. Nocą, gdy jest pogoda, a ja akurat nie śpię, pasjami rozglądam się po niebie i już dwa razy coś widziałem. Coś niezwykłego, ale nie wiem co. Jakieś UFO, czyli niezidentyfikowane obiekty latające. Tu muszę przypomnieć wszystkim zapominalskim, że wszystko co lata, a my nie wiemy, co to jest, to jest właśnie UFO. U nas natomiast utarło się uważać, że UFO — to wyłącznie tajemnicze pojazdy tajemniczej cywilizacji.

Wiem też, że ludzie potrafili już wymyślić różne dziwne rzeczy, o których się filozofom nie śniło. Na przykład Juliusz Verne opisał łódź podwodną na długo nim ona powstała rzeczywiście. Ludzie z nieograniczoną wyobraźnią wymyślili „promienie śmierci", co może być dzisiejszym laserem. I tak dalej... Nie będę mnożył przykładów, gdyż nie piszę historii wynalazków. A jej znajomość każe odnosić się do nawet najbardziej fantastycznych pomysłów z rezerwą, krytycznie, ale nie odrzucać tego wszystkiego bezapelacyjnie. Nigdy nie wiadomo, co się z tych pomysłów potwierdzi, a co nie. Apodyktyczna bezmyślność wielu ludzi nauki została już surowo ukarana przez życie, a ich kategoryczne oceny odrzucone na śmietnik i zapomniane.

Ale są pomysły, które muszą budzić ostrożne zdziwienie. Nachodził niegdyś „Odgłosy" człowiek, który utrzymywał, że... ściany mają uszy, co miało oznaczać, że wszędzie są założone aparaty podsłuchowe oraz emitory fal, które jemu szczególnie dokuczają. Człowiekiem tym zajęli się specjaliści od chorób układu nerwowego, ale nie zmienia to wcale faktu, że ściany coś emitują. Jedne hałas od sąsiada — są to fale dźwiękowe — inne promieniują ograniczenie, ale zawsze. I tak dalej. Być może ten człowiek był uczulony na takie promieniowanie, co przecież nie jest normalne. Bo większość nie jest uczulona. A zawsze decyduje większość.

Teraz objawił się nam odkrywca z Grodziska Mazowieckiego. Doniósł o tym „Kurier Polski". Ów odkrywca nazywa się Czesław Terkiewicz i odkrył on promieniowanie Helleta. Jest to promieniowanie powstające w koronie Słońca, które pobudza — na zasadzie rezonansu — promieniowanie wtórne Ziemi. Wszyscy jesteśmy na to promieniowanie narażeni. Czesław Terkiewicz mierzy je terami. Promieniowanie Helleta waha się od 180 terów do 570 terów, co powoduje u ludzi ociężałość fizyczną i senność. Promieniowanie o sile 3,5 tysiąca terów może spowodować śmierć w ciągu kilku godzin. Promieniowanie powstające w koronie Słońca ma siłę 10 000 terów.

Co to promieniowanie robi? Otóż — zdaniem Czesława Terkiewicza — pobudza ono do życia mikroorganizmy: minerie i nitkowce. Są to miniorganizmy wielkości tysięcznych i milionowych części mikrometra i powodują powstawanie w naszych organizmach... raka.

Promienie te emitują też UFO. Na wysokości 240 km orbituje 14 UFO, które rażą naszą Ziemię promieniami Helleta. Po co oni to robią? Trudno powiedzieć. Można domyślać się, że dla zniszczenia życia na Ziemi. Czesław Terkiewicz utrzymuje ponadto, że władze i naukowcy wiedzą o tym, ale ze znanych sobie powodów milczą i udają, że nic się groźnego nie dzieje. Otóż Czesław Terkiewicz postuluje, za pośrednictwem „Kuriera Polskiego", powołanie niezależnego, społecznego organu, który zająłby się badaniem tego groźnego zjawiska.

„Kurier Polski" informację tę opatrzył króciutkim komentarzem: „Nasza redakcja, aczkolwiek zawsze uważnie wsłuchująca się w głosy swych Czytelników i zawsze biorąca sobie do serca ich opinie, ma jednak poważne problemy z zajęciem pryncypialnego stanowiska w tej bulwersującej sprawie".

Kocham Ufoludki i chętnie bym się z nimi zaprzyjaźnił, jeśli nie są to podłe dranie, które czyhają na moje życie i moją Ziemię. W tej natomiast sprawie miałbym jedno pytanie: przy pomocy jakich to przyrządów Czesław T. z Grodziska Mazowieckiego dostrzegł owe 14 UFO na wysokości 240 km, czym zmierzył promieniowanie Helleta i jak je w ogóle odkrył? Do czego można porównać owe tajemnicze tery? Gdy otrzymam odpowiedzi na te pytania, to może spróbuję się nad tym zastanowić. Bez tego mogę jedynie podejrzewać, że Czesław Terkiewicz bardzo chciał dostać się na łamy gazet, co się już stało.

Z niecierpliwością czekam na kolejne bulwersujące odkrycie. Pamiętajmy, że są na świecie rzeczy, o których nie śniło się filozofom! Życzę powodzenia.

ZENON POROWATY

3

Sport

# Nie chciane dzieci

Sukces w sporcie — szczególnie dziś, gdy tak jesteśmy sukcesów spragnieni — powinien liczyć się jednakowo. Poszczególne dziedziny sportu mają różną wartość widowiskową. Nie ze wszystkich mistrzostw świata Telewizja Polska prowadzi sprawozdania. Niektóre w ogóle pomija milczeniem. A przecież powinniśmy jednakowo się cieszyć z tego, że gdzieś na świecie Polak stanął na podium i odebrał medal. Nawet jeśli kolor jego jest brązowy. Tak by się wydawało. Ale tak nie jest.

Mamy bowiem w sporcie pieszczochów i nie chciane dzieci. Pieszczochami zajmujemy się zawsze, nawet jeśli przynoszą one nam więcej kłopotów niż zadowolenia. Nie chcianymi dziećmi nie zajmujemy się w ogóle, nawet gdy przynoszą nam powody do zadowolenia a nie kłopoty. Pieszczochom nie żałujemy — tak nam brakujących — dolarów, nie chcianym dzieciom każemy niemal ...żebrać. Nie, nie żartuję. To, co piszę jest smutną prawdą.

Do pieszczochów zaliczyłabym między innymi, a właściwie przede wszystkim, naszych dzielnych piłkarzy, którym do tej pory nigdy nie udało się zakwalifikować do mistrzostw Europy, gdyż w mistrzostwach tych jest silna konkurencja. Próbują więc teraz nasze chłopaki pokonać tę barierę niemożności i wcale nie wiadomo, czy im się to uda, czy znów tradycji stanie się zadość i... odpadniemy kolejny raz. Nie zdziwi mnie to, gdyż nasza piłka nożna przeżywa poważny kryzys — jak cały sport zresztą — i niektórzy nie chcą tego dostrzec, ciągle mają nadzieję, że jakoś to będzie.

Kim są nie chciane dzieci?

Zaliczałabym tu między innymi naszych wspaniałych pilotów, którzy stanowią światową czołówkę, a często muszą latać na benzynie kupowanej z własnych oszczędności i w ogóle finansować swoje wyprawy ze swoich pieniędzy. Zaliczyłabym tu Waldemara Marszałka, który wydał już na swój sprzęt wiele własnych pieniędzy i gdyby nie jego upór, to nie byłoby też jego medali i sukcesów. Zaliczyłabym tu Józefa Łuszczka, który nie pojechał do Bawarii, gdyż okazał się być... za stary. A młodszych nie ma. Zaliczyłabym tu młodych ludzi skaczących o tyczce, którzy nie mogą skakać wyżej niż 570 cm, bo... nie ma wyższych podpórek pod poprzeczkę. I ostatnio do nie chcianych dzieci trzeba zaliczyć polskich bojerowców, którzy w Anchor Bay w USA sukces odnieśli, choć nikt ich tam nie wysyłał. A właściwie łaskawie pozwolił, aby sobie pojechali, ale na własny koszt. I pojechali.

Czterech ich było. Władysławowi Stefanowiczowi i Piotrowi Burczyńskiemu dano oficjalne błogosławieństwo i drobne dolary, aby z głodu nie umarli. Nie wtajemniczonym przy okazji wyjaśniam, że bojerem żegluje się po lodzie i jest to sprzęt raczej pojemny i skomplikowany, który trzeba było z Polski dotransportować do USA. A tam jeszcze mogło się okazać, że w miejscu, w którym wyznaczono regaty nie ma lodu, albo jest duży śnieg i trzeba teraz, razem z organizatorami, jeździć po Stanach Zjednoczonych — kraj to raczej duży — w poszukiwaniu dogodnych warunków. Takie szukanie odpowiedniego lodu... kosztuje. W USA — psiakość — mają taki brzydki zwyczaj, że za wszystko trzeba płacić dolarami, których nasi na ogół nie mają.

Znawcy regat bojerowych utrzymują, że lepszymi w tej żegludze są Bogdan Kramer i Stanisław Macur i że to oni powinni byli raczej pojechać. Pozwolono więc im pojechać... na własny koszt. I żeby już absolutnie było śmiesznie Stanisława Macura uczyniono kierownikiem całej grupy. Nie tylko sam się miał tam dostać, ale też miał kierować innymi, pomagać im, ułatwiać życie. No i wywiązał się z tego. A przy okazji zdobył brązowy medal. Jest trzecim bojerowcem świata.

Śmieszne to, prawda? Można się popłakać ze śmiechu. Ale nie będą to łzy szczęścia.

Dlaczego tak się dzieje? Czy nieodpowiedni ludzie kierują niektórymi dziedzinami sportu? Czy nie staje wyobraźni? Ale tej wyobraźni starczyło działaczom AZS Olsztyn, którzy pomogli Stanisławowi Macurowi w wyjeździe. Więc jak to jest, jednym staje wyobraźni, innym nie? Ciekawa jestem, kto teraz uzna się ojcem tego sukcesu, jako że zawsze ojców sukcesu nie brakuje. Gorzej z klęską. Do tej nikt się jakoś nie chce przyznać.

Czy muszą być w naszym sporcie nie chciane dzieci? I dlaczego tak się dzieje, że to właśnie nie chciane dzieci odnoszą na ogół sukcesy, a pieszczochy nie? Tylko, że na to pytanie już nie ja powinnam odpowiadać.

BOGDA MADEJ

# Sodoma

**„Z Witkacym łączy Jacka Krakowskiego skłonność do filozofowania na własny rachunek i chyba równie mało nabożny stosunek do akademickich i w ogóle oficjalnych filozofii. (...) Witkiewicza stać na gwałt, karykaturę i sadyzm w stosunku do intelektualnego języka (...) W SODOMIE parodiuje się filozoficzną oficjalność, nie naruszając w niczym założeń językowej intelektualności powszechnego użytku, konfrontując ją zewnętrznie bądź z niskim językiem wulgarnym, bądź z wysokim językiem natchnionym".**

JACEK KRAKOWSKI

(2)

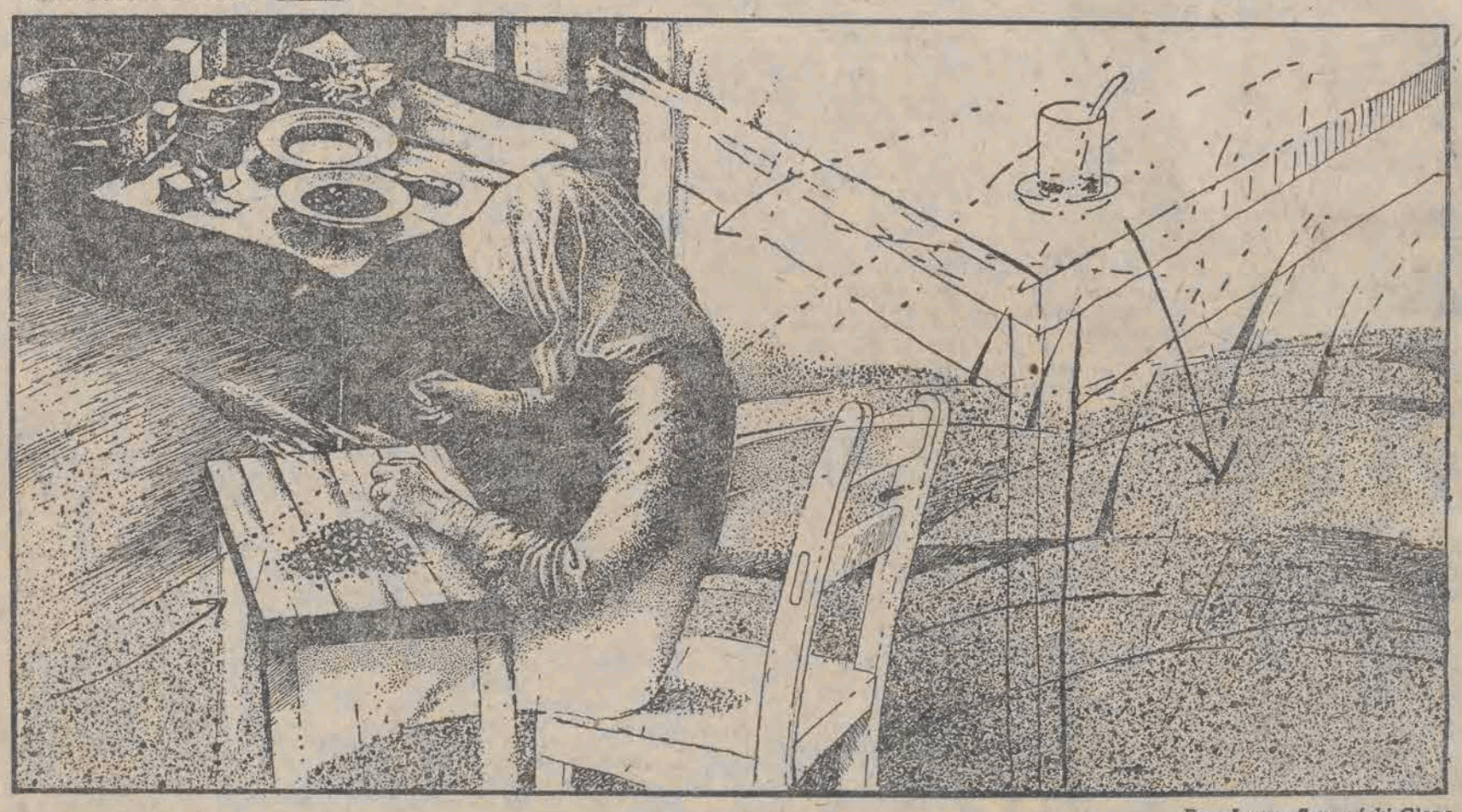

*Rys. Janusz Szymański-Glanc*

Co tam, zawołała chrypliwym, męskim głosem. O co chodzi? Inspekcja była wczoraj.

Przekrzywiony balkon, pod którym stała rzucał cień na jej twarz i tylko szczupłe dłonie zachodzące słońce barwiło na czerwono.

Czy pani Atanazja Quest?

To ja. Panowie do kogo? Męża nie ma w domu, rzekła, chcąc wycofać się za drzwi.

My właśnie do pani. Przychodzimy od Hieronima.

Jakiego Hieronima, spytała, zaciskając dłoń na klamce.

Pani teścia.

Nie utrzymujemy z nim bliższych kontaktów.

Mamy dla państwa wiadomość. Czy można wejść?

Nie możecie mi tego powiedzieć tutaj. Mam bardzo dużo pracy.

To dłuższa sprawa. Jesteśmy od rana w drodze...

Jeżeli musicie, to wejdźcie. Ubikacja jest przy drzwiach po lewej stronie.

Ledwie tylko przestąpiliśmy próg, Atanazja zniknęła w ciemnym korytarzu.

Zauważyłeś jej twarz, szepnąłem do Sylwestra, wygląda jak te deski, z których zbudowano dom.

A jej ręce, szepnąłem do Laurentego, niby piach zmieszany z cementem pokrywające ogród.

Tylko ta czarna suknia, niby pień ocalałego drzewa, zdaje się podtrzymywać ją przy życiu.

A jej sterczące siwe włosy przypominają młode gałązki, które mają za chwilę zakwitnąć.

Atanazja wróciła po chwili, niosąc dwa krzesła, które postawiła pod ścianą korytarza.

Siadajcie, powiedziała, i mówcie o co chodzi, bo nie mam czasu na głupstwa.

Hieronim prosił, aby przesłać pani pozdrowienia.

Uśmiechnęła się krzywo i wzruszyła ramionami.

Co z tego? Co to ma do rzeczy? Swoimi pozdrowieniami nic nie zmieni. I kogo on w ogóle pozdrawia... Czy to wszystko, co macie mi do powiedzenia?

Chodziła w tę i z powrotem, trzaskając kostkami palców, przypatrując się nam z góry, wysoka i chuda, pogrążona w zatęchłym mroku korytarza.

To bardzo poważna sprawa, rzekł Laurenty, wstając z krzesła, może pani usiądzie?

Atanazja zatrzymała się na moment.

Jeżeli o mnie chodzi, cóż, pozdrówcie także Hieronima i... chyba się pożegnamy.

Przybyliśmy, żeby was ostrzec, rzekł Sylwester, wstając z krzesła. To bardzo poważna...

Wiem, słyszałam już, krzyknęła ze złością Atanazja. To bzdury! Nie próbujcie mnie wciągać w jakieś głupoty, bo wystarczy żebym zadzwoniła...

Proszę pani, rzekł Laurenty, pani nie zdaje sobie sprawy...

Ja, powiedziała szeptem, podchodząc do niego. Jak pan śmie! Myśli pan, że o niczym nie wiem? Proszę bardzo.

Wyciągnęła z kieszeni zmiętoszoną kartkę i wcisnęła Laurentemu do ręki.

Niech pan czyta, jeśli pan nie wierzy.

Nic tutaj nie widać, rzekł Sylwester.

Wejdźcie do kuchni, powiedziała gniewnie, otwierając drzwi. Ale jeśli powiecie o tym komuś, to nie wiem, co wam zrobię.

Nieduże, obskurne pomieszczenie z jednym zakurzonym oknem wypełniał prawie w całości prostokątny, dębowy stół. Odsuwając nogami niskie stołki przesuwaliśmy się w stronę światła. Pod przeciwległą ścianą w małej kuchni płonął ogień, a z dwóch aluminiowych garnków unosiły się nieokreślone wonie. Laurenty stanął przy oknie i przybliżył papier do oczu, a ja zajrzałem mu przez ramię. Pomięta kartka była skrawkiem telegramu, na którym można było odczytać słowa: „... przyjeżdżają Hieronim".

Atanazja nabrała szufelką węgla i dorzuciła do pieca.

Wiem o was o wiele więcej niż wam się wydaje, powiedziała, wycierając ręce w brudną ścierkę. Podeszła do nas, wyrwała kartkę z rąk Laurentego i schowała ją do kieszeni.

No, słucham, westchnęła, co takiego chcieliście mi powiedzieć?

To właściwie odnosi się do całej rodziny, rzekł Sylwester, ale Hieronim prosił nas, żebyśmy się naradzili najpierw z panią.

Ze mną, spytała z niedowierzaniem. Nagle spojrzała na zegarek, zaklęła pod nosem i przekręciła gałkę małego radioodbiornika.

Śmierć i życie! Asceza i rozpusta, usłyszeliśmy znajomy, basowy głos. Najpierw wytarzajcie się w błocie, a potem wznieście się do nieba. To wam mówię ja — fałszywy prorok tego świata. I ostrzegam was: nie wierzcie tym, którzy przychodzą do waszych domów i namawiają was do ucieczki. To ludzie niespełna rozumu, szpiedzy, bandyci albo masoni. Usiłują odciągnąć was od prawdy o nas, o tym mieście, które zbudowaliśmy własnymi rękami...

Kto to przemawia, spytał Laurenty.

Słuchajcie lepiej c o on mówi, skarciła nas Atanazja.

Lecz przemówienie urwało się i z radia buchnął huragan oklasków, nad który wznosiły się niewyraźne okrzyki. Atanazja wyłączyła radioodbiornik.

Czy nadal uważacie, że nie wiem, co macie mi do powiedzenia, spytała, odwracając się do nas i próbując zupy z garnka.

Milczeliśmy skonsternowani, a Atanazja wskazawszy nam ręką miejsca przy stole, usiadła z drugiej strony, odsuwając od siebie talerze z nadgryzionymi kawałkami chleba i filiżanki z nie dopitą herbatą.

Nie jesteście pierwszymi, którzy do nas przychodzą z tą wiadomością, mówiła podparłszy dłonią policzek. Dziwię się tylko Hieronimowi, że nie wpadł na nic mądrzejszego. Mogę zrozumieć, że nie macie doświadczenia, ale rozsądek nie powinien was raczej opuszczać. Nie ma dnia, żeby ktoś się tutaj nie przyplątał i radził nam, abyśmy wyjechali z Sodomy.

Hieronim zapewniał nas, że tylko jemu została przekazana wiadomość, rzekł Sylwester. Po prostu zaufał nam. Ale to przemówienie...

To przemówienie wygłaszał sam prezydent miasta. No i jak teraz wyglądacie. I gdzie wasze zaufanie?

Plasnęła dłonią w stół, aż podskoczyły talerze i zaśmiała się rechotliwie.

Tu się żyje, zawołała, a nie gada o głupstwach.

Przybyliśmy tu, żeby nie tylko was ostrzec, ale i zabrać ze sobą. Mamy ukryty samochód na przedmieściu, powiedział Laurenty.

Aaa, to co innego. W takim razie powinnam zadzwonić na policję i powiedzieć, że dwaj porywacze próbują uprowadzić całą rodzinę.

Przepraszam panią, ale to jakieś nieporozumienie. Chcemy ocalić panią, pani męża i córki.

Ocalić, zaśmiała się Atanazja. A przed czym wy możecie nas ocalić?! Przed tym miastem? Przed rzeczywistością? Przed prawdą?! My jesteśmy tym miastem, a ono jest nami. Jeżeli zginie, zginiemy razem z nim. Przecież jesteśmy jego mieszkańcami. Wszyscy będziemy zgubieni wraz ze wszystkim. I już! I nie ma o czym dyskutować.

Zerwała się od stołu i odsunęła garnki z ognia, bowiem zupa zaczęła się wyraźnie przypalać. Przesunęła fajerki pogrzebaczem, wzięła torbę z podłogi, postawiła ją na stole, chwyciła nóż i zaczęła obierać ziemniaki.

Są jeszcze inne miasta, odezwał się nieśmiało Laurenty.

Z których także można uciec, dodała cierpko Atanazja i wyciągnąwszy rękę, włączyła radioodbiornik, z którego buchnął wrzask:

Są jeszcze inne miasta, zapewniają nas ci domokrążcy. Lecz my odpowiemy im na to: z tamtych miast także można uciec. To jest właśnie rzeczywistość jedyna i niepodważalna, od której chcą was odciągnąć ci, którym wydaje się, że myślą. Ale spytajcie ich, o czym myślą z takim zamyśleniem. Okaże się że o nas, o naszym mieście, ba, nawet o naszym losie. Zajmują się nami tak, jakby nic innego dla nich nie istniało. Marzą o zagarnięciu tego, co stworzyliśmy, o wygnaniu nas stąd. Nie dajcie się sprowokować! Nie rozmawiajcie z nimi! Nie wpuszczajcie ich do swych domów!

Atanazja wyłączyła radio.

Sami teraz widzicie, rzekła, jak się narażam, przyjmując was tutaj. Na szczęście dom jest przeznaczony do rozbiórki i mało kto tutaj zagląda. Wolałabym jednak, żebyście już stąd poszli.

Chcielibyśmy zobaczyć się z pani mężem, rzekł cicho Sylwester. Musimy być pewni, że i on podziela pani poglądy. Poza tym córki...

Zapewniam was, że pod tym względem nigdy się nie różniliśmy. Zresztą wróci dzisiaj późno i na pewno będzie bardzo zmęczony. Nie wiem, czy zechce zamienić z wami choćby słowo. A co do córek — są tak skromnie wychowane, że nigdy nie rozmawiają z nieznajomymi.

Hieronim zapewniał nas, że jego syn na pewno pójdzie nam na rękę.

Lancelot jest zbyt zapracowany, żeby zawracać sobie głowę takimi głupstwami. Przychodzi bardzo późno i wstaje bardzo wcześnie. Jeśli już koniecznie chcecie się z nim widzieć, przyjdźcie rano.

Rano już nie będzie tego miasta, powiedzieliśmy prawie jednocześnie.

Atanazja spojrzała na nas badawczo, nie przestając obierać ziemniaków.

Przyznajcie się, dobrze sobie popiliście z Hieronimem. Boże, on miał głowę! Mogę wam dać ostatecznie soku z kwaszonych ogórków, ale więcej ode mnie nie wymagajcie. Lubię jasne sytuacje, a ta wydaje mi się najlepsza. I zapamiętajcie sobie: czynię to wyłącznie ze względu na Hieronima. Lancelot mógłby być niezadowolony, gdyby się dowiedział, że nie poczęstowałam niczym kolegów jego ojca.

Wstała od stołu, zdjęła kamień z talerza przykrywającego fajansowy garnek i nalała nam po szklance zielonkawej wody.

Pijcie, powiedziała, to pozwoli wam szybciej powrócić do rozumu.

Sodoma zostanie naprawdę zgładzona, powiedział Sylwester, jutro o świcie.

Spróbujcie mnie o tym przekonać, rzekła Atanazja, płucząc ziemniaki w misce. Ale swoją drogą, dziwię się wam... Cóż to właściwie was obchodzi, co się z nami stanie? Zapewne macie w tym swój interes, nie chcę tego dociekać, ale... to po prostu niemoralne wmawiać nam coś, co wam przynosi określony profit. I myślicie, że ja to kupię? Wiem przecież, że Hieronim, ten sknera, ma mnóstwo pieniędzy, których nam nie daje. Sami widzicie jak tutaj skromnie...

Przerwała nagle, bo do kuchni wpadł mężczyzna w zniszczonym garniturze i osunął się na stołek, przykładając dłoń do boku.

Xeniu, spirytus, szybko, zawołała Atanazja do dziewczyny od dłuższego czasu stojącej w drzwiach. Nie widzisz, że tatuś jest ranny.

Czym właściwie zajmuje się pani mąż, spytał Laurenty.

Walczy z bezpłodną imaginacją. Ma półtora etatu. To strasznie niebezpieczne zajęcie. Pomóżcie mi.

Atanazja zdjęła marynarkę z Lancelota, a my dźwignęliśmy go na stół i ułożyliśmy na plecach. Biała, przybrudzona nieco koszula splamiona była zeschniętą strużką krwi.

Po chwili nadbiegła Xenia, niosąc butelkę mętnego płynu i duży kłąb waty. Atanazja skropiła ją obficie i przyłożyła do boku Lancelota, który zaczął lekko pochrapywać.

Odejdźcie na razie, szepnęła. Będę przy nim czuwać. Xeniu, zaprowadź ich do stołowego i nie wdawaj się z nimi w żadne dyskusje. Później do was zajrzę. Biedaczek, rzekła, nachylając się nad śpiącym Lancelotem, ile on musi się nacierpieć za tych, którzy jeszcze wierzą w błękitne smoki.

Przeszliśmy do pokoju, mającego drzwi naprzeciw wejścia do kuchni. Xenia przekręciła kontakt i zmierzch powlekający ciemne kształty mebli rozjaśnił się żółtym światłem gołej żarówki, zwisającej z sufitu. Milcząc, wskazała nam ręką pozapadaną kanapę krytą wiśniowym pluszem.

Matka, co prawda, zakazała mi odzywać się do was, powiedziała szeptem, ale ostrzegam was — o naszym spotkaniu na przystanku ani słowa. W przeciwnym razie niczego się ode mnie nie dowiecie.

Xenia była tą piegowatą dziewczyną o silnie skręconych rudych włosach, od której usiłowaliśmy dowiedzieć się, kiedy odjeżdża tramwaj.

Laurenty przytaknął skinieniem głowy.

Wtedy też nie mogła pani z nami rozmawiać, powiedziałem.

Byłam z siostrą, odparła Xenia, a ona uważa, że nie należy zawierać znajomości na ulicy. Zresztą poznałam was od razu. Dziadek Hieronim przysłał nam wasze zdjęcia.

Nic nam o tym nie mówił.

Zawsze był bardzo skryty. Nasz ojciec to po nim odziedziczył.

Spotkaliśmy go wcześniej, szepnął Sylwester. Stał przy furtce jakiegoś domu, ale udaliśmy, że go nie poznajemy, chociaż Hieronim opisał nam bardzo dokładnie swego syna.

Czy była z nim... kobieta, spytała półgłosem Xenia, siadając między nami na kanapie.

Słuchała radia i wyglądała przez okno, powiedziałem.

To jego kochanka. Nazywa się Aurora Borealis. Śledziłyśmy ich z Felixą. Matka, oczywiście, o niczym nie wie. To straszne, co nasz ojciec wyprawia z tą Aurorą. Pierdolą się bez przerwy. Tak, tak, nie patrzcie na mnie z takim zdumieniem. Trudno to inaczej nazwać, chociażby przez wzgląd na matkę.

Może to miłość, rzekł nieśmiało Sylwester.

Miłość, zaśmiała się Xenia. Mój narzeczony, z którym niedawno zerwałam, domagał się, abym tarła go szczotkami ryżowymi po całym ciele. Wpadał przy tym w taki spazm, że musiałam zmienić żarówkę na słabszą, aby Atanazja nie zobaczyła plam na suficie. Natomiast narzeczony Felixy, z którym, o ile wiem, od dłuższego czasu nie utrzymuje żadnych kontaktów, zmuszał ją, aby każdego wieczora czytała mu bajkę o Czerwonym Kapturku. Przy tej lekturze raz po raz wstrząsały nim konwulsje i rozkoszne dreszcze. To były nasze pierwsze, wielkie miłości. Po Felixie wszystko to spłynęło jak woda po kaczce, ale ja obdarzona silną uczuciowością dotąd nie mogę zapomnieć tych cudownych wieczorów, podczas których drapałam do krwi jego nagie ciało.

Pani narzeczony mógłby opuścić miasto razem z nami, powiedział Laurenty. Prawdziwa miłość...

Nie, nie, jest teraz wyjątkowo zajęty. Powołano go na przewodniczącego Ezoterycznego Towarzystwa Filozoficznego. Jest to szczególnie odpowiedzialna funkcja, gdyż nie kto inny jak właśnie on zajmuje się ustalaniem związków między przyczynami i skutkami. Najmniejszy błąd z jego strony może grozić nieobliczalnymi konsekwencjami.

Sytuacja jednak jest szczególna, zauważył Sylwester.

Zawsze jest jakaś sytuacja, zdenerwowała się Xenia. I zawsze jest to właśnie t a — nieodpowiednia. Nigdy nie ma na nic czasu, nigdy nie ma przestrzeni na to, żeby się wreszcie coś mogło wydarzyć do końca. Moja miłość nie wyszła poza wstępne drapanie szczotkami!

Moje dziecko, przestań wrzeszczeć, usłyszeliśmy głos Atanazji. Lancelot rzuca się przez sen.

Stała w drzwiach, dysząc ciężko i zapinając pod szyją guzik sukni.

To wszystko przez nich, zawołała Xenia, zrywając się z kanapy. Namawiali mnie do sprośnego występku, który miałam uczynić jednocześnie z nimi dwoma. A proponując mi tę rzecz, łaskotali mnie w sposób niezwykle podniecający.

Rzuciła się z płaczem w ramiona Atanazji i nie przestając łkać, szeptała jej coś do ucha.

Ależ to nieporozumienie, żachnął się Laurenty. Nie mieliśmy w stosunku do niej żadnych zamiarów.

Tym gorzej dla was, krzyknęła Atanazja. Nie dość, że z litości pozwoliłam wam pozostać pod moim dachem, dopuściłam was do rozmowy ze mną, to nawet nie potraficie się za to odwdzięczyć. Nie mówię o mnie! Ja już swoje przeżyłam. Ale ona, moje ukochane dziecko jest czysta i niewinna, a wy nawet tego nie chcecie docenić. O, nie wiedziałam kogo wpuszczam do swego domu. Precz mi stąd! Nie pokazujcie mi się więcej na oczy! Won!

Nagle otworzyły się drzwi i stanął w nich Lancelot w koszuli i w kalesonach.

Co tu się dzieje! Co to za hałasy, krzyknął. Człowiek nawet nie może oka zmrużyć po ciężkiej pracy.

Niestety, rzekła Atanazja, twoi przyjaciele zachowują się wprost skandalicznie.

Myślałem, że to twoi znajomi, Atanazjo. Wiesz przecież, że ja nie wpuszczam obcych do naszego domu.

Mówią, że cię widzieli niedawno, jak stałeś przed furtką i paliłeś papierosa, rzekła Xenia, ocierając łzy.

To kłamstwo! Ohydna napaść i zniewaga. Proszę natychmiast opuścić mój dom!

Chwileczkę, zawołał Sylwester. Przysyła nas pański ojciec. Mamy do przekazania nadzwyczaj ważne wiadomości.

C.D.N.